M.B. in L. W. w Łodzi

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 36 (1289) ROK XXV 10 GRUDNIA 1982 ROKU 20 ZŁ

- Składam skargę—i co dalej?
- Henryk Debich o sobie, o muzyce, o rodzinie

Ewa Wycichowska i Kazimierz Wrzosek w układzie do koncertu f-moll Chopina

Recenzja z wieczoru baletowego strona 10

Prać albo nie prać?

EUGENIUSZ IWANICKI

Ulica Felsztyńskiego kończy się przed wiaduktem. Górą ciągnie się trasa szybkiego ruchu: Aleja Włókniarzy. Szukam numeru 50. Nie ma. Jest 48, potem już wspomniany wiadukt. Napotkana kobieta tłumaczy, że ulica Felsztyńskiego została przecięta i aby trafić do pralni, trzeba pojechać Obywatelską, skręcić w drugą przecznicę, a tam należy znów się spytać.

Zakład pralniczy nr 4 Spółdzielni „Czystość" nie posiada dobrego dojazdu: trzeba sporo błądzić, by trafić na wysypaną tłuczniem drogę. A przecież jest to jeden z największych zakładów tego typu w Łodzi. Miesięcznie pierze się tu ca 30 ton bielizny białej i ca 40 ton garderoby sposobem chemicznym. W pralnictwie są dwa szczyty: marzec — kwiecień i wrzesień — październik. Bierze się to stąd, że ludzie oddają do prania garderobę po sezonie zimowym wraz z tą, której będą używać latem, natomiast jesienią czyszczą to, co zabrudziło się latem. W ciągu września i października br. zakład przyjął 106 ton! Jest to wielkość ogromna, nawet jak na taką pralnię, mobilizuje załogę do maksymalnego wysiłku. Niestety, jak w całym naszym przemyśle, usługi także narzekają na brak ludzi do pracy. Dawniej, jak opowiadają najstarsi pracownicy, aby trafić do pralnictwa trzeba było albo mieć „chody" albo dać łapówkę, gdyż był to fach, którego nigdy nie dotykał żaden kryzys czy plajta. Bo w pralnictwie, cokolwiek by się działo, zawsze była praca. Ale dziś ludzie unikają pralni. Bierze się to stąd, że nie jest to zawód ani łatwy, ani lekki, do tego fach praczki w naszej tradycji był związany z najbiedniejszą warstwą ludności, nigdy nie osiągnął statusu robotnika fabryki, tramwajarza czy sprzedawcy.

W Technikum Włókienniczym, mieszczącym się przy ulicy Żeromskiego 115, wyodrębiono nawet spe-

7

Informuję Waszą Ekscelencję o tym, co się wydarzyło w Warszawie

Raymond Durand w latach 1827—1837 był konsulem Francji w Warszawie. Kiedy wybuchło Powstanie listopadowe, regularnie, przy każdej okazji, słał do Paryża raporty, informując o tym, co dzieje się w Warszawie i Królestwie Polskim. Raporty te — jak pisze we wstępie do ich polskiej edycji Robert Bielecki — znane są jedynie paru specjalistom. W Polsce ukazały się w wydaniu książkowym nakładem „Czytelnika" w 1980 roku.

Raymond Durand pracę swą wykonywał bardzo rzetelnie, skrupulatnie zbierał informacje o wydarzeniach w Warszawie i Królestwie Polskim, o poczynaniach władz polskich i rosyjskich, o ruchach wojsk. Opisując wydarzenia od listopada 1830 r. stara się też prezentować adresatom swoich raportów w Paryżu stosunek do tego, co dzieje się w Królestwie Polskim. Stara się on patrzeć na poczynania powstańców realnie, stąd też jego uwagi i sądy mogą zainteresować polskiego czytelnika. Dlatego zdecydowaliśmy się opublikować wybór fragmentów z tych raportów.

3

Przegląd prasy

WIĘCEJ WOLNOŚCI DLA KADRY KIEROWNICZEJ!

Hasło to brzmi dziś co najmniej dziwnie, kiedy wszyscy skłonni są do ograniczania ludzi zajmujących kierownicze stanowiska, sprawujących władzę, do poddawania ich kontroli — co oczywiście jest niezbędne — a także do posądzania, że głównym motywem ich działania jest chęć zachowania stołków. I oto Bronisław Łagowski (docent, pracownik Instytutu Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie) na łamach *„POLITYKI"* (nr 42 z 4 grudnia 1982 roku) pisze nie mniej nie więcej:

„Żaden teoretyk nie wskaże, jakie reformy należy i jakie można wprowadzić do struktury władzy. Może to zrobić wyłącznie doświadczona warstwa kierownicza. Dlaczego więc tego nie robi? (...) Warstwa kierownicza źle sobie radzi z problemami rządzenia, głównie z tego powodu, że posiada zbyt mało wolności. Zbyt mało nie w porównaniu z jakimś ideałem, lecz w porównaniu z tym zakresem wolności, jakiego wymaga ciężar ponoszonej przez nią odpowiedzialności".

Bronisław Łagowski zabiera głos w dyskusji nad tym, czy w Polsce możliwa jest myśl polityczna? Pytanie takie postawiła redakcja „Polityki". Do tej pory odpowiedzi udzielili: Jan Szczepański, Janusz Stefanowicz, Krzysztof Teodor Toeplitz i Jerzy J. Wiatr. Bronisław Łagowski (w tym samym numerze „Polityki" opublikowano wypowiedź Jerzego J. Wiatra) przede wszystkim określa, czego nie należy robić, aby znaleźć w Polsce myśl polityczną. Inaczej, od czego należy ją uwolnić.

A więc — po pierwsze — od *„moralistycznego punktu widzenia"*. Nie posługiwać się więc pojęciami *„winy i kary"*, a pojęciami *„przyczyn i skutków"*. Po drugie — *„nie traktować myśli politycznej, jako konstrukcji intelektualnej mającej autonomiczne znaczenie"*, a traktować ją jako sposób objaśniania rzeczywistości. Po trzecie — *„należy się strzec pokusy tworzenia czy „rewaloryzowania" jakiejś doktryny postulatywnej"*. Postępować tak należy dlatego, że *„działalność polityczna jest uzależniona przede wszystkim od tego, co się uważa za rzeczywistość oraz od tego, w czym się upatruje największe niebezpieczeństwo. Tylko bardzo nieodpowiedzialne siły polityczne mogą wyżej stawiać nakazy doktrynalne, niż wymagania, jakie narzuca konkretna rzeczywistość społeczna"*.

Zdaniem Bronisława Łagowskiego podstawą myśli politycznej powinna być prawda. Paradoks polega jednak na tym, że *„władza może być przez długi czas skuteczna i bez poczucia rzeczywistości"*, natomiast klęskę ponoszą te siły społeczne, które posługują się nieprawdziwym myśleniem i nie są częścią władzy. Dotyczy to również opozycji, gdyż zdaje się tam *„przeważać raczej wola iluzji, ucieczka w świat symboliczny"*. Ale z tego też nie wynika wcale, że władza może sobie pozwolić na trwałe rozmijanie się z rzeczywistością.

Trzeba więc dorobić się prawdziwego systemu myślowego rzetelnie objaśniającego tak rzeczywistość gospodarczą, jak i rzeczywistość sfery ducha. Bronisław Łagowski zwraca uwagę na fakt, że *„sytuacja, w jakiej się znajdujemy, jako państwo, jako społeczeństwo, jest całkowicie nowa i bez precedensu. Oznacza to, że żaden odziedziczony czy inaczej przyjęty system myślenia politycznego tej sytuacji nam nie rozjaśni i wskaże z niej wyjścia"*. Dla zrozumienia sytuacji gospodarczej potrzebny jest *„rozsądek i ta elementarna wiedza, jaką ludzie rozumni posiadali w każdej epoce"*. I jeśli przyczyn kryzysu gospodarczego może być (i jest bez wątpienia) wiele, to za główną uznać trzeba słaby pieniądz. Ten pieniądz, jak wiemy, ma minimalne pokrycie w wyprodukowanych towarach. Inflacja rośnie mimo różnych starań, aby ją zahamować. Pieniądz słabnie. Co zrobić, aby pieniądz zaczął nabierać wartości, aby zahamować jego słabnięcie? Zdrowy rozsądek powinien podpowiedzieć każdemu odpowiedź, ale dziś o potrzebie solidnej pracy mówić nie wypada, wręcz nie można, bo wszyscy zaraz czują się urażeni. A to właśnie jest prawda!

Coś podobnego dzieje się z naszą sferą rzeczywistości duchowej. Oto, jak problem ten widzi Bronisław Łagowski:

„Nie reprodukujemy nawet tego, co otrzymaliśmy w spadku. Jesteśmy dziś mniej chętni do pracy, niż ćwierć wieku temu, mniej mamy rozsądku, mniej dbamy o estetykę otoczenia, poziom polskiego piśmiennictwa jest niższy (mimo, że zwiększyła się swoboda wypowiedzi), uczucia wyrażane w sztuce są mniej szlachetne, coraz mniej uciekamy się do hipokryzji w celu ukrycia naszych wad, a więc coraz mniej mamy wstydu".

Nie są to jeszcze zjawiska przypominające w swojej skali i rozmiarach, to, co działo się w Polsce w XVII wieku, ale mogą one podobnie jak wówczas spowodować, że za sto lat

BĘDZIEMY MNIEJ KULTURALNI

niż byliśmy dwieście lat temu. Jest więc się nad czym zastanowić i o czym myśleć.

Można się zgodzić z Bronisławem Łagowskim, że naszej specyficznej sytuacji nie rozwiąże się przy pomocy zapożyczonych systemów myślowych, że wszystko trzeba samemu przemyśleć i znaleźć rozwiązania własne, ale nie wynika z tego wcale, że nie należy krytycznie oceniać przeszłości i tam szukać choć cząstkowych przyczyn stanu obecnego. Ale nie tylko przyczyn, również i pewnych nurtów, do których należałoby dziś nawiązywać. W *„ŻYCIU LITERACKIM"* (nr 43 z 5 grudnia 1982 r.) Marian Stępień przypomina polską lewicę literacką.

„Formułę — pisze Marian Stępień — *która trafnie ujmuje nową sytuację polskiej publicystyki literackiej jest tytuł opublikowanego w 1905 r. artykułu Wacława Nałkowskiego „Proletariat i twórcy" Zaczynał się od słów wyznaczających tonację, która odtąd aż do 1939 dominować będzie w omawianym nurcie literatury: „Sprawa proletariatu, sprawa jego cierpień niewymownych i walk bohaterskich nie znajdowała dotąd w literaturze pięknej odpowiednio potężnego oddźwięku, odpowiednio olbrzymiego wyrazu". Od takiego przeświadczenia wiodła droga do poszukiwań formuły nowej sztuki, która by podjęła problemy świata pracy"*.

Marian Stępień uświadamia współczesnemu czytelnikowi, jakie nurty w sztuce od 1882 roku należały i zaliczane były do lewicy. Pojęcie lewicy w różnych okresach inne miewało znaczenie i warto to sobie dokładnie uświadomić, gdyż dziś ponownie mówi się o lewicy nie zawsze tę samą treść podkładając pod to pojęcie.

Inne sprawy z naszej przeszłości podejmuje *„POLITYKA"* (nr 42 z 4 grudnia 1982 r.). Jest to już drugi artykuł Jerzego Tomaszewskiego o mniejszościach narodowych w II Rzeczpospolitej. Pierwszy (w numerze 36) traktował o sytuacji politycznej i społecznej Białorusinów. Obecnie są to

„DRAMATY UKRAIŃSKIE I POLSKIE"

Według danych z 1931 roku w Polsce międzywojennej żyło przeszło 5 milionów Ukraińców. Trudno dziś ocenić, czy te dane są dokładne. Tak, jak przy okazji omawiania sytuacji Białorusinów Jerzy Tomaszewski zwrócił uwagę, że niektórzy określali się jako „tutejsi", tak mogło być niekiedy i w wypadku Ukraińców, chociaż ich świadomość narodowa była już bardziej rozwinięta niż świadomość narodowa chłopów białoruskich na przykład na Polesiu. Ukraińcy mieli formalnie prawa równe wszystkim innym grupom ludności niezależnie od ich narodowości, ale faktycznie byli mniejszością ograniczaną w swoich prawach — podobnie, jak i pozostałe grupy narodowościowe — mniejszością prześladowaną. Byli też grupą ludności rozwarstwioną. Część — przynajmniej taktycznie, godziła się na współpracę z polskimi władzami, część walczyła o swoje prawa polityczne i społeczne w ramach ruchu robotniczego, a część przeszła na pozycje skrajnie nacjonalistyczne.

Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO) dążyło do reprezentowania całej społeczności ukraińskiej i usiłowało postawić się ponad partiami. W rezultacie skupiły się w nim różne nurty, wyodrębniając z jednej strony nurt demokratyczno-liberalny, a z drugiej strony — radykalno-opozycyjny, skłaniający się ku nacjonalizmowi, a nawet faszyzmowi. W 1919 roku powstała mała organizacja terrorystyczna, na podstawie której w 1921 roku wyrosła Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), która w 1929 roku przeobraziła się w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), groźnego konkurenta UNDO.

W niebywale trudnych warunkach działała Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, która formalnie była autonomiczną organizacją terytorialną KPP. W latach 1927—28 przeżyła KPZU wewnętrzny rozłam, co jeszcze bardziej skomplikowało i osłabiło możliwość jej działania w burżuazyjnej Polsce, w warunkach nielegalności i prześladowań.

„Gdy na początku lat trzydziestych nadszedł wielki kryzys gospodarczy — pisze Jerzy Tomaszewski — *wówczas wśród społeczności ukraińskiej zaczęły narastać nastroje radykalne, sprzyjające wzrostowi autorytetu OUN"*.

W tym czasie i później również i te odłamy społeczeństwa ukraińskiego, które szukały współpracy z władzami, zaczęły coraz ostrzej i krytyczniej oceniać warunki życia narodowości ukraińskiej. Poseł Stefan Witwyćkyj mówił wówczas:

„My chcemy samodzielnie rozwijać i budować nasze życie gospodarcze, kulturalne, społeczne w naszych instytucjach, bo chcemy bodaj w tej sferze rządzić sami sobą, do tego mamy przyrodzone prawo, bo w tej formie odnośnych organizacji każdy z nas może dać maksimum swojej energii, pracy i poświęcenia".

Władze polskie politykę narodowościową rozumiały jedynie jako prześladowanie, gnębienie, wynaradawianie. Uniemożliwiały rozwój oświaty ukraińskiej, obiecano uniwersytet ukraiński we Lwowie i obietnicy nie dotrzymano, zmniejszała się liczba szkół ukraińskich. Zachodnią Ukrainę — Wołyń i Podole — kolonizowano, zasiedlając ją polskimi chłopami.

„Państwo polskie — pisze Jerzy Tomaszewski — *wychowywało sobie zastępy zaciekłych wrogów, którzy wprawdzie zostali zmuszeni do spokoju w obawie przed represjami, lecz z tym większą niecierpliwością wyczekiwali momentu odwetu"*.

Warto wiedzieć, jak to było przed wojną ze stosunkami pomiędzy różnymi narodowościami zamieszkującymi II Rzeczpospolitą. Jedni niech sobie o tym przypomną, inni dowiedzą się, gdyż niektórym ludziom wydaje się, że to tylko inni w przeszłości popełniali błędy, uciskali narody, postępowali niegodnie, a my byliśmy zawsze czyści, piękni, bez skazy i nadal możemy wszystkim, kto tego chce i nie chce służyć za przykład do naśladowania. A tak nie jest.

W ogóle ostatnio obserwuje się odwrót od racjonalizmu. Być może dlatego, że

NAUKA OGRANICZA POLE DLA FANTAZJI

jest zbyt sucha, nie stwarza odbiorcom możliwości współuczestniczenia w misterium poznawania prawdy. Dziś wielkie odkrycia dokonują się w zamkniętych laboratoriach, przy pomocy niezrozumiałych dla profanów metod i urządzeń. Ale to jest konieczność. Taki porządek rzeczy dyktuje właśnie rozwój nauki i techniki. Dramat zaczyna się dopiero w tym momencie, kiedy te wielkie i małe odkrycia należy spopularyzować, przekazać zwykłemu człowiekowi, który nie zna skomplikowanych urządzeń, zaczarowanych metod, a chciałby wiedzieć wszystko lub możliwie wszystko. I wtedy okazuje się, że ów wspaniały uczony, który zagląda w głąb materii, dokonuje cudów z ludzkim organizmem, mówi innym językiem niż ten zwykły człowiek, i zaczyna się tragedia. Ci dwaj ludzie muszą się porozumieć i nie potrafią tego zrobić. Więc może nie należy się dziwić, złorzeczyć i wydziwiać, ale zacząć kształcić ludzi, którzy będą tłumaczyli z naukowego na normalny język. Albo naukowcy nauczą się mówić po ludzku. Póki to się nie stanie Wiesław Wiktor Jędrzejczak będzie w *„RAZEM"* (nr 33 z 5 grudnia 1982 r.) dziwił się, dlaczego obserwuje *„od pewnego czasu znachorów, różdżkarzy i wróżbitów przed kamerami naszej telewizji"*. I będzie się zastanawiał, czy *„jest to forma propagowania naukowego światopoglądu"*.

Myślę, że różnica między naukowcem, a cudotwórcą polega nie tylko na tym, że *„naukowiec w równym stopniu zakłada słuszność i niesłuszność swojej hipotezy"*, a cudotwórca *„od początku zakłada jedynie słuszność hipotezy"*. Polega ona również i na tym, że naukowiec nie musi mieć widowni. On nawet nią gardzi; czyż bowiem profani zrozumieją jego wielkie czyny? Cudotwórca natomiast — nie. On musi mieć widownię, on jest przecież też po części artystą. Odwołuje się nie tylko do wiedzy swego odbiorcy, ale działa na jego wyobraźnię, emocje, pobudza jego tęsknotę za tajemniczością, niesamowitością. Naukowiec tym wszystkim gardzi. On nie musi mieć poklasku. Niech za niego mówią same wyniki jego pracy.

W *„PROBLEMACH"* (nr 9 z grudnia 1982 r.) Piotr Sadowski w artykule „Astronomowie i matematycy epoki kamienia" na podstawie kamiennych budowli z neolitu dochodzi do wniosku, że kapłani ówcześni posiadali dużą wiedzę astronomiczną i matematyczną. Artykuł jest bardzo przekonywający, nie odpowiada tylko na pytanie: po co im to było? Dla ustalania pór roku, czasu zasiewów i zbiorów, innych czynności rolniczych zupełnie niepotrzebny jest tak skomplikowany „mechanizm" wyznaczania zrównania dnia z nocą, przesilenia jesiennego, wiosennego i tak dalej. Już zupełnie zadziwia i budzi wątpliwości potrzeba dokładnego ustalania zachodu Syriusza, wschodu Altaira, zachodu Capelli — a więc gwiazd, które dziś są znane tylko astronomom. Czy to wszystko było potrzebne dla ówczesnych obrzędów? A jaka była różnica, czy na przykład kapłani powitanie wiosny wyznaczyli dzień wcześniej, czy dzień później? Kto to mógł sprawdzić? Wyznaczali, jeśli to robili, wtedy, kiedy uznali za wskazane.

Po co więc to było? Po co wybudowano „neolityczny komputer" w Stonehenge? I czy to był rzeczywiście „komputer"?

„Diodor Sycylijski — pisze Piotr Sadowski — *historyk z I wieku p.n.e., wspomina o Hiperborei, wyspie leżącej na Północy, i o kolistej świątyni Apollina, która się tam znajduje. Starożytny historyk mówi też, że Bóg odwiedza wyspę co 19 lat — okres, który Grecy nazywają „rokiem Metona". Można sądzić, że Hiperborea to dzisiejsza Wielka Brytania, a „kolista świątynia Apollina" to Stonehenge — najsłynniejsza na wyspach budowla megalityczna"*.

Można sądzić. Tylko, czy można udowodnić? I czasem warto jednak trochę pofantazjować, oderwać się od dzisiejszego sposobu myślenia, a wtedy może i hipotezy będą śmielsze i bardziej prawdopodobne.

LUCJAN BOGUSZ ■

Tadeusz Wieżan

W ubiegłym tygodniu zmarł Tadeusz Wieżan. Miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata. Bezsens każdej śmierci jest okrutny, ale przedwczesne odejście utalentowanego człowieka jeszcze go zwielokrotnia. Pozostawił w boleści i żalu rodzinę i najbliższych przyjaciół, którzy do końca walczyli o jego życie. Medycyna i tym razem okazała się bezradna. Śmierć Tadeusza Wieżana pomniejszyła jednocześnie polską kulturę filmową i literacką o to wszystko, czego już nie dokona, do czego przygotowywał się całym swym życiem, doświadczeniem i intelektualną dojrzałością. Niestety, los nie dał mu tej szansy.

Trudno pisać o śmierci przyjaciela. Znaliśmy się zaledwie kilka ostatnich lat i ten ogromny obszar twórczości filmowej Tadeusza znany mi jest głównie z doznań widza i jego opowieści. Był bezsprzecznie jednym z najwybitniejszych operatorów filmowych w Polsce. Może nie miał szczęścia do błyskotliwych, modnych reżyserów, ale zdobył pozycję w zawodzie szaloną pracowitością, wytrwałością i rzetelnością; lojalnością wobec ludzi, z którymi wspólnie stworzył m. in. niezapomnianego „Hubala", serial „Kolumbowie" i kilka dziesiątków innych filmów dla kin i telewizji.

Jeśli dobrze rozumiałem motywy jego późniejszych zainteresowań, muszę powiedzieć, że chociaż Tadeusz wkładał całe serce w swoją pracę operatorską, w jakimś momencie przestała mu ona wystarczać. Zajął się szkoleniem młodzieży filmowej, zostając nauczycielem akademickim w uczelni, której był absolwentem. Łączył tę pracę ze współkierowaniem pierwszym łódzkim zespołem filmowym „Profil". Przez kilka lat byliśmy razem w kierownictwie tego zespołu i mogę stwierdzić, jak ważną, choć mało efektowną i często niewdzięczną rolę spełnił Tadeusz Wieżan. Można to potwierdzić wszyscy ci, którzy znaleźli się w orbicie działania zespołu, a przede wszystkim młodzi adepci sztuki filmowej, dla których zawsze miał czas, sumienną radę i życzliwość.

W owym czasie Tadeusz rozwijał się jako pisarz, był autorem scenariuszy, ale przede wszystkim dramaturgiem. Wystawiał w teatrach Warszawy, Krakowa, Kielc, Radomia; w Łodzi miały premierę „Zakręt" w Teatrze Powszechnym i „Simanionki" w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Za sztukę „Och, jaki piękny ten świat!" otrzymał w Kielcach Nagrodę Czerwonej Róży — nagrodę publiczności. Wspominam o tym, bo właśnie publiczność miał Tadeusz przede wszystkim na uwadze. Nie myślał o „rewolucjonizowaniu" teatru, chciał zaledwie — chociaż to tak wiele! — dawać widzowi proste, ludzkie przeżycia, operując groteską, ciepłą ironią, zmuszając nienachalnie do głębszej refleksji nad ludzką kondycją, zawsze krzepiąc nadzieję; bo był niepoprawnym optymistą.

Jego sztuki, scenariusze, które, niestety, nie zmaterializowały się na ekranach, satyryczne nowelki, których nie zebrało się na samodzielny tom, wymowa tych wszystkich prób i nie dokończonych prac — wszystko to świadczyło jednocześnie, jakim był człowiekiem. Był więc osobowością zadziwiająco jednorodną w sensie życia twórczości i działania, człowiekiem dzięki temu poniekąd szczęśliwym. Ta postawa życzliwości i otwartości wobec świata i ludzi zjednywała mu przyjaciół, sympatię i szacunek w każdym środowisku, w którym działał. Jeśli miał przeciwników to ich swą uczciwością zmuszał do respektu, gdyż jego postawa mądrego, racjonalnego patriotyzmu mogła być wzorem w tych ciężkich czasach.

Cóż jeszcze dodać? Odszedł od nas człowiek dobry, kochany przez najbliższych, szanowany przez wielu któremu ironia losu nie pozwoliła zrealizować do końca swych ambicji i marzeń. Nad jego grobem, w wieńcach i kwiatach oszronionych mrozem, w mgliste niedzielne południe zapaliłem świeczkę i uroniłem łzę. Jakże to niewiele! Jak mało można uczynić dla przyjaciela! Pozostaje jedynie pamięć...

JERZY WAWRZAK ■

CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA

Przez piętnaście minionych lat odbywał się istny festyn corocznych obchodów dekady książki społeczno-politycznej. Zazwyczaj w początkach listopada powstawał nagle spory huczek, w gazetach pojawiały się entuzjastyczne recenzje i omówienia książek, które miały być dostępne dla członków Klubu „Człowiek — Świat — Polityka". Temperatura w miarę upływu tygodni narastała, by w swojej ostatecznej fazie osiągnąć szczyt samozachwytu i pustej euforii. Inauguracja wspomnianej dekady co roku odbywała się w innym mieście, co w praktyce oznaczało, że zaszczycone tym faktem miasto, pozbywało się w sposób bezsensowny milionów złotych. Przecież organizowano wystawy, zaśmiecano reklamą nie tylko witryny, ale i ulice, angażowano setki ludzi... Ale zysk z tego był problematyczny.

Teraz mamy lata osiemdziesiąte. W kraju zmieniło się sporo i nadal nie mamy całkowitej stabilizacji. Nadszedł kolejny listopad. O dekadzie książki społeczno-politycznej pojawiły się zaledwie wstydliwe wzmianki. Z euforii przeszliśmy do nieśmiałości. A szkoda. Nie chcę agitować za reklamowym rozpasaniem, ale żal mi po prostu pięknej inicjatywy. Polacy zawsze garnęli się do literatury traktującej o polityce, szczególnie tej codziennej, a sięgano często do bardzo specjalistycznej. Dawniej propozycje książkowe budziły zniechęcenie, istniejące Kluby „Człowiek — Świat — Polityka" nie miały żadnego wyboru: brały to, co im narzucano. Dziś, kiedy rozwiązano Zjednoczenie Księgarstwa, nie ma kto zająć się tak ważną dekadą jaką jest Dekada Książki Społeczno-Politycznej. Nikt niczego nie proponuje, zlikwidowano Kluby „Człowiek — Świat — Polityka", nie wiadomo jakie tytuły należy propagować, co wybierać. Jest dekada książki bez książki.

Zapytałem kierownika księgarni *„Współczesnej"* w Łodzi *RYSZARDA KOSELA*, co sądzi o tegorocznej, tak ważnej przecież dla edukacji politycznej, dekadzie.

— Myślę, że Klub „Człowiek — Świat — Polityka" powinien istnieć. Zestaw pozycji dla takiego klubu winien obejmować nie tylko klasyków-politologów, ale nawet tzw. bestsellery, książki głośne i znane. W ten sposób uniknięto by choć częściowo przypadkowego odbiorcy, położono by tamę dla odpływu wartościowych książek na „czarny rynek". Samo pojęcie książki społeczno-politycznej jest szerokie, wbrew sądowi to nie tylko marksizm i leninizm, ale co najmniej połowa książek z zakresu nauk społecznych i historycznych. Gdyby to zależało ode mnie, wprowadziłbym nawet kluby dwóch stopni: 1. wersja dla młodzieży, a w niej książki z dziedziny biologii, techniki, geografii, 2. — wersja dla ludzi dorosłych. Chodzi o to, by od najmłodszych lat przyzwyczajać pokolenia do obcowania z trudną, ale jakże pasjonującą, książką. Kluby nie mogą istnieć na zasadzie przymusu, ale na zasadzie atrakcyjności proponowanych tytułów. I wcale nie jest powiedziane, że nie można na przykład, powoływać takich klubów w poszczególnych miastach, powiedzmy w Łodzi. Może to uczynić nasz „Dom Książki", przecież obejmujemy swym zasięgiem ościenne województwa. Wszystko to zależy tylko od ludzi, od ich inwencji, odwagi..

Na marginesie tej rozmowy Ryszard Kosel przedstawił mi kilka książek, które znalazły się w tegorocznej dekadzie, choć nikt ich nie proponował ani zalecał. Księgarze z własnej inicjatywy rzucili na ladę w dniach od 20 do 30 listopada br. m. in. następujące pozycje: serię *„Polska reforma gospodarcza"*, a w niej tytuły: *„Handel zagraniczny"*, *„Planowanie"*, *„Inwestycje"*, serię *„Refleksje — poglądy"* z książką J. Kurowickiego i G. Zwolińskiej pt. *„W którym miejscu jesteśmy"*, a obok: M. Cetwińskiego *„Rycerstwo śląskie do końca XIII w. — Biogramy i rodowody"*, Z. Leitza *„Obozy jenieckie w Prusach Wschodnich 1939—1945"*, A. Burdy *„U podstaw świadomości państwowej"*, J. J Malczewskiego *„Szesnasty kołobrzeski"*, M Berezowskiego *„Czas Reagana"*, L. Gondka *„Wywiad polski w III Rzeszy 1933—1939"*.

Jestem za książką społeczno-polityczną, jestem w ogóle za dobrą książką, dlatego też liczę na odwagę dyrekcji łódzkiego P. P. „Dom Książki". Oby w przyszłym roku listopadowa dekada stała się serdecznym spotkaniem czytelników z atrakcyjnymi książkami, które dzisiaj można oglądać jedynie na bazarach

E. IW. ■

Nasz czas przeszły

Informuję Waszą Ekscelencję o tym, co wydarzyło się w Warszawie

Warszawa, 1 grudnia 1830

PANIE MINISTRZE,

Korzystam z pierwszej nadarzającej się okazji posłania sztafety, by poinformować Waszą Ekscelencję o wydarzeniu równie nieoczekiwanym co doniosłym, którego widownią stała się Warszawa. Przedwczoraj, w poniedziałek, około godziny siódmej wieczorem, wybuchło powstanie, którego projekt otoczony był najgłębszą tajemnicą. Rozpoczęło się ono, jak się wydaje, w szkole wojskowej, znanej pod nazwą Szkoły Podchorążych. Ci młodzi ludzie, w liczbie pięciu czy sześciu setek, chwycili za broń i rozbiegli się po mieście, wzywając Polaków do walki o wolność. Wielu studentów i inni mieszkańcy przyłączyli się wnet do nich, po czym wszyscy pośpieszyli pod koszary piechoty i arsenał. Nie podjęto uprzednio żadnych kroków dla ochrony tego ważnego obiektu, tak bardzo ufano w jego bezpieczeństwo.

Tuż po godzinie dziesiątej włamano się do arsenału i lud zagarnął ogromne zapasy karabinów i szabel. Powstanie objęło już poprzednio koszary piechoty. Jak mnie zapewniają, pułk saperów pierwszy przeszedł na stronę ludu, a wiele innych oddziałów nie zwlekało, by pójść za jego przykładem. Jeszcze przed ustaniem nocy wiadomo było, że Wielki Książę Konstanty nie może zdławić poruszenia i że nie pozostało mu nic innego, jak tylko wycofać się. Książę, którego pałac położony jest za miastem, wsiadł na koń i stanął na czele trzech regimentów kawalerii gwardii rosyjskiej, które były skoszarowane w sąsiedztwie. Rezygnując z niemożliwego oporu, który pociągnąłby za sobą straszliwe nieszczęścia, wycofał się nad ranem z Warszawy wraz z owymi trzema pułkami, a także pułkiem strzelców konnych gwardii polskiej, który wyszedł z miasta, doznawszy nieco strat, i który podporządkował się jego rozkazom. Nie wiem, czy przyłączyły się doń dwa pułki piechoty gwardii rosyjskiej, których koszary są bardzo oddalone od pałacu Jego Cesarzewiczowskiej Mości. Podano mi sprzeczne doniesienia co do losu tych oddziałów, a wobec anarchii, w jakiej wciąż znajduje się miasto, nie jestem zdolny uzyskać całkowitej pewności co do tego, czy innego faktu. To właśnie uniemożliwia mi dziś zajęcie się innymi szczegółami. Najważniejsze, by nasz rząd królewski jak najszybciej dowiedział się o wielkim wydarzeniu, jakim jest triumf insurekcji w Warszawie. Nikt nie wątpi, że pułki, które są rozmieszczone po województwach, pójdą śladem swych towarzyszy broni z Warszawy i że odstępstwo Wojska Polskiego stanie się w ten sposób powszechne. Uważa się tu też za rzecz prawdopodobną, że powstanie rozprzestrzeni się na inne części dawnej Polski. (...)

Warszawa, 6 grudnia 1830

(...) Wydarzenia szybko następują po sobie. Wczoraj Tymczasowa Komisja Rządowa wręczyła gen. Chłopickiemu jego nominację na stanowisko naczelnego wodza wojska i gwardii narodowej. Generał ów oświadczył jej, że władza wojskowa nie wystarczy mu wcale w tak poważnym momencie i że dla ocalenia ojczyzny ogłasza się dyktatorem aż do zwołania Sejmu i że potrafi narzucić posłuszeństwo dla siebie. Komisja nic nie odpowiedziała i poszła za nim na Pole Marsowe, gdzie zgromadziły się oddziały, które natychmiast złożyły przysięgę nowemu dyktatorowi. W ten sposób Komisja przestała istnieć jako rząd i cała władza znajduje się teraz w osobie gen. Chłopickiego. (...)

Warszawa, 9 grudnia 1830

Działalność i energia, jakie rozwinął dyktator, a zwłaszcza rozsądny krok, jaki uczynił zamykając kluby, doprowadziły szybciej niż oczekiwano, do przywrócenia porządku publicznego. Ten szczęśliwy rezultat jest wynikiem skłonności ku pokojowi i posłuszeństwu, jak również, jeśli mogę to określić w taki sposób, wrodzonej dobroduszności mieszkańców Warszawy. W tychże samych dniach, kiedy hasła wolności i odrodzenia ojczyzny popychały ich ku czemuś w rodzaju szaleństwa i gdy ludność była uzbrojona, trzeba oddać sprawiedliwość, że było wtedy mniej ekscesów i nieporządku, niż można było się tego obawiać. Spokój dziś jest taki, że kilku urzędników i innych Rosjan pojawiło się w miejscach publicznych, nie obawiając się zniewagi. Oficerowie-jeńcy zgromadzeni są na zamku królewskim i znakomicie traktowani. Sądzę, że zamierzają ich wysłać Jego Cesarzewiczowskiej Wysokości, Wielkiemu Księciu Konstantemu, ale nie ośmielają się jeszcze tego uczynić. (...)

Warszawa, 20 grudnia 1830

(...) Prawie wszyscy poważni ludzie zgadzają się co do tego, że nie było wcale szerokiej konspiracji, jak można było oczywiście sądzić początkowo i że tylko młodzi ludzie mogli ważyć się na czyn tak śmiały bez porozumienia z innymi częściami Polski, bez zachęty ze strony jakiegokolwiek obcego mocarstwa, bez rozsądnej nadziei na pomoc i w chwili, gdy przygotowania wojenne Rosji zgromadziły tak niedaleko potężną armię. Ale oczywiste zuchwalstwo tego przedsięwzięcia uwydatnia tylko jeszcze bardziej siłę sentymentów, której zawdzięcza ono swe szybkie postępy. Całe Królestwo przyłączyło się do niego z jak najwyższym entuzjazmem. Mówiłem już o pośpiechu, z jakim byli wojskowi powracają pod sztandary, o zapale, jaki wykazują wszystkie klasy. Mieszkańcy Warszawy zabiegają tłumnie, by pracować przy okopach, które pośpiesznie są wznoszone bez wątpienia po to, by zabezpieczyć miasto przed nagłym wtargnięciem, bo nie można liczyć na to, by wytrzymało ono dzo szybko zostanie podniesiona do 50 lub 60 tys. ludzi, liczą tu na 10 tys. jazdy nieregularnej. Wątpię, by było wystarczająco dużo karabinów dla długotrwałe oblężenie. Mówiłem, że regularna armia baruzbrojenia wszystkich 50 tys. członków gwardii narodowej, ale produkuje się je z całym możliwym pośpiechem. Oceniają tu na 150 dział siłę artylerii zdolnej do użycia, trudno będzie ją pomnożyć, trudno będzie też wyrównać straty w koniach. (...)

Warszawa, 20 stycznia 1831

Informacje, które skłaniały mnie do przypuszczeń, że gen. Chłopicki chce złożyć swą władzę, okazały się absolutnie dokładne. Wykonał on swe postanowienie jeszcze przedwczoraj. Daremnie usiłowano go powstrzymać, był nieugięty. Deputacja, jaką Sejm postawił u jego boku, opublikowała wieczorem oświadczenie, którego przekład mam zaszczyt przesłać. Przed pałacem rządowym i więzieniem, gdzie trzymani są szpiedzy tajnej policji ostatniego rządu, zebrały się liczne tłumy. Zamieszki zdawały się nieuniknione, ale przecież nie doszło do nich. Dwa pułki kawalerii, kilka oddziałów innych wojsk liniowych i około 3600 ludzi z gwardii narodowej zdołało rozproszyć zbiegowisko bez wystrzału.

Generał Chłopicki najprawdopodobniej kierował się w swym postanowieniu przeświadczeniem, że nie sposób jest załagodzić rewolucji. Powszechnie zarzuca mu się, że nie podjął bardziej energicznych kroków, by powstrzymać partię zapaleńców, i że osłabił sprawę narodową wycofując się w chwili, gdy jest najbardziej niezbędny. Miał on atak gorączki mózgowej, spowodowany bez wątpienia nadmiarem emocji, co było powodem pogłosek o braku równowagi umysłowej. (...)

Warszawa, 25 stycznia 1831

(...) Informacje, jakie otrzymuję, wskazują, że ta uczciwa, ale nieostrożna deklaracja dyktatora wywołała we wszystkich warstwach narodu głębokie wrażenie i że niewątpliwie liczba tych, co życzą sobie porozumienia, pomnaża się z każdym dniem. Gdyby car zechciał przyznać powszechną amnestię, złożyć obietnicę wprowadzenia w życie konstytucji i gdyby miał tutaj agentów, nie byłbym zaskoczony, że uzyskałby on w tym momencie dobrowolne poddanie się, mimo rozgoraczkowania i krzykliwości klubów.

Sejm odbył wczoraj posiedzenie, które było mało interesujące. Zaproponowano na nim postawienie przed sądem gen. Chłopickiego, przeciwko któremu irytacja sięga szczytu. Nic nie postanowiono w tym przedmiocie. Dekret obu izb, który powierzał mu dyktaturę, stwierdzał, że nie podlega on żadnej odpowiedzialności, i trudno, aby te same izby otwarcie poświadczyły teraz ową gwarancję. Powinien on jednak obawiać się zemsty ze strony partii dominującej. (...)

Warszawa, 31 stycznia 1831

(...) Książę Adam Czartoryski został mianowany wczoraj przez Sejm prezesem rządu. Jest to doskonały wybór, książę ten jest człowiekiem dobrym i zasłużonym, pragnącym tylko korzyści dla swego kraju i nie oddającym się nierozsądnym nadziejom. Od upadku gen. Chłopickiego jest on przywódcą partii umiarkowanej, ale nie wiem, czy ma dość twardości w swym charakterze, by walczyć przeciw partii zapaleńców, co zresztą jest tak trudne dzisiaj. Sposób, w jaki ogłoszono detronizację, wskazuje na strach, który ta partia budzi, bo, powtarzam, jestem przekonany, że w tajnym głosowaniu decyzja ta zostałaby odrzucona nie jako sprzeczna z pragnieniem ogółu, zawierającym się w całkowitej niepodległości, ale jako zbyt zuchwała, sprzeczna z interesem politycznym, a przynajmniej przedwczesna. Groźba potraktowania oponentów jako zdrajców ojczyzny, wystarczy sama do wyjaśnienia, że nikt nie ośmielił się żądać, aby tak wielki czyn był poprzedzony poważną dyskusją i aby głosowanie odbyło się zgodnie z prawem. Wielu członków Sejmu bez skrupułów sądzi, że nie wiąże ich wcale decyzja narzucona w tak oczywisty sposób. (...)

Warszawa, 3 lutego 1831

(...) Entuzjazm dla sprawy narodowej nie stygnie wcale. Spieszą tu z przygotowaniami wojennymi z jak największym ożywieniem, ale nadzieje co do produkcji karabinów jeszcze nie spełniły się. Nie mogąc otrzymać ich z zagranicy, ani też szybko wytworzyć w dostatecznej liczbie, rozdaje się je tylko pierwszym szeregom nowych pułków armii regularnej, inne szeregi są uzbrojone w lance lub kosy. Duch, jakim przeniknione jest wojsko i naród, nie pozostawia wątpliwości, że opór będzie wytrwały. Pod tym względem egzaltacja jest wciąż ta sama. Polacy ochoczo oddają się nadziejom czasem iluzjom, i kiedy wspomina się o możliwości klęsk, są zdecydowani pozostawić nieprzyjacielowi tylko ruiny (...)

Warszawa, 7 lutego 1831

Wojna wnet rozpocznie się. Sztafety, które przybyły wczoraj późnym rankiem, doniosły, że kozacy z rosyjskiej awangardy wkroczyli do Królestwa w trzech punktach — w Brześciu Litewskim, Ciechanowcu, w północnej części województwa podlaskiego, i Uściługu, na wprost twierdzy Zamość. Według tych raportów piechota miała przekroczyć Bug w dniu wczorajszym. Przypuszczają tu, że marszałek Dybicz pośpieszył się z rozpoczęciem kampanii, zanim puści lód na rzekach, a topnienie śniegów sprawi, że inwazja będzie trudniejsza. Rzeczywiście, od dwu dni pogoda jest łagodna i odwilż nie jest już odległa.

Pułki, które pozostawały tutaj, wyruszyły wczoraj. Wódz naczelny bez wątpienia wyruszy także. Zapał, z jakim oddziały polskie idą naprzeciw nieprzyjaciela, pozwala przypuszczać, że dojdzie do straszliwego starcia. Batalia, która powinna rozegrać się już za kilka dni, musi być krwawa. Jeśli Polacy wygrają ją, z ochotą wykorzystają swą przewagę i spróbują przenieść wojnę na Litwę, gdzie mogą być pewni, że znajdą wiele sympatii wśród ludności. Jeśli jednak Rosjanie uzyskają pełne zwycięstwo dzięki przewadze liczebnej, przewadze artylerii lub zdolnościom swych generałów, to nie muszę mówić, że skoro odległości są niewielkie, a żadna pozycja wojskowa nie osłania Warszawy (tym bardziej, iż lody na Wiśle wcale jeszcze nie puściły), to nieprzyjaciel może rychło być w tym mieście, gdzie bez wątpienia schroniłoby się Wojsko Polskie. Mówi się, że w takim wypadku dojdzie do zaciekłej walki, wspomina o barykadach ulicznych, o ufortyfikowaniu domów, o ich podpaleniu, o bojach o każdą piędź ziemi i pozostawieniu tylko ruin. Egzaltacja jest taka, że można obawiać się postanowień najbardziej desperackich i najstraszliwszych klęsk. (...)

Warszawa, 21 lutego 1831

Krwawe walki rozgrywały się codziennie niemal pod murami Warszawy. Ponieważ marszałek Dybicz posunął drogami z Siedlec i Węgrowa znaczne masy wojska, na czele których ma sam się znajdować, Wojsko Polskie skoncentrowało się od 17 lutego wokół Pragi, bo generałowie uznali, że niepodobieństwem jest zatrzymać te masy, albo też chcieli wybrać pole bitwy zbliżone bardziej do magazynów żywności i amunicji. Rosjanie usadowili się mocno w lasach niezbyt odległych i nie przestają od tej pory toczyć cząstkowych walk, nie chcą jednak doprowadzać do rozstrzygającej batalii. Wystawiają tylko kilka pułków w tym samym miejscu, walczą tylko parę godzin i gdy Polacy manewrują, by obejść ich i wciągnąć na równinę, cofają się w głąb lasów, gdzie kawaleria nie może ich ścigać i gdzie zresztą broni ich wspaniała artyleria. Przedwczoraj te cząstkowe walki, w których, jak się zdaje, Polacy mieli aż do tej pory przewagę, były bardziej zacięte i krwawe. Trwały niemal cały dzień i rozgrywały się nie dalej od rzeki jak o pół mili. Generał Żymierski, który dowodzi prawym skrzydłem, pośpieszył połączyć się z głównym trzonem armii. Generał Krukowiecki przybliżył się również z lewym skrzydłem i bez wątpienia jego ruchowi zawdzięczają Polacy, że zyskali wczoraj nieco terenu.

Ponieważ nie ukazał się żaden biuletyn, nie mogę dostarczyć szczegółów walki. Przesyłam przekład jedynych wiadomości, które zostały opublikowane. Oddziały polskie dokonują cudów waleczności. Panuje tu zgodny pogląd, że młodzi żołnierze rzucają się na nieprzyjaciela z takim samym zapałem, co starzy, że wszyscy walczą z prawdziwą zaciekłością. Zapewniają mnie, że Rosjanie ponoszą większe straty niż Polacy. Według powszechnej opinii mieli oni utracić w ciągu ostatnich trzech dni 10 tys. ludzi w zabitych. W mieście jest też wiele setek jeńców i przywieziono tu około tysiąca rannych Polaków. (...)

Warszawa, 28 lutego 1831

Od czasu mej ostatniej depeszy wydarzenia militarne zwiększyły zagrożenie Polaków. Nie będąc pewnym dokładności kilku szczegółów, powinienem ograniczyć się do przytoczenia podstawowych faktów.

Nowy korpus rosyjski, który nadciągnął drogą od Łomży, uderzył 24 lutego na lewe skrzydło Wojska Polskiego. Oddziały pozostawione w Pułtusku wycofały się w wielkim pośpiechu, jak też te, które były eszelonami na owej drodze. Pod wieczór rozpoczęła się kanonada od strony Jabłonny, nie przynosząc jednak rezultatu. Nadejście wspomnianych posiłków pozwalało przecież przypuszczać, że nazajutrz dojdzie do generalnego starcia.

Istotnie, Rosjanie wyszli z lasów już o świcie w liczbie ponad 100 tys., wspierani przez 200 luf armatnich, i podjęli atak na całej linii. Ich prawe skrzydło zostało żywo odparte przez generała Krukowieckiego, dowodzącego lewym skrzydłem polskim i przez generała Umińskiego. Ale ich główne siły zostały skierowane przeciw środkowi i prawemu skrzydłu polskiemu, które opierały się o Pragę i o błota. Walczono prawie cały dzień z jak największą zaciekłością i ze zmiennym powodzeniem. Generał Chłopicki, który w rzeczywistości dowodził Wojskiem Polskim, zajął stanowisko w centrum i prowadził sam bataliony na nieprzyjaciela pod żywym ogniem. Dwa konie padły już pod nim. W chwili, gdy żywił pełne nadzieje na sukces wielkiego manewru, do wykonania którego wydał rozkaz, padł pod nim trzeci koń, a on sam został ranny w nogę, co zmusiło go do opuszczenia pola bitwy. Oddziały, nie widząc go już na czele, zawahały się, jeden z pułków kawalerii nowej formacji został ogarnięty paniką, zawrócił konie, zmieszał szyki innego pułku, posiał zamęt w całej dywizji jazdy i spowodował odwrót centrum. Prawie w tym samym czasie prawe skrzydło, które było żywo naciskane przez przeważające siły i przed którym padł dowodzący tu generał Żymirski, śmiertelnie ranny, zmuszone zostało do opuszczenia ważnych pozycji i wycofania się na Pragę. W ten sposób około godziny trzeciej po południu trzeba było koniecznie wycofać tam także skrzydło lewe i cała armia tu się skoncentrowała. Walczyła dzielnie, wzięła 5 lub 6 dział, zagarnęła kilkuset jeńców, zabiła, jak zapewniają, około 8 tys. ludzi, ale musiała ustąpić z pola bitwy. Nie mogła ona dłużej utrzymać się na prawym brzegu, rozpoznawszy siły nieprzyjaciela, uznawszy mały pożytek w regularnej bitwie z chłopów uzbrojonych w kosy i niemożność liczenia na opór wszystkich nowych oddziałów. Straty nie są jeszcze dobrze znane, mówi się, że są one o wiele mniejsze niż straty Rosjan, do szpitali przywieziono 2700 rannych. Generał dywizji Żymirski żył jeszcze tylko kilka godzin po swym zranieniu. Rana generała Chłopickiego nie jest wcale niebezpieczna.

W nocy z 25 na 26 lutego książę Radziwiłł, którego oskarżają o brak zdolności i energii po odejściu jego doradcy, rozkazał wszystkim oddziałom przejść na lewy brzeg pozostawiając na Pradze tylko artylerię i piechotę niezbędną do obrony przyczółka. Podpalono przedwczoraj część tego nieszczęsnego przedmieścia, które mogło utrudniać obronę. Kawaleria rozmieszczona została nad rzeką poniżej i powyżej Warszawy. Piechota powróciła do koszar miejskich i do baraków obozu niewiele oddalonego od rogatek, w których spędzała co roku część lata (...)

Zabudowania Pragi nie będą bronione, więc generałowie rosyjscy mogą dosyć szybko podjąć atak na coś w rodzaju fortecy, która została tu umieszczona jako przyczółek. Nie zostanie ona jednak porzucona bez podpalenia mostu i nie będzie łatwo wybudować innego mostu w tym punkcie, nad którym od strony miasta dominują wzgórza, gdzie usypano baterie. Dwie z nich są uzbrojone w działa wielkiego kalibru. Przewiduje się, że Rosjanie pozostawią na wprost Pragi korpus obserwacyjny i że spróbują przejść Wisłę w innym punkcie. Artyleria nie może już przejść po lodzie ani nawet kawaleria. Nie sądzi się, by Rosjanie mieli pontony i potrzeba im wielu dni, by mogli wybudować tratwy. (...)

Foto: CAF

Składam skargę i co dalej?

Rozmowa z przewodniczącym Sejmowej Komisji Skarg i Wniosków, posłem na Sejm PRL — WITEM DRAPICHEM.

Krajowa Rada Narodowa w 1946 roku przyznała prawo do składania skarg. Konstytucja PRL z 1952 r. prawo podniosła do rzędu podstawowych praw obywatelskich. Ustawowe zaś uregulowanie trybu przyjmowania, rozpatrywania i załatwiania skarg nastąpiło w 1960 roku przez uchwalenie kodeksu postępowania administracyjnego. Dalszego uzupełnienia instytucjonalnego, gwarantującego pełną realizację prawa do skargi dokonał Sejm 21 listopada 1980 roku powołując stałą Komisję Skarg i Wniosków.

— Dlaczego Sejm powołał Komisję Skarg i Wniosków — pytamy przewodniczącego Sejmowej Komisji Skarg i Wniosków, posła Wita Drapicha.

— Wynika to przede wszystkim z faktu, że prawo do skargi jest jednym z podstawowych i najważniejszych w naszym ustroju praw obywatela. Zgodnie z Konstytucją, obywatelom przysługuje prawo zwracania się ze skargami do wszystkich organów państwowych.

Sejmowa Komisja, której przewodniczę, nie może się jednak koncentrować tylko na rozpatrywaniu i załatwianiu skarg wpływających do Sejmu. Pewna ich ilość pozostanie oczywiście w bezpośrednim zainteresowaniu naszej Komisji. Zadecyduje o tym waga problemu, bądź to, że skarżący się wyczerpał już wszystkie możliwości, bądź to, że nie jest zadowolony z odpowiedzi udzielonej mu przez różne organa państwowe.

Poza tym Komisja dokonuje analizy skarg, która orientuje nas i inne organy Sejmu w problematyce nurtującej społeczeństwo. Ukazuje to między innymi zakres niedomagań występujących w pracy administracji. Jest to ogromnie ważne. Na tym właśnie Komisja nasza skupiała swoją uwagę.

— Z jaką ilością spraw Komisja ma do czynienia?

— W ubiegłym roku wpłynęło ponad 20.000 spraw. Zdecydowaną ich większość przekazano do rozpatrzenia innym organom i instytucjom

— Czy dużo jest skarg uzasadnionych?

— Sporo, bo około 40 proc.

— Czy wpływają skargi anonimowe?

— Tak, i są traktowane przede wszystkim jako sygnał, jako informacja. O sposobie postępowania ze skargą anonimową decyduje treść w niej zawarta, a nie forma, w jakiej zostaje ona przesłana.

— Co powoduje człowiekiem, że pisze anonim?

— Przyczyny są różne. Na przykład człowiek boi się odwetu, szykan, czy nawet zemsty ze strony tych, których demaskuje. Są to często obawy uzasadnione. Zdarzają się też anonimy, które są złośliwym pomówieniem czy też donosami. Jednakże nie stanowią one większości.

— Jeżeli Komisja uzna, że sprawy nie można przekazać do żadnego organu poza Sejmem — co wówczas?

— Ustalenie sposobu postępowania należy do Kancelarii Sejmu, chyba, że poseł osobiście przyjmuje skargę. Sam sposób rozpatrywania skargi może mieć różne formy w zależności od rodzaju sprawy: jej zawiłości, ciężaru zarzutów, itp

— Czy skargi zawierają także zarzuty pod adresem treści prawa?

— Większość tego rodzaju skarg nie dotyczy samych rozwiązań prawnych, ale nieprzestrzegania, łamania prawa, jego omijania lub też interpretacji tendencyjnej, lub jawnie sprzecznej z duchem prawa.

— Czy do Sejmu jako najwyższego organu władzy wpływają skargi na inne naczelne (ale nie najwyższe) organy państwowe? Myślę tu o Radzie Państwa, jej przewodniczącym, Najwyższej Izbie Kontroli, jej prezesie, Radzie Ministrów, premierze.

— Skarg takich nie było. Gdyby taka skarga wpłynęła, Komisja nasza bądź Prezydium Sejmu badałyby taką sprawę.

— Czego przy pomocy skarg najczęściej bronią obywatele: swojego interesu, swoich bliskich, interesu innych osób czy też interesu społecznego?

— Głównie bronią interesów własnych i osób im bliskich. Skarg dotyczących problemów ogólnospołecznych jest niewiele. Częstsze natomiast na tle własnej sprawy są uogólnienia.

— Czy skarżący się przychodzą do Sejmu, aby osobiście złożyć skargę na ręce posła?

— Są to najczęściej ci, którzy interweniowali już wielokrotnie w różnych instytucjach, ale ich zdaniem bezskutecznie. Dotyczy to przeważnie spraw rent, emerytur, spraw związanych z gospodarką ziemią, a także spraw mieszkaniowych

— Kto skarży się najczęściej?

— Najczęściej skarżą się robotnicy i chłopi. Znacznie mniej inteligencja. Skargi pisane przez ludzi prostych i niezbyt wykształconych są jasne w treści, czasem świadczą o dużej znajomości zasad prawa, a niekiedy i konkretnych przepisów. W niektórych czuje się rękę znakomitego prawnika, który podpowiadał piszącemu. Zjawiska te uważam za dobry objaw

— Z tego co pan powiedział wynika, że funkcjonowanie administracji spotyka się z krytyką. Czy tylko z winy urzędników? Sądzę że nie tylko. Pierwszym krokiem ku naprawie funkcjonowania administracji będzie ustawa o pracownikach urzędów państwowych. Dalsze — to ustawy o ustroju rad narodowych i samorządzie terytorialnym, co da podstawę dla stworzenia przejrzystej i funkcjonalnej struktury całej administracji.

Potrzebna też będzie ustawa o naczelnych i centralnych organach administracji państwowej. Sądzę, że dopiero komplet tych aktów prawnych stworzy podwaliny pod sprawną administrację służącą obywatelowi i realizującą nadrzędne cele, a nie biurokracji skoncentrowanej często w swym działaniu na obronie wąskich i partykularnych interesów.

— Z pewnością ustawa o statusie pracowników państwowych wpłynie na to, że w administracji o sprawach obywatela decydować będą ludzie kompetentni. A już urzędnicy zajmujący się skargami muszą być najbardziej doświadczonymi i dobrze przygotowanymi zawodowo. Powinni to być ludzie dociekliwi, samodzielni w myśleniu, odporni na układy. Cechować ich powinna wysoka kultura osobista, wrażliwość oraz dobra znajomość prawa. Prawo nie może być parawanem zasłaniającym niekompetencję czy nieudolność.

Kontakt bowiem z petentem, przychodzącym ze skargą do urzędu, jest kontaktem szczególnego rodzaju. Skarżący się jest osobą niezadowoloną. Najczęściej okazuje się, że to niezadowolenie jest uzasadnione, choć o tym nie można wiedzieć od pierwszej chwili. Jednakże taką hipotezę już na wstępie należy przyjąć, aby zrozumieć człowieka skrzywdzonego. Czasem okazuje się, że niezadowolenie człowieka jest subiektywne, ale w jego przekonaniu zasadne. Trzeba więc nie tylko chcieć wysłuchać tego co mówi skarżący się, ale umieć go przekonywać.

— Przy życzliwym stosunku do petenta, próbie zrozumienia jego spraw i kłopotów, ilość skarg byłaby niewątpliwie mniejsza.

— To prawda. Wiele skarg rodzi się wyłącznie z odgórnego, sobiepańskiego sposobu potraktowania skarżącego się w urzędzie, czy instytucji. Na krzywdy i skargi obywatela, choćby subiektywne, nie można być obojętnym.

— Czy nie sądzi pan, że urzędnicy zajmujący się skargami powinni być podporządkowani bezpośrednio kierownikowi danego urzędu?

— Oczywiście. Wiele szczebli, jakie musi przejść petent w urzędach nie likwiduje subiektywizmu w rozpatrywaniu jego sprawy. Wręcz przeciwnie. Nie można bowiem być w pełni obiektywnym wobec decyzji czy sugestii przełożonych czy osób, od których nawet pośrednio jest się zależnym. Nie można też rozpatrywać skarg na samego siebie, a takie sytuacje zdarzają się. Rodzi to nie tylko nowe skargi, ale — co gorsza — także niewiarę w ich skuteczność.

— Ilość skarg to chyba potwierdza?

— Ilość skarg nie jest wystarczającą miarą, ani kryterium oceny zjawiska, nie musi też świadczyć o jakości pracy urzędu. Może się zdarzyć, że ludzie w ogóle się nie skarżą, ale nie dlatego, że nie mają powodów. Ludzie świadomie rezygnują ze skarg wtedy, gdy nie wierzą w ich skuteczność. Dlatego tak ważną sprawą jest budzenie zaufania i przekonania, że każda skarga musi być rozpatrywana obiektywnie i zgodnie z konstytucyjną zasadą praworządności. Zatem zwiększanie się ilości skarg może również świadczyć o wzrastającym zaufaniu obywateli, do organów i instytucji państwowych, które skargi rozpatrują, jeśli robią to obiektywnie i zgodnie z prawem. Jest to również forma dialogu społeczeństwa z organami państwowymi i jego aparatem.

— W latach 70 pojawiły się tendencje zmierzające do ograniczenia ilości skarg. Sugerowano wysokie opłaty pieniężne przy wnoszeniu skarg jako niezbędny warunek nadania biegu sprawie. W skarżących się niektórzy chcieli widzieć tylko pieniaczy i ludzi nieodpowiedzialnych.

Co pan sądzi o tego typu opiniach sugerujących potrzebę tworzenia barier na drodze do realizacji bądź co bądź podstawowego prawa obywatelskiego, w niczym nie ograniczonego nawet przez surowe przepisy dekretu o stanie wojennym?

— Uważam, że próby tworzenia tego typu barier są niedopuszczalne. Prawo do składania skarg wynika z podstaw naszego ustroju i nie może być niczym i przez nikogo ograniczane. Powinniśmy pamiętać, że instytucja skarg, funkcjonująca normalnie, spełnia bardzo ważną rolę polityczną. Poprzez prawidłowo i bez ograniczeń funkcjonującą instytucję skarg realizuje się ludowładztwo — fundament ustroju socjalistycznego. Obywatel czuje się najpełniej współgospodarzem własnego kraju wówczas, gdy ma faktyczną możliwość wpływu na bieg spraw publicznych.

— Zgodnie z przepisami kodeksu postępowania administracyjnego środki społecznego komunikowania mają także zagwarantowany swój udział w funkcjonowaniu instytucji skarg. Czy redakcje prasy, radia i telewizji często występują w roli rzecznika interesu obywatela?

— Rola prasy, radia i telewizji jest niezastąpiona, zwłaszcza w publicznym ukazywaniu i piętnowaniu zła, odsłanianiu mechanizmów jego powstawania i funkcjonowania. Ma to ogromne znaczenie profilaktyczne.

— Czy widziałby pan potrzebę — za dwa, trzy lata — publicznej debaty sejmowej nad stanem praworządności w państwie?

— Z całą pewnością, tak. Przestrzeganie, interpretacja i stosowanie prawa ma ogromne znaczenie dla prawidłowego funkcjonowania państwa. Jednak nie tyle treść samego prawa ile sposób jego stosowania budzi u obywateli mnóstwo obaw i jest przedmiotem licznych skarg. Doskonalenie prawa powinno być procesem ciągłym. Taka debata byłaby bardzo potrzebna, ukazałaby ogólne tendencje i potrzeby zmian w ustawodawstwie.

— Czy zapoznając się ze skargą — jako poseł — czuje się pan bardziej rzecznikiem obywatela wnoszącego skargę, czy też rzecznikiem organów państwowych?

— Najpierw staram się podchodzić do sprawy z punktu widzenia prawa. Następnie wczuwam się w motywację i okoliczności, które spowodowały skargę. Bez zrozumienia człowieka i jego sytuacji, która zrodziła skargę, nie sposób załatwić dobrze żadnej sprawy. Do Sejmu trafiają przecież ci skarżący się, którzy już wyczerpali wszystkie — przewidziane prawem — możliwości dochodzenia swych racji i uzyskania sprawiedliwości. Ludzie licza się z prawem. Natomiast niektórzy urzędnicy traktują prawo tak, jak gdyby byli jego źródłem. Skargi ukazują ciemne strony naszego życia. To bardzo ważne źródło wiedzy o stosunkach panujących między petentem, urzędem i urzędnikami.

Rozmawiał:
MARIAN STRZELECKI ■

Tunezja w Brużycy

Na początku lat pięćdziesiątych mury i płoty wsi polskiej okryły się plakatami z podobizną wroga klasowego. Był to przeważnie typ o wrednej gębie i chytrych oczkach, z wielkim, spasionym brzuchem, siedzący okrakiem na zgromadzonych skrzętnie dobrach, jakie wydała ziemia. Kułak-krwiopijca, wielki ciemiężca biedniaka i średniaka. Rozpoczęła się walka z tym ciemnym elementem, który zatarasował drogę ku świetlanej przyszłości. Reporterzy trzaskali na maszynach przebarwne reportaże, pisarze chwytali za pióra, filmowcy kręcili wiejskie epopeje. Pod naciskiem powiatowych notabli, pod ich czujnym, srogim okiem rosły jak grzyby po deszczu spółdzielnie produkcyjne. Euforia kolektywizacji i szumna pompa propagandowa przyćmiewały chłopskie tragedie.

A przecież dobra chłopska przyszłość otworzyła się przed chłopstwem dużo wcześniej. Była nią największy akt historyczny w PRL — reforma rolna, która zakładała, iż podstawą rolnictwa w ludowym państwie stanie się gospodarka chłopska. Gorącym rzecznikiem tego programu był Władysław Gomułka, ale jego „polską drogę do socjalizmu" uznano za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". Władysława Gomułkę odsunięto od władzy i wzorem innych państw KDL wprowadzono u nas kolektywizację. Ile to przyniosło szkód, nie warto wspominać.

W roku 1957 Władysław Gomułka nie zalecił likwidacji spółdzielni produkcyjnych, ale też nie zakazał ich rozwiązywania. Było to pociągnięcie niezwykle słuszne, ponieważ tysiące spółdzielni się rozpadło, ale jednocześnie zawiązało się setki nowych, już bez przymusu, z dobrej woli. Nowi spółdzielcy zaczynali z końskimi zaprzęgami, z chłopskimi pługami i bronami, bez budynków inwentarskich z prawdziwego zdarzenia. Bez dotacji, chociaż z kredytami, nie szło im łatwo. Najważniejsi byli ludzie, ich stosunek do tego, co robili. Ludzie decydowali o trwałości spółdzielni, o wynikach. Kto zakasał rękawy, ten wychodził na swoje. Ale wówczas byli to prawdziwi członkowie spółdzielni, bez tych całych plutonów fachowców i innych pracowników najemnych. Prezesami zostali chłopi, a nie przywożeni w teczkach magistrowie. I te spółdzielnie ostały się, wzbogaciły i okrzepły. Przykładem mogą być tak dobre i zasobne RSP w woj. łódzkim, jak Srebrna-Dąbrówka, Ksawerów czy Wiskitno.

Ale historia lubi się powtarzać. W połowie lat siedemdziesiątych zaczęto odbierać chłopom ziemie dzierżawione z PFZ. Ówczesny premier wydał nawet zarządzenie, aby grunty przekazane państwu za rentę lub opuszczone przez rolników oddawać gospodarce uspołecznionej, głównie SKR i RSP. Starzy spółdzielcy patrzyli z żalem, jak znowu powstawały „na siłę" spółdzielnie produkcyjne, przy czym dawano im wszystko, co było w okolicy: porozrzucaną w kawałkach ziemię, budynki, dotacje, kredyty. Przy okazji odbywało się to najczęściej wbrew statutowi spółdzielczemu, gdyż do spółdzielni wstępowała masa ludzi przypadkowych, bez wkładu statutowego, czyli bez ziemi. Takie spółdzielnie zatrudniały wielu fachowców z zewnątrz, chociażby traktorzystów, którzy pili wódkę, jeździli na tzw. lewiznę, dewastowali ciągniki i maszyny. Dochodziło do tego, że na 100 pracowników przypadało 200 ha ziemi, a więc jeszcze więcej niż w rozdrobnionej gospodarce chłopskiej.

Na skutki tej niestałości w polityce rolnej nie trzeba było długo czekać. Właśnie dziś, w dobie reformy, płaci się słoną cenę za przyśpieszanie rozwoju spółdzielni w końcu lat siedemdziesiątych. Po masowym przyjmowaniu pracowników na członków ci „pseudospółdzielcy" byli pierwszymi, którzy chcieli rozbijać spółdzielnie, gdy zmieniły się nastroje. Bo oni nie wnieśli własnych środków, czuli się jak pracownicy państwowi, w myśl zasady „czy się stoi, czy się leży". No i się leżało, a w polu rosły chwasty, sypało się zboże na pniu, gniły kartofle. Przecież pod ręką był dobry „ojczulek", czyli państwo, które dawało dotacje. Produkcja rola nieopłacalna, więc żeby jako tako wiązać koniec z końcem, w spółdzielniach produkcyjnych otwierano różne warsztaty, nie zawsze związane z rolnictwem. Reszty dopełniały różne zakazy, nakazy, i zapędy administracyjne. Uprawiano to, co się nie opłacało, a państwo rekompensowało straty.

Myślę, że upłynie sporo czasu, nim spółdzielcy, nawet ci z prawdziwego zdarzenia, poczują się gospodarzem na swoim. Przykładem niech będzie tworzenie spółdzielni produkcyjnej w Chocianowicach, do której weszli pracownicy zlikwidowanej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Ci ludzie długo nie mogli uwierzyć, że są spółdzielcami, że w spółdzielni produkcyjnej cały majątek i środki produkcji są własnością członków. W spółdzielni produkcyjnej nie można dewastować maszyn, leżeć do góry brzuchem i zaniedbywać ziemię, bo to się zemści, nie będzie pieniędzy na wypłatę. Tak się stało w RSP w Gozdowie. Ba, więcej! W Gozdowie zdewastowano majątek spółdzielni wartości kilkudziesięciu milionów.

Takich błędów nie wolno więcej popełniać. Na inne nie pozwoli reforma i nowe prawo spółdzielcze.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych było wszystko: dotacje, ziemia za darmo (jeszcze dopłacano za jej przyjęcie!), olbrzymie kredyty, zagwarantowane materiały budowlane i pasze. Trzeba obiektywnie stwierdzić, iż w tym okresie wielu rolników wskutek błędnej polityki rolnej i nieopłacalności produkcji zaczęło opuszczać ziemię. Szczególnie młodzież, która szła na wielkie budowy. Liczono się także z faktem, że chłopi bez następców, zachwyceni gierkowską ustawą o emeryturach, zaczną masowo przekazywać gospodarstwa za renty. W związku z tym w wielu spółdzielniach zdecydowano się na budowę wielkich obór i chlewni, licząc na znaczny przypływ ziemi. W gruncie rzeczy założenie to było słuszne. Nie przewidziano jednak, że może się zmienić ekipa rządząca, która przychylnie ustosunkuje się do rolnictwa indywidualnego i całkowicie zmieni politykę wobec całego rolnictwa, we wszystkich jego sektorach. A już chyba w głowie największego fantasty nie mogła się zrodzić myśl, iż kiedyś do spółdzielni produkcyjnej może wejść obcy kapitał. To niemożliwe? Proszę bardzo!

Otóż jest taka RSP w Brużycy, która do dziś posiada 300 ha gruntów, 100 krów mlecznych i 1000 sztuk trzody chlewnej. A na dodatek stolarnię i tartak świadczące usługi dla rolników. I w tejże Brużycy, kierując się przesłankami, o których wspomniałem wyżej, zdecydowano w 1976 r. zbudować fermę-gigant. Oczywiście nie z woli i szczerego zapału samych spółdzielców. No i zbudowano. Przede wszystkim dwie obory na 400 krów dojnych. A że produkcja miała się odbywać w tzw. cyklu zamkniętym, wzniesiono także jałownik oraz dwa cielętniki. A gdzie gromadzić pasze? Postawiono wielkie wiaty na siano oraz olbrzymie silosy przejazdowe na kiszonki. Żeby miał kto obsługiwać tę piękną fermę, trzeba było zbudować blok mieszkalny dla załogi. Całość, według starych cen, kosztowała 75 mln zł.

Ale jak to wszystko stanęło pod wiechą, okazało się, że chłopi zamiast przekazywać ziemię lub uciekać z gospodarstw, zaczęli się dopominać o grunty z PFZ. Spółdzielni w Brużycy zostało 300 ha. Tymczasem w nowych obiektach powinno się znaleźć w sumie 800 sztuk bydła. A tu nie ma już paszy za dolary! Żeby wykarmić bydło plus 1200 sztuk świń Brużyca musiałaby mieć minimum 1000 ha ziemi.

Budowli nie można było już cofnąć. Po prostu te budynki i silosy już stały. Można je było przeznaczyć na cele gospodarcze, np. na magazyny. Ale wówczas spłata kredytów oraz amortyzacja całkowicie zniszczyłaby RSP Brużyca, spółdzielcy poszliby z torbami. Pomyślano więc o wydzierżawieniu obiektu, lecz żaden łódzki zakład przemysłowy nie poszedł na to. Znalazła się jednak firma tunezyjska pod nazwą „Tunipol". Firma ta płaci już dzierżawę, chociaż jeszcze nie produkuje. Po 10 latach dzierżawa pokryje spłatę kredytu. A więc dobry interes, gdyż Brużyca wyjdzie na tym bez strat. Niby tak, ale czy o to nam chodzi? „Pierścień mleczny" nie jest bzdurnym wymysłem, Łódź potrzebuje świeżego mleka. Ów „pierścień" należy umacniać, ale już bez popełniania błędów.

W Brużycy są dobrej myśli. Sądzą, że po 10 latach uzyskają od okolicznych chłopów tyle ziemi, że będą w stanie zasiedlić bydłem swoje obory.

Osobiście nie podzielam tego optymizmu. Bo rząd gen. Jaruzelskiego stoi twardo na stanowisku: koniec z zakrętami historycznymi. Jeśli więc rząd dotrzyma słowa i nie zmieni polityki wobec wsi, jeśli wesprze rolników, jeśli w konstytucji znajdzie się zapis o trwałości chłopskiej gospodarki rolnej, to w naszych gminach chłopi będą zabiegać o każdy skrawek ziemi.

A co ze spółdzielniami produkcyjnymi? Wykruszy się to, co było sztuczne, co z ruchem spółdzielczości produkcyjnej niewiele miało wspólnego. A w tych solidnych, prawdziwych spółdzielniach po latach dyrygowania powoli odbuduje się poczucie samorządności i samodzielności. I te spółdzielnie na dobre utrwalą się w krajobrazie polskiego rolnictwa.

RYSZARD BINKOWSKI ■

Sankcje — obosieczna broń ekonomiczna

WITOLD KASPERKIEWICZ

Sankcje typu ekonomicznego i finansowego stosowane przez rządy państw kapitalistycznych, a zwłaszcza USA wobec krajów socjalistycznych, mają swoją długoletnią historię. Towarzyszyły one powstaniu pierwszego państwa socjalistycznego i początkowej fazie rozwoju krajów demokracji ludowej przybierając różne formy i stopień natężenia. W ostatnim czasie kryzys polski dostarczył niektórym rządom państw zachodnich pretekstu do uruchomienia bogatego arsenału sankcji gospodarczych. Niedawne decyzje administracji R. Reagana dotyczące odmowy dostarczenia amerykańskiej technologii dla budowy radzieckiego rurociągu do Europy zachodniej oraz cofnięcia Polsce klauzuli najwyższego uprzywilejowania odbiły się echem w krajach sojuszniczych Stanów Zjednoczonych. Przedmiotem kontrowersji stały się dwa problemy: celowość podjęcia sankcji ekonomiczno-finansowych wobec ZSRR i Polski oraz efektywność tego posunięcia. Przedstawiciele kół politycznych oraz wybitni publicyści zachodniej prasy zastanawiają się, czy represje ekonomiczne zaowocują zmianą polityki ZSRR i całego bloku socjalistycznego. Na tym tle zarysowują się różnorakie stanowiska, które można ująć w dwie grupy: rzeczników sankcji i sceptyków. Rzecznicy próbują dowieść, że sankcje ekonomiczno-finansowe są celowe i powinny przynieść pożądane skutki. Natomiast sceptycy podważają efektywność stosowanych represji sugerując przy tym, iż mogą one wywołać odwrotny efekt w stosunku do zamierzonego.

CELE SANKCJI

Administracja Stanów Zjednoczonych pragnie przy pomocy systemu rozbudowanych sankcji gospodarczych zrealizować cele, które daleko wykraczają poza sferę ekonomiki, a dotyczą dziedziny polityczno-militarnej.

Zasadniczym celem sankcji, w przekonaniu ekipy Reagana, jest spowodowanie złagodzenia radzieckiej kontroli nad krajami socjalistycznymi, szczególnie nad Polską. Embargo na dostawy związane z rurociągiem syberyjskim wprowadzono po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Na dalszą metę administracja Reagana chce, aby Związek Radziecki zmodyfikował swój system polityczny, który według zaleceń amerykańskich powinien ulec liberalizacji.

Osłabienie pozycji militarnej ZSRR należy uznać za kolejny strategiczny cel sankcji amerykańskich. Służy temu zakaz importu do ZSRR technologii, która mogłaby przyczynić się do rozwoju jego potencjału wojskowego. Biały Dom sądzi, iż koncerny amerykańskie i europejskie zbyt pochopnie sprzedawały państwom socjalistycznym licencje na technologie o potencjalnie militarnym przeznaczeniu. Oczekuje się, że odcięcie ZSRR od dopływu zachodnich technologii zahamuje jego postęp gospodarczy i w efekcie spowoduje zmniejszenie radzieckich wydatków wojskowych.

Ostatnim istotnym celem sankcji amerykańskich jest *dążenie do ograniczenia zależności ekonomicznej Europy zachodniej od ZSRR*. Według ocen administracji Reagana rozwój stosunków handlowych między Europą zachodnią a ZSRR i pozostałymi krajami socjalistycznymi jest niebezpieczny dla interesów kapitalizmu w Europie, gdyż wzmacnia zależność sojuszników USA od dostaw surowców z tzw. bloku wschodniego. Uzależnienie to rośnie także pod wpływem faktu, że eksport do owego bloku staje się ważnym czynnikiem zatrudnienia w Europie zachodniej.

Niepokojem napawa administrację amerykańską również fakt, że dostawy do Europy zachodniej przynoszą ZSRR dewizy niezbędne na zakup najważniejszych technologii. Dlatego też administracja stara się wymusić na rządach Europy zachodniej, aby zaprzestały udzielania państwom socjalistycznym kredytów eksportowych.

Zwolennicy sankcji utrzymują, że przy użyciu różnorakich represji ekonomicznych i finansowych można osiągnąć wymienione cele, ponieważ ZSRR łaknie wprost zachodnich towarów i licencji technologicznych dla kontynuowania swego rozwoju gospodarczego i rozbudowy potencjału obronnego.

Dla udokumentowania tej tezy rzecznicy twardego kursu posługują się tendencyjnymi szacunkami obrazującymi olbrzymie uzależnienie ZSRR od importu z Zachodu. Przykładowo według obliczeń amerykańskich agend rządowych w 1980 r. import stanowił 20 proc. dochodu narodowego Kraju Rad. Podaje się również, że w odniesieniu do importu konkretnych wyrobów zależność ta jest szczególnie wymowna, np. 50 proc. komputerowo sterowanych obrabiarek produkowanych w ZSRR ma komponenty, pochodzące z Zachodu. W dalszej części rozważań wykażę, że przedstawione szacunki są wynikiem zastosowania zasady licentia poetica w statystyce.

Na podstawie tych przesłanek sądzi się, że sankcje ekonomiczne nie tylko ugodzą dotkliwie w gospodarkę krajów RWPG, ale również zmuszą ZSRR do zredukowania jego wydatków na cele wojskowe. Zwolennicy twardego kursu uważają, iż nastąpi to nieuchronnie, gdyż dalsze zwiększanie przez władzę radziecką tych wydatków kosztem konsumpcji i rolnictwa jest już niemożliwe.

FORMY SANKCJI

Najistotniejszą formą represji gospodarczych będących w dyspozycji państw kapitalistycznych są ograniczenia w sprzedaży produktów rolnych krajom obozu socjalistycznego. Zakupy produktów żywnościowych stanowią ważną pozycję całości importu krajów socjalistycznych z Zachodu. Największym odbiorcą tych produktów jest ZSRR (ok. 25 proc. całości importu z Zachodu), a następnie Polska, Rumunia i NRD. Począwszy od 1975 r. ZSRR sprowadza z rynków zachodnich przeciętnie ok. 24—27 mln. ton artykułów rolnych rocznie.

W październiku 1975 r. USA zawarły ze Związkiem Radzieckim porozumienie gwarantujące import co najmniej 8 mln ton artykułów rolnych rocznie do ZSRR w okresie 1976—1981. Porozumienie to przedłużono o rok w sierpniu 1981 r. Godnym odnotowania jest fakt, że dostawy te były zawsze respektowane. Nawet embargo nałożone przez J. Cartera w styczniu 1980 r. nie obejmowało tego eksportu. Także sankcje wymierzone w ZSRR przez R. Reaganą w grudniu 1981 r. nie podważały owego porozumienia. Dotychczas Reagan zawiesił tylko negocjacje dotyczące długookresowego porozumienia, które mogłoby zwiększyć amerykański eksport płodów rolnych.

Inną formą sankcji gospodarczych jest zawieszenie eksportu licencji technologicznych do Związku Radzieckiego. Zawieszenie transferu technologii dotyczy przede wszystkim maszyn liczących, sprzętu elektronicznego i aparatury chemicznej, w tym zwłaszcza sprzętu potrzebnego do budowy rurociągu syberyjskiego. W USA i krajach Europy zachodniej powstały komisje kontroli eksportu technologii do krajów socjalistycznych. Ustalono narodowe listy artykułów strategicznych uzupełniające luki w listach sporządzanych przez Komitet Koordynacyjny na rzecz Wielostronnej Kontroli Eksportu do Krajów Wschodu (COCOM). Komitet ten określa i realizuje uzgodnioną politykę Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników w zakresie eksportu produktów strategicznych do obozu socjalistycznego.

W szerokim wachlarzu sankcji inspirowanych przez administrację amerykańską poczesne miejsce zajmuje odmowa zakupu surowców pochodzących z obozu socjalistycznego. Eksport surowcowy ma wielkie znaczenie dla sytuacji płatniczej ZSRR i Polski, a także Bułgarii i Rumunii. Udział paliw płynnych w całkowitym eksporcie radzieckim na Zachód wynosi ok. 72 proc., według danych z 1980 r. Projekt budowy gazociągu syberyjskiego ma umożliwić roczne dostawy 40 mld m. sześc. gazu do Europy zachodniej. Podobnie eksport węgla z Polski i Czechosłowacji, produktów naftowych z Rumunii i Bułgarii, stanowią cenne źródło dewiz dla krajów, które przeżywają poważne trudności finansowe. W ramach tego rodzaju sankcji praktykowane jest odbieranie klauzuli najwyższego uprzywilejowania, czego doświadczyła w ostatnim okresie Polska. Represja ta oznacza dla nas stratę ok. 40 mln dolarów rocznie z tytułu podniesienia opłat celnych dla towarów polskich sprzedawanych na rynku USA.

W sytuacji poważnego zadłużenia niektórych krajów socjalistycznych w bankach zachodnich ważkim narzędziem wywierania presji na blok socjalistyczny są sankcje finansowe. Ta specyficzna broń finansowa może mieć wielostronne zastosowanie. Przejawami wykorzystania broni finansowej są następujące działania: wstrzymanie przyznawania nowych kredytów, odmowa przyznania nowych kredytów niezbędnych wyłącznie dla spłaty odsetków zadłużenia, manipulowanie warunkami udzielania kredytów (termin płatności i oprocentowanie) i wreszcie ogłoszenie bankructwa zadłużonych krajów.

SKUTECZNOŚĆ

Doświadczenia historii dowodzą, że różnego rodzaju bojkoty ekonomiczne i finansowe nie przynosiły spodziewanych skutków, choć niewątpliwie przysparzały krajom będącym obiektem presji pewnych kłopotów. Przypomnijmy, że blokada kontynentalna zastosowana przez Napoleona wcale nie wygłodziła Anglii. Sankcje, jakie Liga Narodów proklamowała wobec Włoch po inwazji Etiopii w 1935 r. wzbudziły tylko niezadowolenie we Włoszech, ale nie utrudniły wcale działań militarnych tego kraju. Embargo, jakie zastosowano wobec Rodezji po jednostronnym ogłoszeniu niepodległości w 1965 r. w efekcie stało się bodźcem rozwoju gospodarczego nowego państwa. Liczne sankcje gospodarcze nakładane na kraje socjalistyczne na początku lat 50-tych były bezowocne dla ich inspiratorów.

W krajach kapitalistycznych istnieje liczna grupa polityków i ekspertów ekonomicznych sceptycznie, a nawet krytycznie odnoszących się do zasadności sankcji gospodarczych. Reprezentują oni pogląd, że tak bardzo eksponowana przez amerykańskich ekspertów rządowych silna zależność ZSRR od importu towarów przemysłowych z Zachodu i jego podatność na naciski ekonomiczne są przesądzone. Przytaczana wcześniej kalkulacja amerykańskich ekspertów rządowych, według których import stanowi 20 proc. dochodu narodowego ZSRR jest po prostu nieprawdziwa. Podstawowym grzechem tych ekspertów jest szacowanie handlu zagranicznego w oparciu o system cen wewnętrznych obowiązujących w ZSRR. System ten polega na utrzymywaniu niskich cen surowców i windowaniu cen wyrobów przemysłowych znacznie ponad poziom obowiązujący na rynku światowym. Znany ekspert amerykański J. Vanous z Wharton Econometric Forecasting Associates dowodzi, że skoro ZSRR eksportuje głównie surowce i importuje przeważnie wyroby przemysłowe, to obliczenia ekspertów rządowych polegają na zastosowaniu wyższych cen importu i niższych eksportu. Według obliczeń J. Vanousa rzeczywisty udział importu w dochodzie narodowym brutto ZSRR wynosi tylko 4,1 proc. Jest to szacunek dokonany przy założeniu, że import i eksport liczy się według aktualnych cen światowych. Tendencyjność krytykowanej kalkulacji wyraża się także w tym, że objęto nią import z krajów socjalistycznych oraz tych, które nie przyłączą się do bojkotu ZSRR.

Krytycy sankcji zdecydowanie podkreślają, że zależność ZSRR od dostaw maszyn z Zachodu jest w pewnym stopniu mistyfikacją. Wprawdzie ZSRR importuje znaczną część sprzętu dla przemysłu chemicznego, ale czyni to przede wszystkim dlatego, że sprzęt zachodni jest bardziej wydajny i szybko dostępny, a nie dlatego, że przemysł radziecki nie jest zdolny go wyprodukować.

Wiele wątpliwości budzą także rachuby, że trudności jakich przysporzy ZSRR bojkot maszynowy, zmuszą władzę radziecką do uszczuplenia środków przeznaczonych na sektor wojskowy. Przeciwnicy sankcji sądzą, że sektor ów ma tak wysoki priorytet w gospodarce radzieckiej, że zmniejszenie dopływu środków dla tego sektora jest nierealne. Niektórzy twierdzą nawet, że nieprzejednana postawa obecnej administracji amerykańskiej może wywołać odwrotne do zamierzonych skutki, powodując wzrost wydatków wojskowych ZSRR.

Orędownicy twardego kursu akcentują jednomyślność w stosowaniu sankcji jako warunek skuteczności ich działania. Jednomyślność ta jest iluzją, gdyż różne są stopnie zależności gospodarczej USA i Europy zachodniej wobec obozu socjalistycznego. Przykładowo eksport RFN do krajów RWPG stanowił w 1980 r. 22,4 proc. całkowitego eksportu zachodniego do tej strefy. Natomiast eksport USA wynosił tylko 9,1 proc., a Francji 11 proc.. Podobnie sytuacja przedstawia się w imporcie — w przypadku RFN wynosi on 19,7 proc., USA 4 proc., a Francji 12,2 proc., Wymienione dane świadczą o tym, jak różny jest wpływ na gospodarki krajów zachodnich ewentualnych sankcji nakładanych przez te kraje na obóz socjalistyczny.

Krytycy represji gospodarczych w celu podważania ich sensowności i skuteczności posługują się argumentem o obosiecznym działaniu tej broni. Obosieczność ta przejawia się na kilku płaszczyznach. Najbardziej spektakularną płaszczyzną jest handel produktami rolnymi. Eksport zbóż do ZSRR stanowi dla farmerów amerykańskich równie istotną sprawę, co import tych zbóż dla gospodarki radzieckiej. Jeśli nawet eksport amerykański do krajów socjalistycznych stanowi tylko niewielki procent całości eksportu USA, to jednak Stany Zjednoczone dostarczyły w 1979 r. aż 53,4 proc. produktów rolnych, jakie kraje RWPG zakupiły na Zachodzie. Nawet po embargo zastosowanym przez prezydenta Cartera w 1980 r. udział ten wynosił 29,2 proc. W ostatnim czasie Reagan, mimo iż jest spiritus movens akcji represyjnych wobec ZSRR i Polski zdecydował się na eksport ponad 20 mln. ton zbóż do ZSRR (...) nił to pod wpływem presji farmerów, których dochody zależą w pewnym stopniu od rozmiaru eksportu zbóż.

W sposób obosieczny działa także wstrzymanie transferu technologii zachodnich do ZSRR. Oznacza to spadek dochodów i likwidację wielu stanowisk pracy, co jest zjawiskiem negatywnym w okresie panowania dekonjunktury w krajach zachodnich. W 1980 r. całkowita wartość kontraktów na dostawy sprzętu, zawartych przez RFN z ZSRR wynosiła ok. 1 mld dol. w porównaniu z 600 mln. w 1979 r. Próba wymuszenia przez administrację amerykańską na swoich europejskich sojusznikach (zwłaszcza RFN) decyzji o odstąpieniu od udziału w budowie gazociągu syberyjskiego i objęcia tego przedsięwzięcia restrykcjami spotkały się z wyraźną dezaprobatą zainteresowanych rządów. Stanowi to dowód, że dostawy wyposażenia do owego gazociągu mają duże znaczenie dla biznesu zachodnioeuropejskiego.

Kontrowersje budzi również skuteczność sankcji polegającej na odmowie zakupu surowców z Europy wschodniej, w tym przede wszystkim produktów energetycznych. Odmowa ta mogłaby negatywnie wpłynąć na możliwość źródeł zaopatrzenia energetycznego państw Europy zachodniej, tym bardziej, że strefa Bliskiego Wschodu, będąca głównym dostawcą surowców energetycznych, jest rejonem naładowanym ostrymi napięciami politycznymi. Dlatego też mimo amerykańskiej argumentacji o rosnącej zależności energetycznej Europy zachodniej od ZSRR z powodu kontraktu syberyjskiego, rządy tych krajów konsekwentnie bronią swojego stanowiska w tej kwestii. Warto w tym kontekście przypomnieć, iż zerwanie kontraktu na dostawę sprzętu do budowy gazociągu syberyjskiego oznaczałoby dla partnerów zachodnioeuropejskich utratę rynku wartości ponad 10 mld. dol.

Rozważając problem efektywności sankcji finansowych należy zwrócić uwagę na pozornie paradoksalny splot uwarunkowań. Otóż stan zależności banków zachodnich od swoich dłużników spowodowany znacznym zadłużeniem kilku państw socjalistycznych (w tym przede wszystkim Polski) jest tak duży, że wszelkiego rodzaju koncesje są o wiele korzystniejsze niż ewentualne oficjalne ogłoszenie bankructwa danej gospodarki. Przedmiotem szczególnego zainteresowania bankierów zachodnich jest przypadek Polski i następstwa faktu, iż Polska utraciła teraz swoje zdolności płatnicze. Olbrzymie zadłużenie naszej gospodarki narodowej spowodowało poważne naruszenie równowagi finansowej pewnych banków zachodnioeuropejskich. Odnotować można opinie formułowane przez ekspertów do spraw bankowości, że wstrzymanie wszelkich nowych kredytów dla obozu socjalistycznego przysporzyłoby tym bankom niebagatelnych strat w funduszach handlowych. Tak więc stosowanie daleko idących sankcji finansowych może być w praktyce równie niebezpieczne dla wierzyciela, co dla dłużnika. Trafnie ujął ten dylemat francuski publicysta Yves Laulana, który na łamach „Commentaire" skonstatował, że „poczynając od pewnego stopnia zadłużenia wierzyciel staje się więźniem dłużnika".

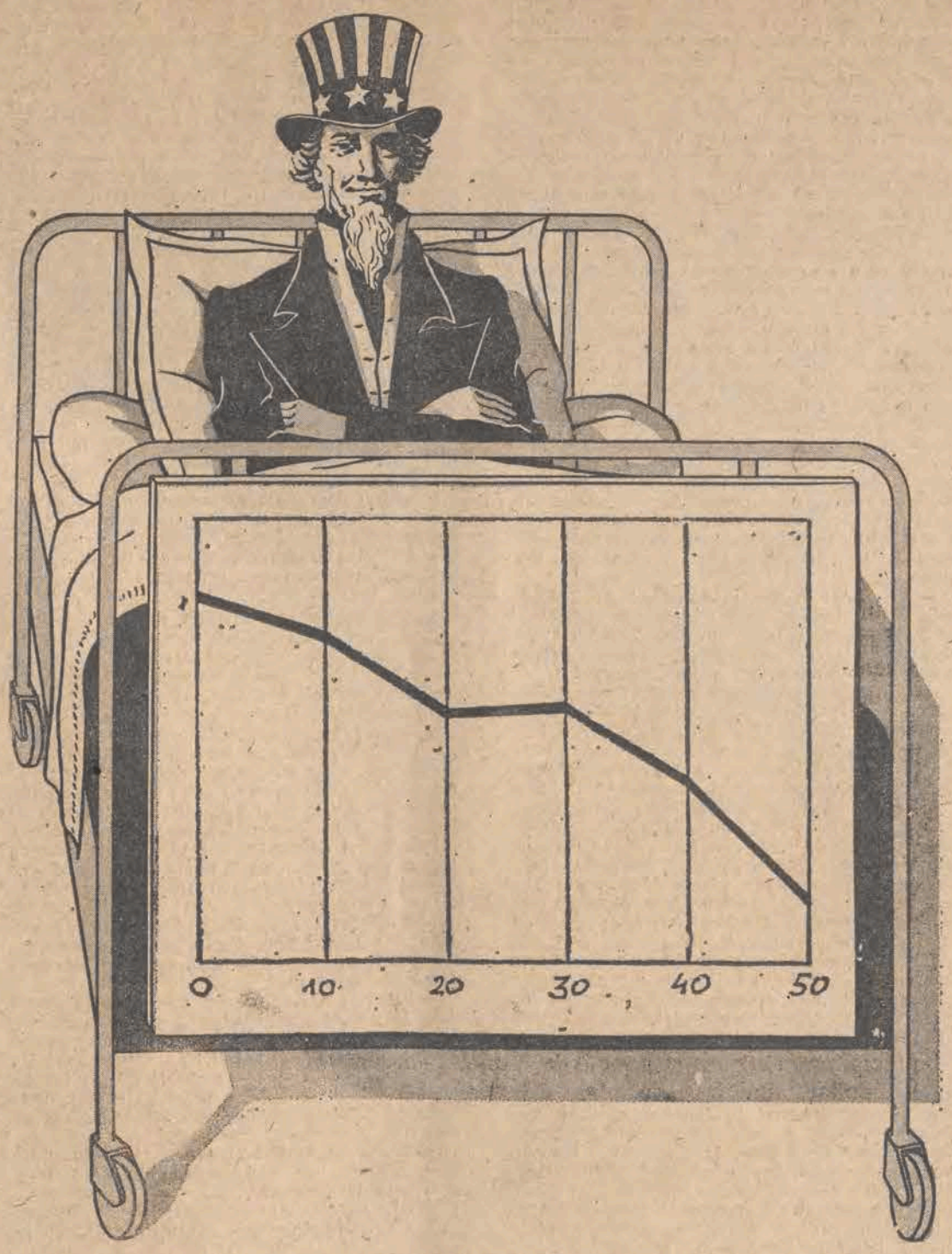

W opracowaniu artykułu wykorzystano publikacje zamieszczone w „Business Week" z 2.08.82 r., „Commentaire" nr 17 1982 r.

Nie mogę milczeć, kiedy widzę jakąś niedorzeczność

Rozmowa z OLEGIEM K. ANTONOWEM — generalnym konstruktorem techniki lotniczej ZSRR, twórcą samolotów AN, szefem Biura Konstrukcyjnego w Kijowie.

Pańskie nazwisko, Olegu Konstantynowiczu, spotykamy nie tylko na kadłubach znanych AN, lecz i na łamach prasy. W „IZWIESTIACH", „TRUDZIE", w miesięcznikach regularnie pojawiają się pańskie artykuły.

— Taki już mam charakter, że nie mogę milczeć, zwłaszcza, kiedy widzę jakąś niedorzeczność.

— Wydawało mi się interesujące, że pańskie artykuły praktycznie nie dotyczą lotnictwa. Są to z reguły rozmyślania o węzłowych problemach gospodarczych. O tym też mówi pańska książka „Dla wszystkich i dla siebie". Nawiasem mówiąc, powstała ona, jeśli się nie mylę, jako reakcja na artykuł pod tym samym tytułem w „IZWIESTIACH".

— Tak, artykuł miał rzeczywiście szeroki rezonans, wywołał reakcję i — co najważniejsze — strumień propozycji na temat doskonalenia planowania. A jeśli idzie o pańską uwagę, to lotnictwo to przecież nie tylko niebo, ale i ziemia. Lotnictwo to, zgodzi się pan, przede wszystkim ogromny kompleks przemysłowy, który jest ściśle powiązany z całą gospodarką. W pańskiej uwadze kryje się też pytanie, dlaczego najczęściej występuję w sprawach gospodarki. Dzieje się tak dlatego, że konstruowanie techniki lotniczej jest u nas bardzo dobrze zorganizowane i nie ma z tym szczególnych problemów, po prostu trzeba pracować. I to pracować na wysokim poziomie. A w gospodarce, uważam, nie wszystko u nas idzie pomyślnie.

Nie będąc ekonomistą z zawodu, lecz stykając się już pół wieku z praktyką planowania i odczuwając codziennie jego działanie na własnym podwórku, doszedłem do pewnych wniosków, które — moim zdaniem — mogłyby przynieść korzyść specjalistom zajmującym się najaktualniejszym obecnie zagadnieniem doskonalenia systemu planowania.

— W swojej książce zacytował pan wiele przykładów negatywnego oddziaływania niedostatków planowania na produkcję przemysłową. Większość przykładów została wzięta z prasy — centralnej, republikańskiej, a nawet lokalnej. Jak się panu udaje przekopać taką górę informacji prasowych?

— Moja pasja, albo lepiej powiedzieć — mój konik, to planowanie i od dawna zbieram wycinki na ten temat. I, mówiąc szczerze, jest to w większości kolekcja nonsensów gospodarczych. Takich jak ten: im więcej węgla spala elektrownia cieplna, tym lepiej pracuje. I wiele innych takich.

W telewizji występuje dyrektor przodującej fabryki kartonu. Skarży się na cały kraj, że wskaźniki produkcji w tonach zmuszają go produkować ciężki, kruchy karton. Jeśli fabryka zacznie wypuszczać karton wysokiej jakości, taki jakiego potrzebują odbiorcy, to nie wykona planu: bo plan jest w tonach. Prasa już wiele razy walczyła o to, żeby produkcja papieru była określana nie w tonach, lecz w metrach kwadratowych. Przecież gazety są drukowane nie na tonach, lecz właśnie na metrach kwadratowych. A tymczasem produkuje się zły, gruby papier. Niedawno, co prawda, również w telewizji, obiecali, że od tego roku będzie się planować produkcję papieru w tonach i w metrach kwadratowych.

Pamiętam doskonale artykuł o problemach meblowych. Produkcję mebli planuje się u nas w rublach, no więc produkuje się drogie meble. Jeśli zacznie się planować w sztukach, zauważa dowcipnie dziennikarz, przemysł będzie robił meble-zabawki. Jeśli według rozmiarów, to szafy będą miały wysokość Uniwersytetu Moskiewskiego. Dochodzi się do smutnego wniosku, że nasz przemysł jest zarządzany przy stosowaniu niedoskonałych wskaźników.

Z instrumentu planowania, wygodnego przy ocenie wyników produkcji, wskaźniki przekształciły się w swoistych dyktatorów, wobec których szef przedsiębiorstwa nie może być niepokorny. Nieprzypadkowo pokutuje w naszym języku potocznym wyrażenie „dać wskaźniki". Ocena wyników pracy odrywa od samej pracy. Idzie już nie o produkcję i jej jakość, lecz o to, żeby dać odpowiednie wskaźniki. Nawet normatywnie czysta produkcja, która powinna poprawić sytuację naszej produkcji przemysłowej, nie zawiera danych o jakości. Przeczytałem wiele artykułów i książek, w których autorzy wykazywali wyższość wskaźników w systemie NCzP (Normatywnie Czysta Produkcja), ale nigdzie nie spotkałem wzmianki o jakości. A tymczasem jakość to w tej chwili najważniejszy element produkcji.

Zadanie socjalistycznej produkcji nie polega na tym, żeby wyprodukować pewną ilość butów, lecz na tym, żeby solidnie obuć ludzi. Nie na tym, żeby w bieżącym kwartale uszyć trzy miliony płaszczy, lecz żeby ubrać ludzi modnie i dobrze jakościowo. U nas nie ma konkurencji. Paradoks, ale właśnie ten przywilej socjalizmu — brak konkurencji — nie stymuluje produkcji najwyższej jakości. Produkcja, jaką wypuszczamy, uzyska znak jakości czy też nie, zostanie kupiona.

— Albo też zalegnie w postaci niechodliwego towaru na półkach sklepów i magazynów.

— Dlatego też od dawna, od ponad ćwierćwiecza, walczę o to, żeby ilość i jakość były określane jedną liczbą.

— W tej chwili nie jest pan już sam w tym dążeniu. W każdym razie termin „kwaliwał" (kwalifikowana produkcja globalna) — autorstwa profesora Aganbegiana już pojawia się na łamach gazet.

— Właśnie, pojawia się, a nie atakuje szerokim frontem, jak by należało. Na przykład, tylko 51 proc. szyn produkuje się u nas drogą obróbki cieplnej, co jest wyjątkowo niekorzystne dla kolei. Gdyby w planach fabryki szyny były liczone według długości i trwałości (powiedzmy, kilometr wyprodukowanych drogą obróbki cieplnej za trzy kilometry surowych), koleje miałyby niepomiernie mniej kłopotów z wymianą zużytych szyn na tysiącach kilometrów tras.

A historia z „wieczną" żarówką Łuczynina! Wynalazca zaproponował ją sześć lat temu i są redakcje, gdzie żarówka ta pali się już kilka lat. Trwałość opłaciłaby z nawiązką stosunkowo wysokie koszty nowej żarówki — 85 kopiejek zamiast zwykłych 35—50 kopiejek. Wydatki ludności na zakup nowych żarówek na miejsce przepalonych zmniejszyłyby się kilka razy. Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku. Gdzież tam! Odznaczająca się wysoką jakością i bardzo skuteczna żarówka Łuczynina doprowadziłaby do likwidacji kilku zakładów produkujących żarówki. No i co z tego? Bezrobocia u nas nie ma, więc obawy mają czysto branżowy charakter. Zwolnionych z tej branży ludzi można by zatrudnić przy pożyteczniejszych sprawach niż produkcja żarówek o krótkim żywocie. Odegrała tutaj rolę osławiona „wałowka" (produkcja globalna) i zrodzona przez nią inercja myślenia. Po prostu plan dla fabryk został skonstruowany w ujęciu ilościowym.

Nasza prasa informowała do czego prowadzi podobny plan. Diabel o imieniu „wskaźnik" skłonił fabryki do produkcji żarówek dużej mocy. W wyniku tego z półek sklepowych prawie zniknęły żarówki o mocy 40 i 25 watów. Ze ściśniętym sercem ludzie wkręcali w komórkach i innych miejscach nie wymagających jasnego oświetlenia 100-watowe żarówki. Odbywało się masowe, niepotrzebne zużywanie energii. Czemu więc nie planować produkcji żarówek o każdej mocy w ilości sztuk pomnożonej przez okres ich pracy?

Ekonomika powinna być oszczędna. Być może, hasło to kogoś zaskoczyło, a ja codziennie muszę mieć do czynienia z oszczędną ekonomiką. Bo po cóż budujemy nowe samoloty? Przede wszystkim dlatego, żeby były oszczędniejsze od starych. Oszczędność jest podstawą podstaw naszej działalności.

— Pański „AN-2" — powietrzny oracz, jak nazwali go moi koledzy — pobił wszelkie rekordy długowieczności w lotnictwie rolniczym, a obecnie ma za zadanie pomagać mieszkańcom wsi w realizacji programu żywnościowego.

— Tak, a w ogóle, to w trakcie realizacji programu żywnościowego „AN-2" będzie musiał przekazać pałeczkę samolotowi „AN-3", zbudowanemu przez nasz kolektyw. Ma on o półtora, a ściślej mówiąc, o 1,6 raza większą wydajność od „AN-2". Koszt obsługi pola jest niższy o 20—30 procent. Jest to bardzo ważne, bowiem aeroflot co roku obsługuje około 100 mln hektarów upraw rolnych, winnic, lasów i bardzo ważny jest problem, ile to kosztuje państwo, kołchozy i sowchozy oraz ile trzeba samolotów i pilotów, żeby wykonać tę pracę. Zwiększenie wydajności samolotu o półtora raza spowoduje, że potrzeba będzie równo o półtora raza mniej samolotów. Umożliwi to dodatkowe zmniejszenie personelu naziemnego i powietrznego, zmniejszenie zużycia paliwa oraz wydatków na remonty, utrzymanie we właściwym stanie techniki itp.

— Zdarzyło mi się czytać o odrzutowym samolocie rolniczym.

— Ta epopeja trwała, niestety, dziesięć lat, choć przeciwników jej nie brakowało. Byłem wśród nich i ja. Jak można było wstawiać silnik odrzutowy do latającego wolno samolotu rolniczego? 140—160 km — oto granica prędkości przy rolniczych pracach lotniczych. Bardziej zwiększyć jej nie można.

Silnik odrzutowy zużywa dużo paliwa. Przy przewozach pasażerskich powiedzmy, rekompensuje się to prędkością. A tutaj ogromne zużycie przy niewielkich prędkościach. No i niech spróbuje ekonomika być oszczędna. Nasze Biuro Konstrukcyjne zaproponowało alternatywę: wyposażyć praktyczny „AN-2" w silnik turbośmigłowy, co pozwoliłoby udoskonalić wiele charakterystyk starej maszyny, ale spór i tak trwał 10 lat. Dopiero teraz „AN-3" przeszedł próby i powinien być skierowany do produkcji.

— W prasie nieraz podkreślano, że „Akademia Nauk Urainy daje przykład mocnych związków swoich instytutów naukowych z produkcją. W czym upatruje pan, członek rzeczywisty AN Ukrainy, przyczyny sukcesu?

— Nasz przewodniczący, prof. Borys Jewgieniewicz Paton, jest doskonałym organizatorem nauki i produkcji. Dąży on do tego, żeby każdy instytut miał bazę produkcyjną. Niestety, ciągle jeszcze istnieje sporo ośrodków naukowych słabo związanych z produkcją. Instytuty takie rozsyłają zalecenia i opracowania, zaś w produkcji wita się tę dokumentację chłodno. „Chłód" ów nie jest jednak straszny dla instytutu, jego bowiem obchodzi tylko zrealizowanie swojego planu. Wypływa stąd interesujący dla rozważań dziennikarza fakt: nauka zaczyna dziś wkradać się do biur doświadczalno-konstrukcyjnych.

Na przykład my dość ściśle współpracujemy z wieloma instytutami i wiele od nich otrzymujemy. Dla nich jednak negatywna ocena ma taką samą wartość, jak pozytywna: oni swój plan wykonali, „zrobili swoje", jak zwykło się mówić obecnie. Oni mogą nam, powiedzmy, obwieścić, że takiego samolotu za żadną cenę zbudować nie można. A my musimy go zbudować i żeby wykonać to zadanie, musimy mieć własnych konstruktorów i naukowców. Z tego, czym obecnie zajmują się nasi inżynierowie-konstruktorzy, można by napisać dziesiątki dysertacji na tematy, jakimi zajmują się liczne instytuty naukowo-badawcze. Nie ma jednak kiedy tego robić, trzeba konstruować samoloty.

— I pańskim kolegom nie przykro?

— Oczywiście, przykro, zwłaszcza kiedy przychodzi jedna po drugiej robota na wczoraj. Czytamy i oceniamy, że praca nadaje się na dysertację. Równocześnie umacniamy naszą bazę naukową.

— Czy pana zdaniem dziennikarstwo przyczynia się do rozwoju nauki i techniki?

— Bezwarunkowo. Proszę spojrzeć choćby na taki aspekt jak twórczość techniczna młodzieży. Ja osobiście przywiązuję duże znaczenie do działalności amatorskiej. W naszym Biurze Konstrukcyjnym jest wielu pracowników, którzy przyszli do nas z szeregów konstruktorów-amatorów. Na przykład w Wydziale Modelowania. Pan wie z wystaw dziecięcej twórczości technicznej, że pokazuje się tam zadziwiające rzeczy. Zdarzały się przypadki, że sędziwi uczeni przychodzili na wystawę twórczości technicznej młodzieży i zastygali ze zdumienia: co, to zadanie zostało rozwiązane? A nasz instytut walczy od pięciu lat i nie może znaleźć rozwiązania.

Właśnie tacy zapaleńcy przychodzą do nas i robią czasem zadziwiające rzeczy. Takie, jakich nie zrobi niekiedy nawet doświadczony, wykwalifikowany, stary pracownik. Wyższość tych dzieci polega przede wszystkim na tym, że znają one wszystkie nowości techniczne, a w tym jest wasza bezsporna zasługa. Masowa informacja techniczna w postaci magazynów „NAUKA I ŻIZN", „TECHNIKA MOŁODIOŻY", „JUNYJ TIECHNIK" czy audycji telewizyjnej „Eto wy możetie" trafia pod właściwy adres i przynosi ogromną korzyść zarówno samej młodzieży, jak i pośrednio przez nią nauce i technice.

— Czy prasa pomaga panu osobiście w pracy?

— Staram się występować na łamach prasy, żeby forsować moje idee. Weźmy choćby tenże „AN-3". Nieraz występowałem w jego obronie. Dowodziłem, że drogą modernizacji — a partia w swoich dokumentach niejednokrotnie wskazywała na pozytywne strony modernizacji — można zdecydowanie zwiększyć wydajność naszego starego samolotu.

— Przecież „Antek" jest rzeczywiście godnym uwagi samolotem: posiada wspaniałe płaty, jest prosty i bezpieczny. My, dziennikarze, przelataliśmy na nim nie mniej niż piloci. Gdzie też on nas nie wspomagał i w jakich warunkach atmosferycznych!

— Tak, w 1946 roku los uśmiechnął się do naszego kolektywu — decyzją rządu polecono nam skonstruować samolot na potrzeby rolnictwa. Pracowaliśmy zapamiętale i już w następnym roku odbył pierwszy lot samolot „SCH-1". Niedługo potem, pod nazwą „AN-2" został skierowany do produkcji.

— Szybko jednak zakres jego zastosowań rozszerzył się niezwykle. Już od wielu lat „AN-2" jest maszyną do lotów w warunkach polarnych, samolotem przeciwpożarowym, pogotowiem ratunkowym i pasażerskim wszędobylskim.

— Ma pan rację. Jest rzeczą interesującą, że swój chrzest samolot przeszedł nie nad polami Ukrainy, lecz nad śnieżnymi przestrzeniami Arktyki. Po tym, jak w śnieżny zimowy dzień pilot Wołodin poderwał w górę „AN-2", po przebiegu zaledwie 18 metrów, jego polarny los był przesądzony. Potem ocenili właściwości samolotu geolodzy. Później leśnicy i strażacy. Pocztowcy. Zwiad rybołówczy. Służby sanitarne. Na koniec został on samolotem pasażerskim. Przecież konieczność przewozów występowała przede wszystkim tam, gdzie nie było nie tylko lotnisk, ale i dróg. W ten sposób „AN-2" wszedł na trwałe w życie ludzi radzieckich i do dzisiaj przewiózł ponad 330 mln pasażerów. No i oczywiście, to jego pierwszy obowiązek, „AN-2" rozsiewał nawozy, walczył z owadami i szkodnikami roślin na milionach hektarów upraw rolnych naszego ogromnego kraju.

Bardzo często sztorcowano nas za wierność śmigłu. Nawet wymyślono przezwisko dla naszych maszyn — „rogate" samoloty, wyraźnie stawiając wyżej czysto odrzutowe maszyny. Ponieważ jednak specyfika naszego Biura Konstrukcyjnego polega na tym, by budować samoloty, które mogą latać wszędzie, lądować na dowolnym placu i latać z umiarkowaną prędkością, więc śmigła nie zdradziliśmy. Dwadzieścia lat podśmiewano się z nas, a teraz nawet supernowoczesna technika wraca do czegoś w rodzaju śmigła. Dlatego, że przetwarzanie energii i paliwa w siłę ciągu za pomocą śmigła jest przy umiarkowanych prędkościach o wiele wygodniejsze niż przy użyciu silnika czysto odrzutowego.

— Powiedział pan, że wykorzystuje prasę. Jaka jest technologia tego? Sam pan zaprasza dziennikarza, czy czeka pan, aż dziennikarz przyjdzie do pana?

— I tak, i tak. Pan, na przykład, przyszedł sam. Najczęściej oczywiście przychodzą po notatki: co nowego w Biurze Konstrukcyjnym? Zapotrzebowanie jest wielkie, nieustanne. I powodów jest wiele — a to Dzień Floty Powietrznej, a to 1500-lecie Kijowa, itd. My uważamy, że należy występować rzeczowo, pokazując obowiązkowo problemy.

— Które ze środków masowej informacji, pana zdaniem, są najskuteczniejsze dla wystąpień problemowych?

— Dla stawiania problemów trzeba szerzej wykorzystywać telewizję. Na razie jednak osobiście wolę gazety.

— Olegu Konstantynowiczu, w ciągu długiej historii pańskiego Biura Konstrukcyjnego miał pan niemało spotkań z dziennikarzami różnej rangi. Nie przypomniałby pan najbardziej pouczających epizodów?

— Pamiętam, był na przykład taki przypadek. W szkole pilotażu, podczas lotu treningowego na „AN-24" instruktor wyłączył, zgodnie z programem, jeden z dwóch silników. Samolot kontynuował lot i po pewnym czasie instruktor wydał komendę włączenia zatrzymanego silnika. Przez pomyłkę postawiono w chorągiewkę śmigło pracującego silnika i oto na wysokości 3 tysięcy metrów oba silniki zamarły. W tym momence odległość od lotniska wynosiła 22 km.

Pilot-instruktor, który w młodości wiele latał na szybowcach, przestawił maszynę na reżim szybowania. Co prawda ten „szybowiec mimowoli" waży nie 200 kg, lecz 20 ton, a jego zdolność szybowania jest o wiele niższa niż długoskrzydłowych, pełnych wdzięku ptaków z drewna i płótna. Ale ster znajdował się w rękach doświadczonego pilota i samolot, opadając z prędkością 4 metrów na sekundę, przybliżał się do lotniska treningowego szkoły. Dwa skręty, dokładne wyliczenie, mistrzostwo i zimna krew dowódcy Arama Bagdasariana, i oto już „AN-24" toczy się po ziemi.

Następnego dnia dziennikarze, jeden przez drugiego: „Jak wszystko się odbyło?" Pilot opowiada wszystko cierpliwie, zaś ja, znając ciągoty pańskich kolegów do mrożących krew w żyłach szczegółów, włączam się: „Proszę zapamiętać, że współczesny samolot w momencie zatrzymania silników nie spada, lecz płynnie przechodzi w reżim szybowania. Proszę nie ubarwiać! Dowódca i załoga wykonali wszystko wyśmienicie, lecz samolot to przede wszystkim, powtarzam, szybowiec z silnikami. Szybowiec! Czy jasne?" Dziennikarze: „To przecież sprawa elementarna. Zrozumiałe". Nazajutrz otwieram gazetę. I pierwsze co widzę, to rzucające się w oczy początkowe zdanie: **„Samolot zaczął spadać".**

Jeśli idzie o wścibskich i jeszcze bardziej żądnych sensacji dziennikarzy zagranicznych, to zachował mi się w pamięci następujący epizod. Było to w 1965 roku na lotnisku Le Bourget, gdzie odbywał się XXVI Paryski Salon Lotnictwa i Kosmonautyki. Trzeciego dnia rozeszła się pogłoska, że ZSRR pokaże jeszcze jeden, „bardzo duży", samolot. Nasza delegacja rzeczywiście przygotowywała niespodziankę i nie afiszowaliśmy się za wcześnie z przylotem „Anteusza". Niemniej jednak doszło do „przecieku informacji" i wieczorem, w przeddzień lotu naszej nowej maszyny, zastukał do mnie, do pokoju w hotelu, młody człowiek, który przedstawił się jako korespondent „REUTERA". Interesowała go tylko jedna sprawa: „Czy to prawda, że macie samolot na 350 pasażerów?" Bez mrugnięcia okiem odpowiedziałem: „Nie, takiego samolotu nie mamy". „Bardzo przepraszam — zdziwił się Anglik — BBC już przekazała informację o takim samolocie Rosjan". „Mogę tylko powiedzieć, że BBC wprowadziła swoich słuchaczy w błąd". Czekałem, czy Anglik domyśli się i zada pytanie, od odpowiedzi na które nie mógłbym się już uchylić: „Być może wasz samolot zabiera na pokład jeszcze więcej pasażerów?". Ale taki pomysł nie przyszedł mu do głowy i korespondent „REUTERA" odszedł absolutnie zdziwiony. Rankiem, 15 czerwca, nasz „Anteusz" wylądował na Le Bourget. Dziennik „L'Humanité" podał, jako pierwszy, następujące charakterystyki samolotu: **„Udźwig „AN-22" — 80 ton. W wariancie pasażerskim może pomieścić 720 pasażerów".**

— Czy zawsze, Olegu Konstantynowiczu, wszystko układa się gładko w pana osobistych stosunkach z redakcjami?

— Zdarzają się przykre incydenty. Niektóre wydawnictwa uważają za dopuszczalne przerabianie materiału i — bez pokazywania odbitek autorowi — drukowanie. Inne poświęcają nazbyt wiele uwagi wytwornemu stylowi, ze szkodą dla sensu i treści publikacji. Pewnego razu w „ZNAMIENIU" tak mnie przerobili, że — jak to się mówi — „nie poznałem samego siebie". Nie mając większego pojęcia ani o technice, ani o ekonomice, redaktor literacki gazety przepisał artykuł swoimi własnymi słowami, a szło w nim o to, dlaczego nowa technika jest wdrażana z oporami. A tak na marginesie, niedawno któryś z pańskich kolegów słusznie zwrócił uwagę na niedorzeczność sformułowania, które weszło już w nawyk, „wdrażanie nowej techniki". Znaczy to, że coś, co powinno być przyjmowane z otwartymi ramionami, jak narzucane siłą, przeciska się z dużymi trudnościami.

— Czym zakończyła się historia z tym literackim opracowaniem?

— Zwróciłem się do redakcji, żeby zwrócono mi materiał, albo wydrukowano go bez opracowania. Pismo przyjęło moje „ultimatum", zaś później otrzymałem pochwałę za ten artykuł od kompetentnych instancji partyjnych. Ze trzy lata temu napisałem dla „TRUDU" artykuł z maksymalnie rzeczowym tytułem „Kompleks przemysłowo-rolny". Redakcja, nie uzgadniając ze mną, zatytułowała artykuł „Jak pomóc wsi?" i kąt widzenia, pod jakim należało patrzeć na ten materiał, zmienił się o 180 stopni. Pisałem o tym, żeby przemysł pomógł sam sobie w rozwiązywaniu problemu żywnościowego, o możliwościach wydzielenia pracujących na potrzeby rolnictwa wielkich przedsiębiorstw przemysłowych.

— A czy pamięta pan historię powstania tego materiału? Czy redakcja sama zamówiła artykuł?

— Nie pamiętam, ale nie jest wykluczone, że zamówiła.

— Biorąc na logikę, to pana powinni byli prosić o napisanie o lotnictwie, o technice lotniczej.

— Wydaje mi się, że tak właśnie było. A ja im dałem materiał o wydziałach produkujących na potrzeby rolnictwa i redakcja była zadowolona. Moja zasada: jeśli już występować, a występować trzeba, jestem o tym przekonany, to tylko na aktualne tematy. Każdy dzień stawia nowe problemy i gdzie by się nie pracowało, na jakim by to nie było stanowisku, to należy to czynić z korzyścią.

(„ŻURNALIST" NR 9/1982)

Prać albo nie prać

Dokończenie ze strony 1

cjalną grupę uczniów kształcąc ją w zawodzie konserwacji tkanin. Chodziło o to, by zasilić pralnie w fachowców. Okazało się jednak, że zaledwie 5 osób z owej grupy zgodziło się podjąć pracę w pralnictwie. Bo się nie opłaca: kokosów tu nie ma, a narobić się trzeba.

Ludzie zatrudnieni w pralniach chorują. Zawodową chorobą są schorzenia stawów. Prasowaczki żelazkowe zapadają na tzw. zniekształcenie barku. Są to zmiany nieodwracalne. Inną grupę stanowią operatorzy obsługujący agregaty chemicznego czyszczenia. Przez 20—30 lat pracy ci ludzie wdychają czterochloretylen. Tu nie pomaga żadna wentylacja, gdyż nie da się całkowicie usunąć oparów PER (skrót wspomnianego czterochloretylenu). Albo grupa detaszerów? Są to z reguły fachowcy, pracujący w zawodzie kilkadziesiąt lat. Do ich obowiązków należy wywabić plamy, które pozostały po praniu, nie dały się wyprać. Godzinami siedzą pochyleni nad materiałem i trą go alkoholem metylowym, oleiną, rozpuszczalnikiem nitro, denaturatem, kwasami szczawikowymi. A potem muszą mokre miejsce wysuszyć gorącym powietrzem... Wdychają więc opary owych chemikalii, podtruwają się. I choć pralnictwo od lat walczy, by bodaj niektóre zawody zostały zakwalifikowane do I grupy, a tym samym uznania tych zawodów za szkodliwe dla zdrowia, jak dotąd, nie ma nadziei na rychłe załatwienie tej sprawy.

Pralnictwo, jak zresztą wszystko w tym kraju, zostało wyposażone w maszyny i urządzenia sprowadzone z drugiego obszaru płatniczego: są to drogie agregaty BÄVE z RFN, które w ciągu 45 minut piorą i suszą 100 kg odzieży. Natomiast pralnice do prania białego są z Czechosłowacji, tzw. PP-100. Co prawda w ostatnich latach dała znać o sobie „polska myśl techniczna" wypuszczając podobny do czeskiego agregat oznaczony kryptonimem PW-100/2. Oglądałem to cudo na Felsztyńskiego. Kierownik tamtejszego zakładu **Jerzy Przybyszewski**, jak mówi sam o sobie, jest ryzykantem, gdy chodzi o wszelkie nowinki techniczne i technologiczne. Dał się więc nabrać na piękny prospekt, zapominając, że nigdy nie należy bezkrytycznie odnosić się do pomysłów rodzimych wynalazców. Agregat sprowadzono w roku ubiegłym. Zanim go zamontowano, ustawiono, puszczono w ruch — firma, która go wyprodukowała, została zlikwidowana, a całą dokumentację przekazano do Koronowa, gdzie miano kontynuować prace. A tu okazało się, że agregat nie nadaje się do niczego. Do kogo mieć pretensje? Dawnej firmy nie ma, nowa jeszcze nie powstała. Rozpacz i tyle. A straty są spore: po pierwsze — aby zainstalować PW-100/2 trzeba było usunąć jedną z pracujących maszyn, po drugie — nie można uruchomić nowego agregatu, bowiem posiada on wadę konstrukcyjną. Otóż nasi spece skonstruowali go wraz ze sterowaniem automatycznym na karty, lecz okazało się, że ten, kto to zaprojektował, nie miał zielonego pojęcia o sterowaniu automatycznym. Tak więc trzeba było agregat przerobić na sterowanie ręczne. Niestety, nic to nie dało, gdyż w czasie prób wyszło na jaw, że konstruktor zrobił maszynę bez konsultacji z użytkownikiem, czyli nie miał zupełnie pojęcia o pralnictwie. Po prostu nie ma jak spuszczać wody po praniu. Paranoja i tyle. Teraz mechanicy zakładu nr 1 klnąc (bardzo niecenzuralnie — słyszałem!) na tego, kto wymyślił to cudo, usiłują coś tam robić. Muszą zdjąć przednią, grubą na 20 mm pokrywę metalową (zdjąć, to znaczy zeszlifować), wypalić na dole specjalny otwór i zmienić całkowicie wylew wody. A przy tym muszą uważać, by nie opadł bęben, bo wtedy klapa! ...oże wówczas zacznie żyć własnym życiem ten bękart naszej myśli technicznej. I tak to się kręci: od roku jest maszyna, od roku przy niej grzebią mechanicy, rośną koszty, choć już zapłacono przecież okrągły milion złotych za jej sprowadzenie. A w prospektach pisano, że to cud techniki i milowy krok polskiego pralnictwa...

Pralnie jesteśmy skłonni widzieć jako rząd kobiet pochylonych nad baliami z przymocowanymi na ich brzegach wyżymaczkami. Pralnictwo dzisiejsze to para pod ciśnieniem 8 atm., energia elektryczna, chemia i ciężko pracujący ludzie. To fotografia na dziś. A co jutro?

W latach budowy „drugiej Polski" zajmowanie się jakimś tam pralnictwiem było rzeczą niewłaściwą i nawet wstydliwą. Bo jakże to tak: wznosimy giganty, fenomeny przemysłowe, a ktoś chce by dano mu drobiazgi, o których nie warto nawet pamiętać. No i mamy: maszyny w naszych pralniach są stare, właściwie dogorywają i za dwa — trzy lata rozlecą się zupełnie. Nie ma części zamiennych, nie ma dewiz. Kto dziś zastanawia się nad poprawą egzystencji pralni? Nikt. Mamy inne zmartwienia: ugodę narodową, stan wojenny, zaopatrzenie przemysłu w surowce, nakarmienie 36-milionowej rzeszy obywateli, zapewnienie im ciepła w zimie, dojazdów do pracy itp. Ale wśród tych zmartwień powinno być i to dotyczące przyszłości naszego pralnictwa. Przecież może się zdarzyć, że nagle nie będzie czym i gdzie prać. W tej chwili łata się, jak tylko się da, stary sprzęt kupiony za dewizy. Gdyby można było zamienić go na krajowy, nie byłoby sprawy. Ale w kraju takich agregatów się nie produkuje...

Złośliwi twierdzą, że jednak coś się zmienia: rosną ceny usług pralniczych. Jeszcze nie tak dawno, ośmiokilogramowy wsad kosztował raptem ponad sto złotych, dziś trzeba płacić grubo ponad czterysta. Jeśli tak dalej będzie rozwijać się spirala cen, pralnie zbankrutują nie z braku maszyn, ale z braku klientów.

— **Jak to jest z cenami waszych usług?** — pytam kierownika Jerzego Przybyszewskiego.

— Dawniej wszystko wyglądało inaczej. Kiedy przyszedłem do tego zakładu w 1980 r., średnia zarobków wynosiła 3.800 zł, dzisiaj osiągnęła pułap 7.300 zł.

— **Czyli zarabiacie na klientach?**

— Nic podobnego. Przecież wszystko zdrożało. Nasz zysk za minione 9 m-cy wyniósł zaledwie 8 proc. Reszta to koszty: komorne, środki piorące, węgiel, woda (zdrożała o 14 proc.), ścieki (także o 14 proc.), energia (z 90 gr na 2.70 zł), płace (także skoczyły wysoko). A teraz weźmy środki piorące: nasz podstawowy środek do chemicznego czyszczenia, tzw. PER — czterochloroetylen kiedyś kosztował 12 — 16 zł za kilogram, dzisiaj co faktura to inna cena — 20,70 zł, 22.70 zł,28,50 zł. Albo weźmy tzw. kompozycję, to jest proszek do prania bielizny białej. Kiedyś płaciliśmy 15,30, dziś 38,50 zł. Mąka ziemniaczana: z 14 zł skoczyła na 85 zł! Więc nie my podnosimy cenę za pranie, zmusza nas do tego ogólny system cenowy.

— **W związku z podniesieniem cen za usługi, czy nie obserwuje pan spadku korzystania z pralni przez społeczeństwo?**

— Owszem i to dość znacznie. Porównując ten rok z ubiegłym, jest to o całe 600 ton mniej dostaw.

— **Jest to poważne ostrzeżenie...**

— Ale ten stan nie wynika z naszych cenników. To sytuacja w kraju spowodowała ten odpływ. Dziś nie jest łatwo kupić garderobę. Natomiast łatwo jest wyciągnąć z szafy stary płaszcz, z pawlacza wygrzebać zapomniane, niemodne spodnie czy sukienkę. Dlatego obserwujemy dość dziwne zjawisko: coraz więcej przychodzi do nas garderoby brudnej, zleżałej, pamiętającej lata sześćdziesiąte...

— **Ile kosztuje w pańskiej pralni wypranie 1 kg?**

— Kilogram bielizny — 43 zł, zasłony — 52 zł, metr kwadratowy firanek — 26 zł.

Przechodzimy do pomieszczeń, gdzie odbywa się pranie i prasowanie wypranej bielizny. Panuje hałas i zaduch. Przy maglu uwijają się spocone, skąpo ubrane w białe fartuchy kobiety. Z otwartego okna silną strugą wpada na nie mroźne powietrze.

— Aby być maglarką — mówi **Marianna Niewiadomska** — trzeba mieć siłę i sprawność. Naszą praca jest ciężka: gorąco pełno pary, a latem to musimy co rusz to polewać się wodą. A bielizna jest gorąca, ledwo możemy utrzymać ją w rękach.

— **Ile kilogramów bielizny dziennie przechodzi przez pani ręce?**

— Około trzystu. Wie pan, kiedyś pracowałam we włóknie, byłam kotoniarzem. To szanowany zawód. A maglarka? Nawet brzmi brzydko. Gdyby nie praca w fabryce na trzy zmiany, nigdy bym tu nie przyszła.

— Ja także pracowałam na porządnym stanowisku — mówi **Eugenia Szychowska.** — Byłam magazynierką w szpitalu imienia Kopernika.

— **Dlaczego więc przyszła pani do pralni?**

— Przez męża.

— **Zazdrość?**

— Skądże. Mąż przepracował w pralnictwie 29 lat i nagle tragedia: został sparaliżowany. Jak załatwiałam tutaj sprawy jego renty, to przekonano mnie, żebym męża zastąpiła.

— **Teraz pani żałuje, czy tak?**

— Nie, pracuje mi się dobrze, mam dobre koleżanki, atmosfera pracy jest także dobra. Gdyby nie te uciążliwości, ten hałas, gorąco, strugi lodowatego powietrza od okna...

W magazynie odzieży brudnej panuje zaduch nie do wytrzymania. To cuchnie stos rozrzuconej na podłodze garderoby, którą tu zwieziono chyba z całej Łodzi. Zleżałe, pokryte szarym nalotem stare płaszcze, kurtki, które przeleżały w jakiejś komórce kilka lat, wyszmelcowane spodnie. Stos rośnie: kobiety wyciągają z worków coraz nowe sztuki, oglądają je, sprawdzają zawartość kieszeni, segregują. Ręce mają czarne od brudu.

Podchodzę do szczupłej kobiety, która przed momentem dźwigała worek przerastający jej siły. Nazywa się **Krystyna Malicka,** jest klasyfikatorką garderoby brudnej.

— Pracuję ciężko i tanio — mówi. — Samo wyładowanie takiego worka nie jest łatwe, bo czasem jego waga przekracza 50 kg. A jaka ze mnie siłaczka, to pan widzi. Każdą sztukę muszę wziąć trzykrotnie do ręki: wyładowywuję ją z worka, potem klasyfikuję pod względem asortymentowym, w końcu spisuję.

— **Mówi pani, że to tania praca...**

— Oczywiście. Mamy teraz 58 groszy od sztuki, ale ta podwyżka jest od niedawna. A norma jest 380 sztuk garderoby dziennie, a każdą muszę wziąć trzykrotnie do ręki.

— **Ile zarabia pani miesięcznie?**

— Powiem ile zarobiłam w tzw. szczycie, to jest w październiku. Dla kogoś stojącego z boku, będzie to suma poważna. Ale to pozór. Otóż otrzymałam 19.000 zł! A teraz policzymy: miesięczna norma godzin wynosi u nas 178, a myśmy z koleżanką przepracowały po 282 godziny. Tak więc tych godzin nadliczbowych było sporo. Dodajmy do tego dodatek stażowy, a jest on niemały, bo w tym zawodzie pracuję już 21 lat, ponadto rekompensata na dwoje dzieci. Odliczyć to wszystko, to się okaże, że moja pensja raptem wynosi 5.800 zł. A krzyczy się, że mamy tak dużo. Trzeba się naharować w tych brudach, żeby cokolwiek przynieść do domu w portfelu.

— **Czy wspomniane 58 groszy od sztuki to dużo czy mało?**

— Niby dużo, ale podnosząc od sztuki zabrano nam tzw. wałęsówkę i węgiel, w sumie 700 zł. Jak nie kijem go to pałką. I to za te smrody i brudy, za tą prawie górniczą pracę, bo wychodzimy stąd umorusane po oczy.

— **Przynajmniej za nic nie odpowiadacie, nie musicie się martwić, że coś tam nie wyjdzie, że zostaną po praniu plamy...**

— Jak to nie odpowiadamy? Przecież co rusz, to ciągają nas po sądach. Jak nie znajdziemy ukrytego w marynarce długopisu to sztuka się zafarbuje, albo nie odprujemy guzika i potem w praniu się rozpuści i zniszczy tkaninę — trafiamy do sądu. Zakład za nas nie płaci, tylko musimy z własnej kieszeni. Tam nie potrafimy udowodnić, że to nie z naszej winy. Ale kogo to obchodzi...

W swojej wędrówce po zakładzie pralniczym, trafiłem na stanowisko detaszera. **Edward Dreksler** pochylony nad jakąś marynarką tarł bezbarwnym płynem pozostałą po czyszczeniu plamę.

— **Jest pan niejako ostatnią instancją w procesie czyszczenia.**

— Nie każdą plamę udaje mi się usunąć. Jeśli nie puszcza — odsyłam garderobę do ponownego prania.

— **Od ilu lat wdycha pan opary tych rozpuszczalników?**

— Od 42. Garderoba wychodząca z agregatu pralniczego zawiera sporo czterochloroetylenu, który paruje, a ja muszę go wdychać. Wdycham także opary tych wszystkich środków czyszczących, jakich używam: spirytusu, rozpuszczalnika, terpentyny, amoniaku, oleiny...

— **Widać można się do tego przyzwyczaić, uodpornić, skoro pan nie zmienił zawodu.**

— Owszem, można się uodpornić. Kiedy znalazłem się w szpitalu, okazało się, że nie można mnie uśpić, narkoza nie działała. Musieli zastosować końską dawkę...

— **Czy jest pan odporny także na alkohol?**

— Niestety, nie. Używam spirytus, ale nie nabyłem odporności, a wręcz przeciwnie. Po wypiciu pięćdziesiątki każdy detaszer dostaje na ciele sino-czerwone plamy. Kierownik wcale nie musi sprawdzać czy piłem, wystarczy że spojrzy. Jak pan widzi, nawet i pod tym względem zostałem poszkodowany.

Opuszczałem zakład pralniczy w nastroju minorowym. Wyobraziłem bowiem sobie, co by się stało, gdyby nagle okazało się, iż na skutek nagłej awarii agregatów, pralnie nie przyjmują ani naszej bielizny, ani poplamionej garderoby. Byłaby to jedna z wielkich klęsk, którą można byłoby porównać do innych klęsk dziejowych, jakim od czasu do czasu poddawany jest naród. A na postawione pytanie: prać albo nie prać? należy jak najszybciej odpowiedzieć. Oczywiście pozytywnie.

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: M. Zajdler

Po służbie i przed służbą

BOGDAN BARTNIKOWSKI

Drzwi otworzyły się i na progu świetlicy stanął kapral. Zdjął już pas i rozpiął kurtkę. Mine miał niewesoła, widać było, że ma za sobą trudny, męczący dzień.

— Patrzcie! Franek się przytoczył! — krzyknął Sławek. — Nasz gwiazdor telewizyjny....

— Et! — Franek, czyli przybyły przed chwilą kapral machnął ręką w geście, który miał wyrażać beznadziejność. — Wkurza się człowiek tylko...

— Dobrze, dobrze, ale jak to jest? Przed chwilą pokazywali cię w telewizji i już jesteś u nas!

— Wielkie rzeczy! — Kapral wzruszył ramionami. — Kręcili to w dzień, koło pierwszej chyba, a teraz wieczór już.

— I co tv tam znalazłeś? Pod śniegiem, jakąś szafę rozdzielczą, tak?

— Długo by gadać. Lepiej nie jeździć na takie kontrole. Krew człowieka zalewa, jak patrzy.

— Zgadza się. Zagraniczne napisy na niej. Jeden zegar wykręcony, tylko przewody przez otwór widać. A z boku, tego już nie filmowali, to drzwiczki były urwane i w środku połamane elementy wisiały na drutach. Mówię wam, jak to zobaczyłem, to gdybym tylko mógł, to tam, na miejscu, przy tej teletwizji, dyrektora na słup bym wciągnął. Niech patrzą, wszyscy! A ten kłaniał się, tak jest, panie kapitanie, zrobimy, oczywiście, za miesiąc nie pozna pan kapitan, oczywiście, będzie na błysk!

Łaziliśmy po zakładzie dobre dwie godziny. Wszędzie taki sam syf. Kapitanowie opisali wszystko, poszli do dyrektora, do gabinetu, a ja zostałem w takim wielkim holu. Dyżurka tam była, ściany błyszczące, dywany, metalowe listwy,no i gabloty podświetlone, a w nich modele tego, co to tu oni mieliby produkować — urządzenia jakieś, elektronika, chemia, same cuda. Chodzę, oglądam, ale ciągle widzę jeszcze te maszyny pod śniegiem, co to pewnie niczego już się na nich nie zrobi. I nagle wchodzi grupka robotników. Zobaczyli mnie i zawahali się.

„Co to, warta? — pyta jeden. — My tylko przejść chcieliśmy".

Obrócili się wszyscy ku niemu, bo to ,co mówił, ciekawsze było, niż telewizyjny program.

— Mówicie, że na patrolu ciężko. Wierzę... — Franek ściągnął kurtkę, rzucił na wolne krzesło i usiadł ciężko. — Jak się tak popatrzy i posłucha o tym bajzlu, to mało człowieka szlag nie trafi — ciągnął z ponurą zaciętą miną. — To, co w telewizji pokazali, to była jeszcze kaszka z mleczkiem. W terenie było gorzej, dużo gorzej. I to tak dzień w dzień — skrzywił się, głową smętnie pokiwał.

— Opowiedziałbyś porządnie, od początku, a ty tylko denerwujesz! Nam też nie za lekko, bądź spokojny. Portki przymarzają na tych posterunkach.

— Zawiozłem dziś rano moją grupę do zakładu — zaczął Franek. — Dwóch kapitantów, sierżant i ja, jako czwarty. Kapitan, dowódca grupy, taki gruby i niedużo to jak tak nie zna się go, to można by pomyśleć, że niezguła jakiś. Siedzi w samochodzie, słowa nie pisnie, oczy ma przymknięte, jakby drzemał. Ale jak już wejdzie na teren zakładu, to wiecie panowie, nikt go byle czym nie zbędzie. Wszystko zobaczy, a jak pyta to tak, że wydusi wszystko, co chce. Dlaczego to jest tak, a nie inaczej, dlaczego tamto a ile czasu to stoi, kto sprowadził, a dlaczego tamta maszyna rozebrana, a czy naprawdę rynny na ścianie nie da się zreperować, a co z elementami do maszyn... Głowa mu chodzi, dosłownie, dookoła. Taki dowódca, to da ludziom popalić, że hej! Zna się na rzeczy. Drugi kapitan też jest ostry, nie powiem, ale nie taki, jak ten gruby. Sierżant zaś uuu... też duży cwaniak. Oko ma, że niech go! Pewnie był szefem bo niczego nie przepuści. A ja to chodzę, patrzę, właściwie tak dla asysty no bo przecież moja robota to wozić ich i tyle.

Przyjechaliśmy więc, dyrektora migiem znaleźli. Nie stary jeszcze gość, proszę bardzo, panowie, sekretariat, panowie kawę czy herbatę, ale nasz gruby mówi, że może najpierw przejdziemy się, pooglądamy. Cicho w zakładzie, bo tylko na jednym wydziale coś tam dłubią — ponoć reszta nie ma z czego produkować. No cóż idziemy pooglądać.

Ja, mówiłem wam już kiedyś, zanim do woja poszedłem, to robiłem na zakładzie dwa lata. Co nieco więc znam się na robocie i bajerować mnie trudno. Bałem się, że kapitana ten dyrektor zagada ale niepotrzebnie się bałem. Miał dobre rozpoznanie. Wiedział co do czego idzie i zaraz dyrektor zaczął się kręcić technicznego na pomoc sobie wezwał, sekretarza i jeszcze jednego cwaniaka.

Idziemy, patrzymy. Nie pierwszy to zakład, do którego przyjechaliśmy to i jakieś porównanie już miałem. Niektóre zakłady są w porządku. Robota idzie, wszystko zadbane, ludzie nie walęsają się. A tu.. takie zakłady też już widziałem. Wstrzymana rozbudowa — tak to się ładnie nazywa. Leża więc obok niedokończonych hal jakieś stosy urządzeń i maszyn. Śnieg na tym na pół metra. Pod nogami pogięte elementy. Płakać się chce. Biorę i zgarniam śnieg ręka...

— To było w dzienniku! — wtrącił jeden z żołnierzy. — Jakaś szafa sterownicza odkopałeś.

— Zgadza się. Zagraniczne napisy na niej. Jeden zegar wykręcony, tylko przewody przez otwór widać. A z boku, tego już nie filmowali, to drzwiczki były urwane i w środku połamane elementy wisiały na drutach. Mówię wam, jak to zobaczyłem, to gdybym tylko mógł, to tam, na miejscu, przy tej teletwizji, dyrektora na słup bym wciągnął. Niech patrzą, wszyscy! A ten kłaniał się, tak jest, panie kapitanie, zrobimy, oczywiście, za miesiąc nie pozna pan kapitan, oczywiście, będzie na błysk!

Łaziliśmy po zakładzie dobre dwie godziny. Wszędzie taki sam syf. Kapitanowie opisali wszystko, poszli do dyrektora, do gabinetu, a ja zostałem w takim wielkim holu. Dyżurka tam była, ściany błyszczące, dywany, metalowe listwy,no i gabloty podświetlone, a w nich modele tego, co to tu oni mieliby produkować — urządzenia jakieś, elektronika, chemia, same cuda. Chodzę, oglądam, ale ciągle widzę jeszcze te maszyny pod śniegiem, co to pewnie niczego już się na nich nie zrobi. I nagle wchodzi grupka robotników. Zobaczyli mnie i zawahali się.

„Co to, warta? — pyta jeden. — My tylko przejść chcieliśmy".

„Żadna warta — odpowiedziałem. — Na moich dowódców czekam".

Podeszli bliżej, widać chcą pogadać. Stoję, nie odzywam się, a nagrzany jestem po tym, co widziałem, że hej.

„Automat mu dali — mówi jeden, taki już po trzydziestce chyba. — Na nas mu dali".

A ja nic. Stoję, patrzę na nich.

„Eee, naboje ma pewnie ślepe" — mówi drugi.

To ja bez słowa torbę z magazynkami odpinam i pokazuję, co w nich siedzi.

„Fiuuu! — gwizdnął jeden, taki niewiele ode mnie starszy. — Ostre ma!"

To ja mu na to: „Żebyście wiedzieli, że ostre".

„I co, strzelałbyś do nas? Powiedz? Do robotników byś strzelał?".

„Wy tu pracujecie?" — pytam wtedy.

„A gdzieżby?"

„I to wasz ten cały burdel na placu?".

„No, niby nasz".

„To wy i robotnicy na niby, a nie prawdziwi".

No i zaczęło się. Oni na mnie z pyskiem, że to nie ich wina, że to dyrekcja, że to i siamto jeszcze. A ja na nich. Dyrekcja ich, znaczy się, nie pilnowała przy pracy, tak? A cóż to, świadomych ludzi pilnować trzeba? Niech się sami pilnują! Mnie tam w woju nikt nie pilnuje. Mój dowódca wie, co umiem. I liczy na mnie. I nie zawiedzie się. To co, oni tak nie mogą? A jeśli idzie o ten sprzęt na placu, to jak, to dyrektor pewnie bebechy z tej szafy wyrwał? I dyrektor zegar wykręcił i jeszcze jeździł traktorem po elementach na ziemię rzuconych. To oni na to, że właśnie o ten nowy zakład chandrzyli się, że nawet strajkowali. A ja, że jakby prawdziwymi robotnikami byli to by nie strajkowali, ale zrobili przez te półtora roku coś, żeby ten sprowadzony sprzęt zabezpieczyć, a nie rozszabrować. To oni znów swoje, że nic do gadania nie mieli, więc robić nie mogli. A ja im z miejsca, że jak „Solidarność" założyli, to już tylko gadali, a nic nie robili. I niech mi tu o robotnikach nic nie mówią, bo ja z cywila też robotnik, w zakładzie pracowałem i wiem, co to praca. A za to, co u nich widziałem, to bym ich tu na latarnie powciągał, choć to nie ich, ale oni właśnie o wieszaniu mówili.

Bo to każdy mówi — robotnik jestem, i cholernie z tego dumny jest. Ale z robotą gorzej. Na moim wydziale, przed wojskiem — ciągnął kapral — to było nas trzydziestu. Sami robotnicy. Ale takich, co to człowiek z szacunkiem na nich patrzył, to dwóch było. Jeden stary taki po pięćdziesiątce, teraz podobno na tę wczesną emeryturę poszedł bo z wojny miał prawo. Drugi młodszy, koło trzydziestki; no, na tego to pokazywali w czoło się pukając, że niby durny. Oni we dwóch znali się na robocie, że hej! Żadnej bumelki, żadnych zwolnień ani łażenia po zakładzie. Jak człowiek patrzył na to, jak oni robią, to i sam jakoś tak zupełnie niechcący musiał naśladować ich. Z początku mnie to złościło. Tak jakoś lekko im praca szła, ale spróbowałbyś dorównać im! Czasem, to jeden albo drugi podszedł na chwilę: — nie tak, kolego, spróbuj o, właśnie tak... I wracał do swojej maszyny. To byli robotnicy. Prawdziwi. I jakość dawali taką, jak nikt. A ci mi tu będą mówić — robotnikami jesteśmy! A dokoła nich syf, że już gorszy być nie może.

Powiedziałem im to wszystko. Skakali do mnie ze swoimi sprawami, usprawiedliwienia szukali. Myślę, że nie tyle dla mnie, ile dla siebie samych. Krzyczeli my tak na siebie nawzajem z godzinę chyba. Widziałem, że jestem góra. Spytałem jeszcze, czy teraz już wiedzą, po co to wojsko do nich przychodzi. No bo jeśli oni aż tacy ślepi, że nie widzą tego w czym za własna sprawa siedzą to ktoś musi im w końcu oczy otworzyć. I niech nie szukają winy w dyrektorze, który co prawda mi na lewusa wyglądał. Niech nie mówią, że partia winna. Winien jest każdy. I każdy ma swój udział w tym bajzlu.

Niektórzy już nie mówili nic, tylko kiwali głowami. Bo i co mieli mówić? Robotnicy... to wielkie słowo, no nie? To przecież to samo, co budowniczowie. No, powiedzcie sami — każdy z nich coś z siebie daje. Ale jeśli nie daje, to chyba nie jest robotnikiem. To przecież tak, jakbyśmy będąc w wojsku nie robili tego, co do wojskowych obowiązków przypisane.

Kapral przerwał. Nikt się nie odzywał. Widzieli już sporo takich obrazków. Przywykli? Nie! Właśnie, że nie przywykli.

— Powiedziałem im jeszcze, że przez takich właśnie robotników co to nie pracują, muszę trzeci rok służyć. I widząc już moich oficerów na schodach dodałem, że jak widzę takie marnotrawstwo cholerne i słucham usprawiedliwień, to najchętniej bym, niezależnie od tego, czy kto był w „Solidarności", w partii, czy gdzie tam jeszcze, to wszystkich bym pod mur postawił. Jednakowo! Bo to przeciw Polsce.

— Dobrześ powiedział! — wtrącił jeden z żołnierzy.

— Potem to sobie pomyślałem, że może jednak za ostro. No cóż, poniesie człowieka. Choć, czy ja wiem, może to i naprawdę bardzo mocno karać by trzeba. No dobrze! — Franek wyprostował się i spojrzał w lewo, w prawo, na kolegów. — A wy co dziś robiliście?

— Normalnie. Patrole, służba na skrzyżowaniach. Ziab, jak diabli. A roboty coraz więcej, bo znów trzech nam lekarz od służby odstawił.

— Taak. A ja jutro też mam wyjazd do zakładu.

— Może będzie lepszy, niż ten dzisiejszy?

— Marze już o tym — odpowiedział Franek. — Marzę o takim zakładzie, w którym wszystko, ale to wszystko by grało tak jak... nie, nie tam, gdzie pracowałem przed wojem, bo tam także nie było tak bez skazy. Marzę o zakładzie, w którym wszystko grałoby tak, jak u nas w pułku.

— Też można by to i owo poprawić.

— A gdzie nie można?! Ale ja już naprawdę nie mogę patrzeć na to, co widzę tak cholernie często.

— Czy to musi być taż tak ponuro? — spytał Sławek.

Franek potrząsnął głową. — Nie nie musi. Nie mogę w to uwierzyć. Ale teraz po tych paru wyjazdach wiem, że musieliśmy się w to włączyć. Nie było innego wyjścia. No co panowie, spać chyba trzeba. Jutro rano, wy na służbę, ja do tego zakładu — Uśmiechnął się smętnie. — Jakże bym chciał, żeby to był wreszcie ten mój wymarzony zakład, taki piękny, taki dobry. A w nim robotnicy tacy, ech... — potrząsnął zaciśniętą pięścią. — Prawdziwi!

Listopadowe bestsellery

GRZEGORZ GAZDA

Na początek parę objaśnień i usprawiedliwień. Chcę bowiem pod takim tytułem przedstawić czytelnikom „Odgłosów" wydawnicze nowości, które nieliczni szczęśliwcy mogli zobaczyć, a już prawdziwie nieliczni kupić. Ponieważ obecnie i książka znalazła się w bezlitosnych trybach kryzysowego rynku, stała się przedmiotem czarnorynkowych spekulacji, towarem spod lady, któremu towarzyszy atmosfera konspiracji i tajemniczych gestów, informacja o jej wydawniczo-księgarskich losach staje się sprawą dnia.

Handel książką zaczął być równie intratny jak handel goździkami i pietruszką (antykwariaty powstają jak grzyby po deszczu, nie licząc domorosłych księgarzy na rynkach i bazarach). Książka stała się lokatą kapitału („Szkoda, że nie kupiliśmy jeszcze paru egzemplarzy" — zwierza się pan pani, oboje z egzemplarzami „Kuchni polskiej" pod pachą, w kolejce jaka ustawia się codziennie przed ladą zakupów w antykwariacie przy Piotrkowskiej), artykułem wymiennym równie atrakcyjnym jak paczka kawy czy mendel jajek. Nieważny tytuł, pal sześć autora! Byle ładnie wydana, poszukiwana i nowa.

W tej nerwowej aurze, która rodzi różne podejrzenia, aparat administracyjny próbuje podejmować jakieś działania profilaktyczne. Najpierw zabroniono odkładać książki dla bibliotek i stałych klientów — „wszystko na ladę". Potem — po napaściach publicystów — tę decyzję cofnięto: biblioteki mają swoje półki, ale stali klienci, dla których książka jest także warsztatem pracy, są znerwicowani proporcjonalnie do frustracji jakie przeżywają księgarze na skutek dociekliwości PIH i innych lotnych kontroli. Wedle rozmaitych opowieści można by zaryzykować zamianę powiedzenia „jak słoń w składzie porcelany" na idiom „jak PIH w księgarni". Antyspekulacyjne zabiegi ogarnęły także swoim zasięgiem owych bazarowych bukinistów (u nich udawało się kupić książkę, zanim dotarła do księgarń) oraz prywatne antykwariaty (podobno teraz nie kupują książek, które dopiero co sprzedawano w „Domach Książki").

Wszystkie te działania to ćwierćśrodki, z czego administracyjni decydenci zdają sobie sprawę. Stąd dyskusje w komisjach sejmowych, stąd obietnice ministra Żyguiskiego i próby udobruchania księgarskiej klienteli zapowiedziami o 25 procentowej podwyżce w produkcji książek. Inna sprawa to surrealistyczny dylemat czy wydawać klasyków w zwiększonych nakładach, czy też zwiększać ilość tytułów kosztem wysokości nakładów, a jeszcze inna — równie kontrowersyjna, bo uwikłana w mechanizmy reformy gospodarczej — to, jak pogodzić horrendalne ceny książek z możliwościami budżetowymi ich ewentualnych nabywców: książka staje się artykułem luksusowym.

Zatem, czy pogłębiać frustracje, uprawiać świadomościowy sabotaż, bulwersować nastroje, a więc czy pisać o bestsellerach, które dla większości z nas są marzonką o złotej rybce? Uprawiać egzotykę jak to robi „Orbis" zdobiąc witryny ofertami w rodzaju: „wieczerza wigilijna w Miszkolcu — 14 600"?

Na szczęście są biblioteki, te państwowe i te prywatne, są przyjaciele, którym się udało, więc obieg czytelniczy istnieje i, mimo ograniczonego zasięgu, będzie istniał. Dlatego też uznałem, że — w sytuacji, gdy nie tylko brak książek, ale i informacji o nowych książkach — warto o bestsellerach pisać.

Rozpocznę od faktu, który — biorąc pod uwagę dotychczasowe obyczaje księgarskie — wydaje mi się wysoce tajemniczy. Otóż „Dom Książki" rozprowadzał (używam tego słowa z pełną semantyczną świadomością) w listopadzie sześciotomową edycję PISM WYBRANYCH Bolesława Prusa w bardzo udanej edytorsko serii Państwowego Instytutu Wydawniczego „Biblioteka klasyków" (do tej pory w tej serii ukazał się Kochanowski, Norwid, Tołstoj, Turgieniew, Proust, a zapowiada się tymczasem jeszcze dzieła wybrane Conrada i Stendhala). Od nowel, „Anielki", „Lalki" do „Emancypantek" i „Faraona", a wszystko to na dobrym papierze i w trwałej oprawie. Nakład 20 tysięcy, cena 1500 zł. Prusa w takim wyborze nie wznawiano od dawna, więc niełatwo jest wyobrazić sobie kolejki przed księgarniami. Kolejek jednakowoż nie było, jak i Prusa na ladach. Z wymienianych tu i ówdzie opowieści (proszę zatem traktować je cum grano salis) ma wynikać, że owe sześć tomów w poręcznym opakowaniu, rozprowadzano właśnie na talony, które rozsprzedano w lipcu(?) tylko (?) dla księgarzy (?). Dużo tu znaków zapytania (może ktoś na nie odpowie), a sama sprawa mogłaby wydać się nieprawdopodobna, gdyby nie informacje o tym, że np. jakaś wytwórnia słodyczy rozprowadza (prześladuje mnie to słówko!) wśród swoich pracowników, miesiąc w miesiąc, znaczny procent produkcji. Czyżby zatem metoda „samorządności" zataczała coraz szersze kręgi?

Wspomniałem wyżej o serii, nie bez przyczyny. Wydawnictwa jakby wychodząc naprzeciw kolekcjonerskim hobby wielu klientów księgarń (kolekcjonuje się znaczki, motyle i opakowania od papierosów, czemu nie zbierać książek?) mnożą serie i cykle wydawnicze. Nie widzę w tym nic złego, choć często kupuje się książki wedle formatu i koloru obwoluty, jednak taki kolekcjoner może być utrapieniem dla tych, którzy poszukują określonego tytułu, ze względu na treść. Taki hobbista, który ustawił już na reprezentacyjnej półce dzieło o Katarzynie Medycejskiej, bądź Eleonorze Akwitańskiej, gdy zobaczy na ladzie (przypuśćmy!) monografię o Krasickim, wydaną w tej samej serii, nie oprze się pokusie i powiększy kolekcję. Tego rodzaju serią, rozchwytywaną w mgnieniu oka, której pojedyncze tytuły rosną potem w cenie po trzykroć u pokątnych bukinistów, jest piwowski cykl „Biografie sławnych ludzi". W listopadzie właśnie ukazała się w tej serii obszerna monografia Wiktora Szkłowskiego „Lew Tołstoj" (20 tys. nakładu, cena 250 zł). Jak na monografię przystało, dzieło jest nader szczegółową rekonstrukcją życia i twórczości autora „Wojny i pokoju", rekonstrukcją — co ważne dla miłośników Tołstoja — bez filologiczno-uczonego sztafażu, napisaną po trosze w stylu vie romance, co znakomicie oddaje polski przekład Romany Granas. Tytuł ten, pośród wielu innych, znalazł się na liście książek z literatury rosyjskiej, którą to listę w ramach subskrypcyjnego „Klubu Kaliny Czerwonej" zaproponował w kwietniu swoim czytelnikom tygodnik „Przyjaźń". Nie chcąc serwować musztardy po obiedzie, wspominam tylko o tej akcji, ponieważ jest ona sposobem na bezkonfliktowe (z przesyłką do domu!) zaopatrzenie się w książkę poszukiwaną i atrakcyjną. Z trzydziestu tytułów, które polecała „Przyjaźń", każdy znalazłby kilka godnych uwagi. Żałując, że i ta akcja miała charakter nieco konspiracyjny, pamiętajmy o jej przyszłorocznej kontynuacji. W mniej męczącym zapamiętaniu będziemy biegać od księgarni do księgarni.

Na liście „Klubu Kaliny Czerwonej" jest jeszcze jedna powieść, którą można polecać miłośnikom bardzo dobrej literatury. Można polecać z tym większym skutkiem, że powieść ta jest w księgarniach (ewenement do zdyskontowania!): myślę o „Rwaczu" Ilii Erenburga, wydanym w serii „Nike" przez „Czytelnika" (nakład 20 tys., cena 170 zł). „Rwacz" jest powieścią z lat dwudziestych, a zatem z okresu najpłodniejszego w twórczości Erenburga; jest też powieścią o latach dwudziestych: czasie NEPu i społecznego trzęsienia ziemi, także czasie Ostapów Benderów i Lejzorków Rojszwanców, lewych interesów, takichż fortun i tragiczno-komicznych uwikłań poszczególnych bohaterów.

Dostał nagrodę Nobla Gabriel Garcia Marquez, a ja z listopadowych bestsellerów chcę wymienić książkę Julio Cortazara „Opowiadania o Łukaszu" (Wyd. Literackie, w serii literatury iberoamerykańskiej, nakład 40 tys., cena 30 zł). Bo jest też Cortazar szczególnie hołubiony przez polskich wydawców, a myślę, że i przez czytelników także. Można podejrzewać, że Zofia Chądzyńska, wyrywa z ręki dopiero co napisane przez Cortazara teksty i zasiada do przekładu. Wydane w roku 1979 w oryginale „Opowiadania o Łukaszu" są typowym dla tego autora przykładem literatury, którą obecnie uprawia: ni to opowiadania, ni monologi o charakterze osobistych zwierzeń, ni zaskakujące swoją paraboliczności przypowieści... Oto jedno z nich pod tytułem „Przeznaczenie wyjaśnień": „Z pewnością istnieje miejsce przeznaczone na śmietnisko, gdzie gromadzą się wyjaśnienia. W tej słusznej panoramie niepokoi jedno: co nastąpi, gdy pewnego dnia komuś uda się wyjaśnić również śmietnisko".

Z literatury edukacyjno-poznawczej, a więc wydawanej przez „Wiedzę Powszechną", na liście listopadowych nowości winna znaleźć się dwutomowa edycja „Poetów dwudziestolecia międzywojennego" (nakład 30 tys., cena 380 zł) jako uzupełnienie tomu sprzed lat, zatytułowanego „Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego". Książka zawiera sylwetki 30 poetów, wraz z krótkimi notami bio-bibliograficznymi. Literackie profile poetów (Broniewski, Brzękowski, Czechowicz, Czuchnowski, Czyżewski, Gałczyński, Iłłakowiczówna, Iwaszewicz, Jasieński, Jastrun, Lechoń, Leśmian, Liebert, Miłosz, Pawlikowska-Jasnorzewska, Peiper, Przyboś Rymkiewicz, Sebyła, Słonimski, Staff, Stern, Szenwald, Szymański, Tuwim, Wierzyński, Wittlin, Zagórski i Zegadłowicz) zaprezentowane przez znanych krytyków i literaturoznawców mają tę zaletę, że jednocześnie mogą spełniać rolę uzupełnienia relacji podręczników szkolnych oraz upowszechniać znajomość, wciąż nie dość znanej poezji dwudziestolecia wśród szerokich rzecz czytelniczych.

Jak wiadomo, obok muzyki poważnej istnieje muzyka rozrywkowa, obok muz na koturnach przemyka muza podkasana. Toż samo i w literaturze. Oprócz dzieł nobliwych i pokrytych klasyczną patyną istnieją dziełka i dzieła (też już klasyczne), które są nieskrępowaną radością życia, pikantną anegdotą i gawędziarską opowiastką. Na koniec zatem do listy listopadowych bestsellerów chciałbym dorzucić dwie książeczki o quasi-bibliofilskim charakterze, choć w wielotysięcznych nakładach. Pierwsza z nich to dwujęzyczna edycja Wydawnictwa Literackiego „Iskierki" Lodowico Ariosta (nakład 8 tys. cena 85 zł). Nowela Arista to wyimek z XXVIII pieśni „Orlanda Szalonego" w nowym przekładzie poetyckim Tadeusza Filipa. „Niewątpliwie pikantna nowela Ariosta jest arcydziełem dowcipnej narracji, ujętej w zabawne, czasem groteskowe, ale nigdy rubaszne metafory, w których wszystko może ujść w kompanii grzecznej" — pisze w posłowiu tłumacz. Nic nie dodam od siebie: niechaj każdy po swojemu odczuje radość czytania.

Druga to, w nakładzie 30 tys. za 160 zł miniaturowa książeczka wydana przez białostocki KAW, w serii „Osobliwości" (tytuł serii to eufemizm pod którym kryją się arcydzieła polskiej poezji erotycznej, o bardziej obyczajowym charakterze), zatytułowana „Nieobiecany kąsek". Jej autorem jest Jan Andrzej Morsztyn. Wstęp Waldemara Smaszcza opatrzono tytułem „Eros wyzwolony". Dalsze informacje uznaję za zbędne.

Nie wiem ile w listopadzie ukazało się tytułów, nie wiem także w jakim nakładzie. Spośród nich wybrałem siedem, za to takich, które chciałby kupić każdy (czy każdy ma wątpliwości — te siedem książek w sumie kosztuje przeszło dwa i pół tysiąca). Spieszmy więc do bibliotek i czekajmy na lepsze księgarskie dni.

Na marginesach wielkiej sztuki

Handel i artyzm

Najbardziej podobał mi się „Zieleniec": zimowy, z rozbielonymi liniami lasów w załomkach gór, czerwieniejącymi tu i ówdzie czapkami, a może całymi sylwetkami — jakież to drobne! — narciarzy. W Zieleńcu najdłużej zalega śnieg i takie jak na gobelinie są tam słoneczne, narciarskie pejzaże. Praca otrzymała ledwie wyróżnienie. Czy wysoka komisja miała wątpliwości co do walorów handlowych?

Dajmy spokój komisji.

Plakat informuje o wystawie pokonkursowej gobelinów, kilimów i sumaków. Konkurs był dziełem Centralnego Związku Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego. W wystawie ma udział również Centralne Muzeum Włókiennictwa, choćby poprzez użyczenie dwóch sal na ekspozycję wyjątkowo licznych prac. Tłok jest taki, że wydaje się, iż to nie wystawa a magazyn handlowy, niewiele brakuje, aby prace złożono jedną na drugiej Najwięcej jest gobelinów, najmniej — sumaków. Tych ostatnich pewnie dlatego, że ta żmudna, powolna technika wielkie nakłada ograniczenia w formowaniu wzoru. Są również na wystawie kobierce.

Całość przynależy do rękodzieła artystycznego, a nie ludowego. Projektowana jest przez zawodowych plastyków, wykonywana przez chałupników i liczy się według metrów kwadratowych. Gdyby zaś historycznych odniesień szukać, trzeba by sięgnąć po tkaninę dworską i ten wątek prześledzić w naszym tkackim rękodzielnictwie.

Na wystawę dochodzi się przez ekspozycję współczesnej polskiej tkaniny artystycznej w zbiorach CMW. Może to dobrze. Przynajmniej wyraźnie widać różnicę między Sztuką, Artyzmem a handlem. Cepelia robi na sprzedaż. Ma więc to być poprawne i przede wszystkim handlowe. Pewnie — trudno eM-ileś gobelinem 5 m na 5 m stroić, ale wśród tych muzealnych są również mniejsze. Toteż rzecz nie w formacie. Już raczej w przekonaniu, że najlepiej się sprzedają kompozycje z motywów kwiatowych mniej lub bardziej stylizowane, z tłem splątane albo i nie, z ramką czy też bez ramki; mogą być również ptaki, ryby, bo dobry rytm można z nich ułożyć; poza tym jeszcze pejzaż miejski i wiejski z każdej pory roku, takoż w ramce albo i bez niej — taki normalny, tyle że utkany obraz o co w końcu nie mogę mieć pretensji, bo gobeliny taką właśnie mają zaprzeszłość i problem polega jedynie na tym, żeby je w te eM wcisnąć.

O co więc się tu chandryczyć? Ze handlowe? Uchowaj! Niech ludziska kupują, jeżeli tylko mają za co (1m kw. — 5100 zł w pewnym jednostkowym przypadku); że poprawne? — trudno godzić się na zupełne byle co. Żeby wyłuszczyć dokładniej skorzystam z tego co napisał Zdzisław Dolatkowski (Życie Literackie nr 42, z 28 listopada — Profesjonalizm w sztuce jest fikcją): „Nie dajmy (też) zwieźć się demagogicznym argumentom na temat słuszności wyroków ferowanych przez najróżniejsze komisje „specjalistów" w sprawach sztuki. Wystarczy przyjrzeć się pracom „zaakceptowanym" przez tych władczych regulatorów upaństwowionego obiegu dzieł sztuki, prezentowanym np. w galeriach sklepów warszawskich. „Dzieł" tam pełno, ale „dzieł sztuk?i".

Na marginesie: autorowi mniej więcej to samo co i mnie leży na wątrobie, choć w pewnych kwestiach tylko, bo poza tym trochę różnimy się w poglądach, do czego postaram się na tych łamach nawiązać w przyszłości.

Wracając zaś do tematu Powie ktoś, że Cepelia to rzemiosło, artystyczne wprawdzie, ale przecież nie Sztuka, wystarczy więc, żeby było poprawne, ładne, dekoracyjne czyli ozdabiające. Kupi sobie Pipsztycki sumaczek, przykiepie do ściany i będzie cacy. Tego sumaczka nie zakupi CMW, bo onże w naszej Sztuce Tkackiej nic nie robi; ani formalnie, ani treściowo.

Sztuka zawsze coś chciała i chce wyrażać. Różnych się imała po temu sposobów, w różne przyoblekała się formy, tkanina od wieków przede wszystkim była użyteczna w tym najbardziej przyziemnym rozumieniu — ochrony przed chłodem, wiatrem, palącym słońcem, przy okazji była świadectwem dostojności i bogactwa swego użytkownika i właściciela. Dziś pozostało jej być samą dla siebie.

Mamy zasłony, firanki, obrusy, obiciówkę i odzieżowe — przydatne, niezbędne, dobrze żeby nam się podobały, były modne. Gobelin, kilim i sumak straciły swój program użytkowy, nieliczne wyjątki tylko potwierdzają regułę. Pozostało przydawanie splendoru wnętrzom publicznym, urzędowym, no bo gdzieżby indziej upchnąć coś na bardzo dużo metrów długie (w poziomie) i ze dwa szerokie? A taka ogromna jest właśnie tkanina pana P. Grabowskiego (dlaczego na wizytówkach nie ma imion?) zatytułowana „Norge". „Zieleniec" zresztą też jest tego autora, której dano pierwszą nagrodę. Rzecz naprawdę warta wyróżnienia. Tylko — przepraszam — ja się w tym wszystkim gubię.

Bo czy w tych rzeczach dla Pipsztyckiego nie można by dać czegoś więcej ponad poprawność? Znam argumenty o niewyrobionym guście kupujących i uważam je po prostu za demagogiczne, wygodne dla równania w dół. Już bardziej jestem skłonna wierzyć w obawy „czy to się sprzeda".

Wszakże wydaje mi się, że problem jest poważniejszej natury i mieści się w dziedzinie szeroko pojętej kultury urządzania wnętrz.

Żeby zaś go w pełni wyjaśnić trzeba by sięgnąć do okresu dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to we wnętrzarstwie poprzez nurt tzw. ładowski, wywodzący się jeszcze z Warsztatów Krakowskich, przebijała się awangarda z lat dwudziestych. O ile pierwsza z wspomnianych tendencji zalicza się do estetyzujących, dekoracyjnych, o tyle druga to najczystszej wody funkcjonalizm skrzyżowany z konstruktywizmem. „Ład" lansował obfite użycie tkaniny we wnętrzu przede wszystkim dla tegoż wnętrza ozdoby, grupa Preasens jako jeden ze zbytków dekoracyjnych odrzuciła właśnie tkaninę ograniczając jej obecność do niezbędnego minimum funkcjonalnego.

Pod koniec lat trzydziestych pojawił się jak gdyby kompromis pomiędzy tymi nurtami. Zmieniło się zresztą pojęcie funkcji; uznano, że to nie kolejne czynności, a ciągłość procesów, następstwo stanów bierności i aktywności, zaś estetyczne smaczki w narodowym polskim sosie podporządkowano rygorom intelektualnym. Rezultaty tych zmian można zaobserwować w projektach i zrealizowanych wnętrzach z ostatnich przed II wojną światową lat. Artyści ze swobodą operują funkcjonalnymi podziałami przestrzeni, stosując jednak w tym celu nie suche płaszczyzny barwne, a bogaty arsenał materiałów kontrastujących również fakturą. Tkanina została wówczas jakby na nowo dla wnętrz odkryta. Przywrócono jej zapomnianą służebną, użytkową rolę nie pozbawiając jednak walorów dekoracyjnych.

To przydługie historyczne przypomnienie potrzebne było dla umiejscowienia tego, co w zakresie tkaniny robi „Cepelia". Otóż wydaje się, że jest to kontynuacja „ładowskiego" sposobu myślenia o wnętrzu. Mam również wrażenie, że oczywiste założenie, iż spółdzielnie cepeliowskie są kontynuatorkami polskiego rękodzielnictwa ludowego i artystycznego, traktowane jest tam dosyć powierzchownie, a to przez sprowadzenie pojęcia tradycji jedynie do nawiązań formalnych. Stąd — jak sądzę — odczucie, że dominująca większość tkanin prezentuje poziom jedynie poprawny. Jest to jednak odczucie generalne, ono też zmobilizowało mnie do tych obszerniejszych uwag. Byłabym wszakże niesprawiedliwa pomijając i to, że jest na tej wystawie sporo zwłaszcza kilimów, ale i gobelinów (kobierców także, ale to zupełnie osobna działka), które bardzo mi się podobały. Atoli nie przeczy to stwierdzeniu, iż są one pomyślane jako ozdoba wnętrza, nie zaś jego element dekoracyjno-funkcjonalny.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Lista problemów z listami przebojów

Sama sprawa nie jest bynajmniej nowa. Jak twierdzą badacze kultury masowej dwudziestego wieku tzw. top-listy wymyślono w Stanach Zjednoczonych w trzecim bodaj dziesięcioleciu naszego stulecia i w krótkim czasie stały się one jeszcze jednym instrumentem, który odgrywał rolę przy lansowaniu utworów, a co za tym idzie miał wpływ na dystrybucję wydawnictw zawierających takie czy inne pozycje z zakresu muzyki rozrywkowej. Zestawienia najpopularniejszych przebojów stawały się coraz modniejsze, tym bardziej, że były równocześnie rynkowym barometrem, sondażem tego, co podoba się melomanom. Nic dziwnego, że namnożyło się ich bardzo dużo i do tej pory wzajemnie konkurują ze sobą o miano najbardziej miarodajnej w sensie odzwierciedlania zainteresowań muzycznych społeczeństwa. Najczęściej podawane są one do publicznej wiadomości za pośrednictwem pisma muzycznego lub też rozgłośni radiowej które w pewien sposób zostają sprzęgnięte z określoną siecią dystrybucyjną sprzedaży muzyki mechanicznej.

Do tej pory cały czas piszę o listach przebojów istniejących w państwach zachodnich. Rzecz jasna, nie ma tam zestawień „centralnych", które byłyby reprezentatywne na obszarze danego państwa. Najczęściej każda siatka rozprowadzająca płyty posiada własną listę hitów. Podstawa do ustalania kolejności poszczególnych tytułów piosenek czy utworów instrumentalnych na takich listach jest wynik handlowy, jaki daje sprzedaż singla lub longplay'a (zazwyczaj odrębne listy dotyczą małych, a odrębne dużych płyt) w okresie stanowiącym przyjęty jako stały, przez przygotowujących zestawienie, odcinek czasu (może to być tydzień, dwa tygodnie, miesiąc...). Taki system wydaje się być sprawiedliwy, płyty gramofonowe bowiem są na Zachodzie towarem nie tanim, toteż jeżeli ktoś decyduje się na zakup tej jednej wybranej pozycji, to znaczy, że jest nią autentycznie zainteresowany, że chce słuchać w wolnej chwili u siebie w domu piosenki, która mu się podoba. Ze względu na ogromną wydajność zachodnich firm płytowych, ruch na listach przebojów jest tam dość duży i tylko wielkie przeboje, które często stają się później evergreenami, mają szansę dłużej utrzymać się na szczycie listy. Trudno byłoby posądzać panów tego interesu o świadome fałszowanie wyników, gdyż obraz, jaki daje lista przebojów jest równocześnie zwierciadłem wpływów gotówkowych — a pieniądz, to przecież zawsze pieniądz... Jeśli więc jeden numer wypiera drugi z pierwszej pozycji jakiegoś Top Twenty znaczy to, że po prostu tamten się znudził, bo ludzie zaczynają kupować małe krążki z innym tytułem. Zresztą wiedzą o tym doskonale ci wszyscy melomani w naszym kraju, którzy z uwagą śledzą (m. in. za pośrednictwem radioodbiorników ustawianych na odpowiedniej fali) zachodnie listy szlagierów i są w stanie nawet zbudzeni w środku nocy wyrecytować, co ma dobra passę, a co spada z listy.

List przebojów nie mogło zabraknąć także u nas. Cały kłopot polega na niedowładzie naszej rodzimej fonografii i stąd też trzeba było ustalić zupełnie inne kryterium dla określenia, która w takim to a takim czasie piosenka cieszyła się większą czy mniejszą popularnością wśród słuchaczy. Opieranie się na dystrybucji produkcji fonograficznej polskich firm płytowych nic by nie dało z tego choćby powodu, że płyta ukazuje się u nas na rynku wówczas, gdy utwór jest już zapomniany. To prawda, że nawet owe spóźnione płyty rozchodzą się nieraz, jak przysłowiowa woda, ale cały bałagan panujący w naszej fonografii od początku do końca nie pozwala na określenie popularności utworu za pośrednictwem rachunku sprzedanych płyt.

Pomysłów jednak nie brakowało i już od ponad dwudziestu lat mówić możemy o polskich listach przebojów. Było i jest ich wiele. Kiedyś dużym autorytetem u młodych słuchaczy cieszyła się **Lista Przebojów Rozgłośni Harcerskiej**, stworzyć listę próbował — świętej pamięci — Studio „Rytm", niejako jej przedłużeniem była późniejsza **Radiowa Lista Przebojów** ogłaszająca wyniki raz na tydzień, w niedziele. Takąż plebiscytową formą była też mająca wieloletnie tradycje **Radiowa Piosenka Miesiąca**, która później przerodziła się w **Plebiscyt 17 Rozgłośni**, gdzie — miast radiosłuchaczy — typowali redaktorzy muzyczni. Połączeniem tych dwóch formuł głosowania były całkiem niedawne comiesięcznie **Plebiscyty Studia „Gama"**. Jak widać, brylowało tutaj Polskie Radio które co jakiś czas reformowało te swoje „Top ileś tam" aż dziw bierze, że listy przebojów prowadzone przez takie pisma, jak „New Musical Express", „Melody Maker" czy „Billboard" publikują swoje zestawienia od kilkudziesięciu lat nie wymagając żadnych zasadniczych zmian. Może po prostu są bardziej miarodajne. Zresztą trzeba przyznać, że i nasze pisma wielokrotnie rozpoczynały drukowanie list przebojów; przypomnijmy choćby dla przykładu tygodnik młodzieżowy „Na przełaj" czy też śląską „Panoramę", która bawi się w to do tej pory. A swoją drogą, czy nie zająłby się tego typu działalnością nasz poczciwy Ajent dzierżawiący jedną kolumnę „Odgłosów"?

Aktualnie, z liczących się — jeśli można tak powiedzieć — list przebojów wymienić trzeba następujące rodzime „Hit Parady". **Lista Przebojów Programu III Polskiego Radia** (szczególnie uwielbiana przez młodzież) **Lista Przebojów Programu I Polskiego Radia** (w zasadzie podobna do poprzedniej, z tym, że mająca szerszy jak się zdaje zasięg odbiorców), **Telewizyjna Lista Przebojów** (najmłodsze dziecko polskiej myśli „listo-przebojowej") oraz **Lista Przebojów „Non Stopu"** (czyli specjalnego cyklicznego dodatku muzycznego do „Tygodnika Demokratycznego"). Dodajmy jeszcze, że dwie pierwsze listy ukazują się na antenie co tydzień, w każdą sobotę, natomiast dwie pozostałe są zestawieniami miesięcznymi. W przypadku wszystkich czterech rodzą się jednak niezmiennie te same wątpliwości będące równocześnie listą problemów dla przygotowujących je redaktorów. Dodam od razu: problemów na dziś praktycznie nie do pokonania.

Po pierwsze: zasady sondażu. Obie radiowe listy są ustalane podobno — piszę „podobno", bowiem wielu radiosłuchaczy ma wątpliwości, czy istotnie całe rachowanie przebiega skrupulatnie — na podstawie kartek pocztowych z tytułami piosenek, które to kartki nadsyłają słuchacze. W przypadku listy Programu III dodatkowe kryterium stanowią telefony, gdzie podczas rozmowy zgłosić można swój typ. Podobnie sprawa wygląda przy Telewizyjnej Liście Przebojów, gdzie również decyduje ilość nadesłanych kartek. Ten system budzić musi zastrzeżenia, gdyż co innego kupić płytę za kilkadziesiąt złotych, a co innego wrzucić do skrzynki kartkę za złotych kilka. W końcu znane są wypadki organizowania akcji wśród młodzieży, w wyniku których na daną piosenkę danego wykonawcy wpływa zupełnie „prawidłowo" tyle i tyle głosów, co winduje go w górę tabeli. Poza tym kupno płyty jest wedle zasad prawdziwych list przebojów — już samo przez się oddaniem głosu na utwór i wykonawcę, zaś pisanie na kartce pocztowej tytułu i nazwiska jest czynnością wtórną.

Po drugie: dobór kandydatur na listę. W zasadzie we wszystkich przypadkach (jaskrawo widać to choćby w „Non Stopie", gdzie krytycy ustalający kolejność na liście aktualnej typują również propozycje) ilość utworów, na które można oddać swój głos jest ograniczona do tych piosenek, które prezentowane są w propozycjach do Listy Przebojów. Najbardziej widoczne jest to przy okazji Telewizyjnej Listy Przebojów, gdzie praktycznie typować można wyłącznie te tytuły, które telewizja ma w postaci teledysków. Po trzecie, po czwarte...

W tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że lista problemów byłaby bardzo długa. Po co więc owe wszystkie przeciw wyliczać, skoro tak są nie do przeskoczenia. Ale może kiedyś, w przyszłości...

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Kronika kulturalna

Kiedy niniejszy numer „Odgłosów" dotrze do naszych Czytelników, koncert galowy laureatów II Wojewódzkiego Przeglądu Twórczości Ludowej będzie już należał do historii. Tym niemniej warto przytoczyć kilka uwag jakie padły na konferencji prasowej zorganizowanej 1 grudnia przez Łódzki Dom Kultury i poświęconej właśnie wyżej wymienionemu koncertowi i stanowi kultury ludowej w naszym województwie.

Kultura ludowa w naszym regionie stanowi bardzo trudny problem. Podstawową trudnością jest to, że woj. miejskie łódzkie nie stanowi zwartego obszaru etnograficznego, dlatego też kulturze ludowej brak jednolitego charakteru, wykazuje ona odrębność nawet w ramach sąsiednich wsi, będącą wynikiem powiązań z terenami ościennymi. Dodatkowym czynnikiem izolującym poszczególne części województwa jest centralne położenie Łodzi, które dzieli województwo na dwa obszary: północny i południowy.

Podstawowym zadaniem i jednocześnie punktem wyjścia dla działań Łódzkiego Domu Kultury stało się określenie aktualnego stanu sztuki ludowej na terenie województwa. Szczególną okazją do takiego rozpoznania był I Wojewódzki Przegląd Twórczości Ludowej, który odbył się we wrześniu 1981 roku w Głownie. Udział w konkursie wzięło 36 osób, które zaprezentowały w szerokim zakresie rzeźbę, plastykę papierową, tkaniny i koronki. Udało się w ten sposób zebrać informacje, nazwiska twórców i wyznaczyć obszary występowania stroju ludowego. Następnym zadaniem dla ŁDK i to już długofalowym, wynikającym z tego rozpoznania było otoczenie opieką twórców: dostarczanie im materiałów, narzędzi, a także udzielanie konsultacji etnograficznych. Opieka ta jest konieczna z tego także względu, że w większości, twórcy ludowi są ludźmi w podeszłym wieku, u których z dnia na dzień maleje zdolność manualna i należy starać się jeszcze ocalić jak najwięcej z twórczości jaką uprawiają. Pojawiają się także (chociaż za rzadko) ich następcy z młodego pokolenia i tu kolejne zadanie dla ŁDK, a mianowicie upowszechnianie i popularyzacja sztuki ludowej wśród dzieci i młodzieży.

Teraz może słów kilka o koncercie jaki ma się odbyć 6 grudnia w Teatrze Nowym. Jest to koncert galowy laureatów II Wojewódzkiego Przeglądu Twórczości Ludowej. Przegląd zorganizowany został w czerwcu 1982 roku i odbywał się w Pabianicach. W Przeglądzie wzięły udział różnego typu zespoły działające w środowisku wiejskim oraz duża grupa indywidualnych wykonawców, częstokroć pozostających poza oficjalnym nurtem amatorskiego ruchu artystycznego. Wystąpiły także znane stylizowane zespoły pieśni i tańca jak: „Harnam" czy „Poltex", ze względu jednak na swój specyficzny rodzaj oceniane były w oddzielnej kategorii. A kategorii było kilka: solistów i instrumentalistów, solistów śpiewaków, zespołów śpiewaczych, gawędziarzy, kapel, dziecięcych zespołów folklorystycznych, stylizowanych zespołów folklorystycznych z opracowaniem scenicznym.

Nie wszystkie zespoły i wszyscy soliści, którzy zostali laureatami wystąpią w koncercie. Część z nich z powodu zaawansowanego wieku czy choroby nie będzie mogła przyjechać.

Na czas trwania koncertu w foyer teatru zorganizowana będzie wystawa współczesnej rzeźby ludowej.

Balety Wycichowskiej

JERZY KWIECIŃSKI

Tytuł jakby „na wyrost", bo przecież po niedawnym debiucie choreograficznym dopiero trzy nowe balety skomponowała **Ewa Wycichowska** i dopiero to początek jej kariery na tym polu. Trudno mi jednak oprzeć się chęci podążenia tropem wyobraźni choreografki, w ryzykownym poszukiwaniu tego, co stanowi o jej osobowości twórczej. Zapewne jest to zuchwałość nie dość usprawiedliwiona.

Program prapremierowy w Teatrze Wielkim obejmował balety do dzieł muzyki polskiej, równie wybitnych, co dobrze znanych tej części widzów, którzy nieraz je słyszeli na filharmonicznej estradzie. A każde z nich niesie z sobą innego gatunku inspirację i innego rodzaju „wyzwanie" dla twórczych ambicji choreografa. Co przy tym istotne, muzyka szła nie z taśmy, lecz na „żywo" i w konsekwencji jej rygory wykonawcze, dyktowane wewnętrzną logiką utworów podporządkowują tancerzy zmiennej z każdym przedstawieniem interpretacji, zależnej od osoby dyrygenta i solistów, od nastroju dnia.

Czy ta rola muzyki, tak znamienitej, oznacza, iż miłośnikom baletu zaserwowano tym razem koncert przeznaczony głównie dla melomanów, tyle że z „ilustracją baletową"? Ależ nie! To właśnie baletomani mieli pełne prawo czuć się jak u siebie w domu, bo przecież wizja choreografa zadecyduje ostatecznie o tym, czy jego dzieło wejdzie na trwałe do baletowego repertuaru. Ta hierarchia spraw obowiązuje w tym przypadku także oceniającego. Dobrze, jeśli słyszy; gorzej, gdyby nie widział...

ROMANTYZM I ROMANTYCZNOŚĆ

Koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina („Impresja baletowa"). Jaką inspiracją dla baletu jest koncert instrumentalny, nie jakikolwiek, lecz właśnie chopinowski, i to w kraju kompozytora? Określenie „impresja" nie oznacza asekuracji choreografa, lecz wyraża dystans skromności wobec muzycznego tworzywa i postaci genialnego twórcy, który w pośredni sposób uczestniczy w scenicznej „akcji", jako przedmiot odwzajemnionej miłości. Ale trzeba tu uzupełnić drukowany program wieczoru, aby zwiększyć „czytelność" artystycznego przesłania baletu, w którym występuje, wymieniona z imienia **Konstancja.**

Chodzi o Gładkowską, rówieśnicę Chopina i jego młodzieńczą miłość, która w wiele lat po rozstaniu z kompozytorem utraciła wzrok.

Po orkiestrowej introdukcji, na tle akordów fortepianu, pierwsze taneczne kroki sześciorga solistów przenoszą widza w świat konwencji baletu romantycznego. Widać przy tym dążenie autorki do przekazywania raczej nastroju emocjonalnego poszczególnych fragmentów i fraz utworu, niż do ilustrowania każdego taktu i każdej nutki przez „adekwatne" pas. Zwraca też uwagę pomysłowe rozdzielanie solowej grupy, pomyślane tak, żeby każdy, nawet gdy przypada mu nieruchoma poza, czuł się aktywny scenicznie. Ale odbywało się to ze zmiennym powodzeniem, zależnym od wykonawców, wśród których na obu przedstawieniach bez zarzutu wypadła chyba jedynie **LILIANA KOWALSKA**, o romantycznej choć powściągliwej ekspresji, a sprawnie partnerował jej **KAZIMIERZ KNOL.**

Z pewnością zaintrygowała widzów tajemnicza, rozświetlona plama w głębi sceny obramowana jakby (archanielskimi?) skrzydłami i jakaś poruszająca się osoba. Na drugim przedstawieniu można było dojrzeć wyraźniej sylwetkę tancerki, domyślając się że oto wyobraźnię kompozytora absorbuje Konstancja. W sumie, ta część utworu nie wolna była od pewnych dłużyzn, zapewne stąd, że pomysłowość choreograficzna i wykonanie tańca nie dotrzymywały kroku pięknościom dzieła muzycznego. Jak wobec tego spisze się „Adagio"?

Sam Chopin wyznał, iż Adagio pisał z myślą o Gładkowskiej. Nie wiadomo dziś, czy jego uczucie było odwzajemniane, a nawet czy nie było ono głównie sprawą rozigranej romantycznie wyobraźni Fryderyka, który — dziecko swej epoki — nie mógł nie mieć swego romantycznego „ideału". Taka postawa i towarzysząca jej wówczas aura, to była właśnie „romantyczność", która nakazywała genialnemu muzykowi kruszyć kopie w obronie śpiewaczych walorów wybranki serca przed krytyką (m. in. Mochnackiego).

Ale prawda historyczna, jaka by nie była, nie stanowi przeszkody w posłużeniu się głośnym niegdyś romansem jako choreograficzną inspiracją, w Adagiu właśnie, które zwykło wyrażać miłosne uczucia. I co wydaje mi się zdumiewające, to już sam fakt, że muzyka tak wysokiego lotu znalazła tu całkowite, w moim odczuciu, zadośćuczynienie w nastroju i napięciu emocjonalnym tańca **EWY WYCICHOWSKIEJ i KAZIMIERZA WRZOSKA.** A ryzyko konfrontacji było ogromne, większe niż w przypadku Adagia z „Jeziora Łabędziego".

W jaki sposób udało się uzyskać symbiozę obu sztuk, osiągnąć to, że muzyka wspomagała taniec, a taniec interpretował muzykę? Co do mnie, to odczuwałem „równoległość" emocjonalną sekwencji ruchowych i fraz muzycznych, a być może świadczy to tylko o tym, że odbieram wymowność muzyki podobnie jak choreografka, na zasadzie zbliżonego typu wrażliwości muzycznej, dzięki czemu (według mnie) jej Adagio godne jest tego, by być tańczone z muzyką Chopina, bez ujmy dla kompozytora. Ba, ale jak było tańczone! Zróżnicowana i świeża w wyrazie technika Wycichowskiej podporządkowana była całkowicie ekspresji dramatycznej, co spotykało się z idealnym oddźwiękiem u jej partnera, odmłodniałego Wrzoska.

Była to kolejna wielka kreacja naszej baleriny, potwierdzająca oczywistą dla mnie prawdę, z której przemilczenia nie rozgrzeszyłyby recenzenta żadne obawy przed krajowymi koteriami: w osobie Ewy Wycichowskiej polska sztuka baletowa ma od dawna najświetniejszą reprezentantkę.

Ogólny zamysł cz. III wolno chyba odczytać jako próbę oddania nastroju beztroskich jeszcze zabaw, pozornie sielskich lat poprzedzających wybuch powstania listopadowego. Stąd na poły wojskowa prezentacja wejścia dwóch młodzieńców **(ANDRZEJ CYBULSKI, JERZY PIĘTKA)** kojarzących się z ówczesnymi podchorążymi. Wreszcie w finale, po zdumiewająco czystej frazie waltorni (które zwykle tak kiksują na koncertach filharmonicznych) wyłania się z głębi sceny Konstancja, teraz już ociemniała i rozmija się z Nim (w osobie wstającego od fortepianu autentycznego pianisty). Piękna to „klamra", ale bodaj nieczytelna bez stosownej informacji o Gładkowskiej.

Konstancja zresztą, osóbka o nieprzesadnie surowych obyczajach, wyszła za mąż za ziemianina Grabowskiego, miała z nim dzieci, a zaniewidziała jeszcze za życia Chopina, o czym ten zapewne się nie dowiedział. Owdowiawszy, zamieszkała w Skierniewicach, gdzie zmarła w podeszłym wieku. Nie żałowała nigdy swego zamążpójścia. Przed śmiercią spaliła pamiątki po Chopinie. (Tak podaje Hoesick w ślad za Karasowskim).

CZYSTA FORMA

Zupełnie inny nastrój podpowiada muzyka **Serenady Mieczysława Karłowicza,** wolna od pozamuzycznych inspiracji. Słusznie więc, że choreografka nie wysilała się na dramatyczną fabułę, koncentrując się w swojej **„miniaturze baletowej"** na kompozycji ruchu zbiorowego żeńskiej, szesnastoosobowej grupy baletowej. Zamysł był przejrzysty od pierwszych taktów, ale zmieniały się nastroje poszczególnych części: w cz. II był jakby salonowy, a w następującym Allegretcie dawała o sobie znać trochę kabaretowo-ogródkowa, nieco frywolna estetyka fin de siècle. Charakter muzyki przekazywały drobne gesty, skinienia głowy, ruchy dłoni. W części ostatniej dominowała wyobraźnia po trosze baśniowa, ruchy tancerek przywodziły chwilami na myśl leśne elfy, a zwieńczyła całość spiętrzona grupa, przypominająca w żartobliwy sposób wspólną fotografię towarzyską, jakby na upamiętnienie udanej wycieczki dziewcząt z żeńskiej pensji, i byłoby wszystko piękne, gdyby te zamysły znalazły realizację dostatecznie czystą i precyzyjną w przebiegu geometrycznych rozwiązań. Chwilami było do tego bardzo daleko.

Osobna rola przypadła nowo pozyskanemu dla teatru, wielce utalentowanemu **ANDRZEJOWI MARKOWI STASIEWICZOWI.** W swojej solowej partii zabłysnął dynamiką i miękkością niełatwych ewolucji, zabrakło mu jednak sposobności do ujawnienia swoich umiejętności interpretacyjnych.

MISTERIUM PLEBEJSKIE

Program wieczoru zamykał utwór kantatowo-oratoryjny **Karola Szymanowskiego „Stabat mater".** Pod wysokim, strzelistym krzyżem, z którego zdjęto ciało Ukrzyżowanego, tuląca się do krzyża — Matka Boleściwa. Po prawej, blisko proscenium, na niewidocznym postumencie trójca ludowych świątków. Pierwszy dzień chrześcijańskiego mitu — Opłakiwanie Zmarłego i współczesna wieś polska — w jednym czasowym planie, a więc i Matka, jako symbol ponadczasowy. W tym syntetycznym skrócie zawiera się ogólnoludzkie przesłanie choreograficznego misterium. A jeszcze do tego: przepiękne malarskie grupy, z udziałem chóru, przyodzianego w zakonne szaty i powolny ruch, świadomie odcinający się od tanecznej konwencji, wywodzący się z współczesnego teatru tańca, wreszcie hieratyczny gest, stylizowany na obrzędową modłę.

Zamysły choreografa z wielką sugestywnością realizowali tancerze: **LILIANA KOWALSKA** (Matka), **ANNA FRONCZEK** (Dziewka), **JERZY PIĘTKA** (Parobek), **ZBIGNIEW SOBIS** (Zakonnik) i przede wszystkim **KAZIMIERZ WRZOSEK** w roli udręczonego cierpieniem Syna.

W ten, najwłaściwszy moim zdaniem ogólny „ton" utrafił choreograf przez te środki ruchowego wyrazu, które Brecht określa „efektem obcości" — zarówno w stosunku do potocznego życiowego podobieństwa, jak i wobec przyswojonej przez widza konwencji teatralnej (jak choćby owe śpieszne, prawie taneczne kroczki niosących deski na trumnę). To ludowe misterium nie posługuje się przy tym plebejską zgrzebnością, przeciwnie, stosuje, na wzór kościelnego rytuału, cały wystrój „środków bogatych". Metaforyka jest chyba w zamyśle wieloznaczna, toteż wolno mi np. kojarzyć sobie końcową scenę zbiorową, wypełnioną obnażonymi ciałami, z wstawaniem zmarłych na Sąd Ostateczny.

W przekroju całego wieczoru najbardziej zaskoczyła mnie rozległość skali twórczej wyobraźni i psychicznych predyspozycji Ewy Wycichowskiej: od osobistej, lirycznej wypowiedzi po dramat o zakroju epickim.

Jak oddać sprawiedliwość innym współuczestnikom artystycznego sukcesu łódzkiej sceny baletowej? Wymienię tylko jednym tchem scenografię i reżyserię światła **KRZYSZTOFA PANKIEWICZA,** bez którego wizji uroda „Stabat mater" mocno by zapewne ucierpiała; **TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO,** sprawnie i czujnie prowadzącego skomplikowany aparat wykonawczy; **ANDRZEJA CHMIELOWCA** za przygotowanie chórów, a z solistów partii wokalnych zwłaszcza **TERESĘ MAY-CZYŻOWSKĄ** i **JANA DOBOSZA** z niedzielnego przedstawienia; gościnny udział pianistów — **JANUSZA GRZELĄZKI i JANUSZA OLEJNICZAKA,** wreszcie orkiestrę, której kwintet smyczkowy (przygotowany przez Zenona Hodora) brzmiał niezwykle soczyście.

W tym przypadku pominięcie kogokolwiek nie może być poczytywane za wyraz dezaprobaty, głównym bowiem bohaterem były dzieła choreograficzne i ich twórczyni. A publiczność, moim zdaniem, miała dobre prawo klaskać po wspaniałym Adagiu, jak to jest w zwyczaju na baletowym przedstawieniu. ■

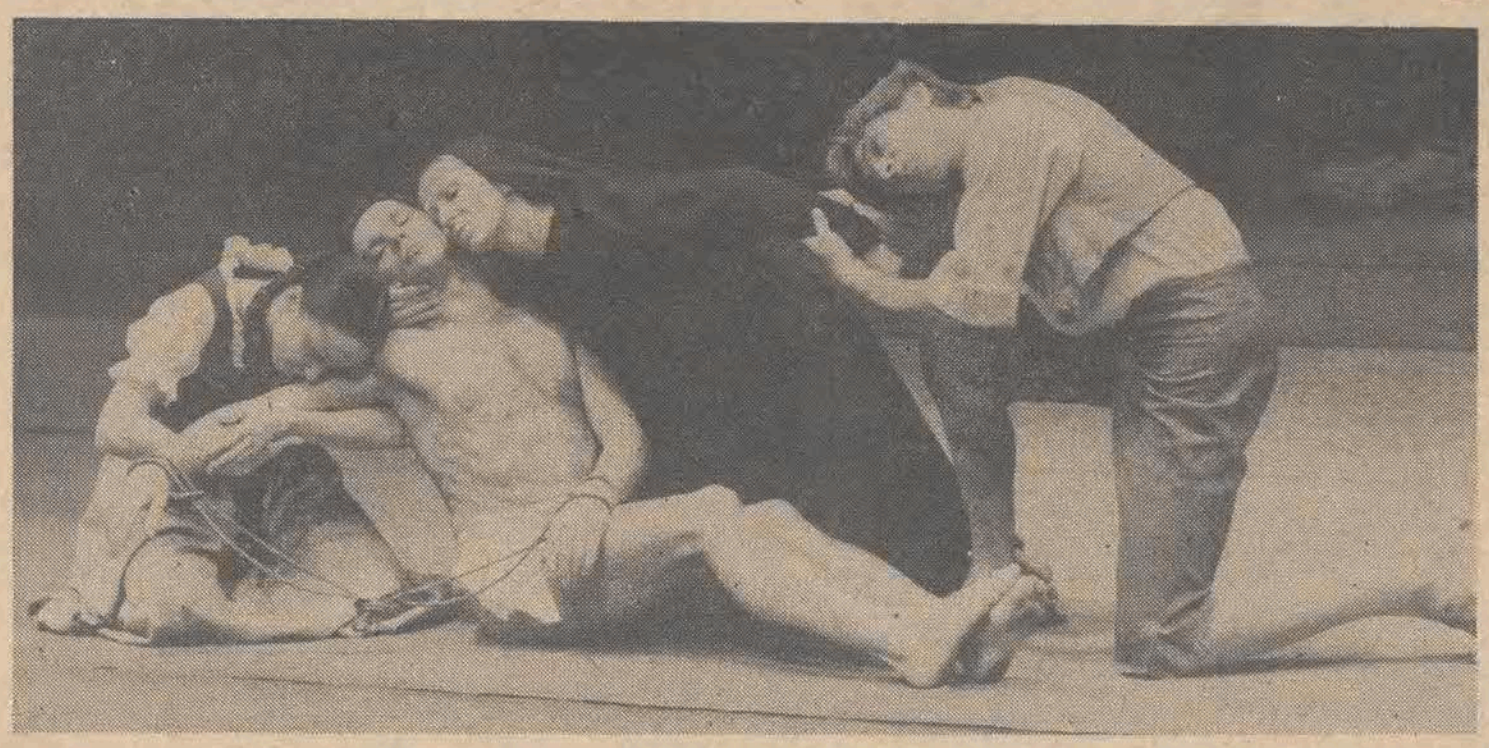

Karol Szymanowski: Stabat Mater. Na zdjęciu: A. Fronczek, L. Kowalska, J. Piętka. *Foto: Chwalisław Zieliński*

Kariera Nikodema Dyzmy po amerykańsku

ADAM BART

Świat oszalał, a ludzie są głupcami — głupcami do tego stopnia, że jest to aż niewiarygodne. Ludzie widzą rzeczywistość zupełnie inną niż jest ona naprawdę — obcują nie z realnością, ale ze swoimi złudnymi o niej wyobrażeniami. Głupota, która uchodzi za mądrość, rządzi życiem społeczeństwa i jednostek, a wartości i autorytety powszechnie uznawane są tylko złudzeniem, złudzeniem, które obdarzamy zaufaniem i szacunkiem.

Taka oto przerażająco pesymistyczna wizja świata wyłania się z filmu Hala Ashby'ego. W świecie ukazanym w tym filmie trudno byłoby doszukać się jakichkolwiek pozytywnych i niewątpliwych dla widza, nie zakwestionowanych wartości.

Jest więc to film do głębi nichilistyczny, przeniknięty brakiem wiary i nadziei, powątpiewający w ludzki rozsądek, istnienie prawdy i dobra...

Jednakże film znakomicie poprawia samopoczucie widza, daje mu podczas projekcji niebywały psychiczny komfort, poczucie, że jest kimś mądrym, przenikliwym i inteligentnym. Schlebianie próżności widza jest charakterystyczną cechą zastosowanego prawie w całym filmie sposobu narracji.

Konstrukcja filmu sprawia, że już po kilku, czy kilkunastu początkowych minutach projekcji (pełniących rolę ekspozycji) prawie do samego końca filmu widz zawsze wie więcej o przedstawionym w filmie świecie niż widoczne na ekranie postacie. Postacie te wciąż mylnie interpretują otaczającą je rzeczywistość, nie zdając sobie z tego — w odróżnieniu od widza — zupełnie sprawy; czyni je to dla odbiorcy filmu nader komicznymi. Widz znakomicie bawi się mając nad postaciami występującymi w świecie ukazanym przez film poczucie wyższości.

Innym źródłem komizmu w filmie (a zarazem przyczyną dobrego samopoczucia widza) jest przedstawienie zagadnień w rzeczywistości złożonych i trudnych w sposób nadzwyczaj uproszczony, przerysowujący karykaturalnie niektóre aspekty danego problemu. Przede wszystkim w ten właśnie sposób potraktowane zostały dwa istotne czynniki w życiu współczesnego społeczeństwa amerykańskiego (i zapewne nie tylko amerykańskiego), mianowicie: telewizja oraz mechanizmy władzy. I jedno i drugie zostaje widzowi ukazane jako coś, czego istotę bardzo łatwo jest jednoznacznie ująć — widz tedy czuje się niezmiernie inteligentny.

To bardzo przyjemne uczucie — wiedzieć więcej i lepiej niż inni, znać ukryte mechanizmy wydarzeń, czuć się jakby wszechwiedzącym Bogiem. Zazwyczaj jest przecież odwrotnie — na ogół to nam wydaje się, że inni wiedzą więcej i lepiej, a prawdziwe przyczyny wielu wydarzeń pozostają ukryte przed naszymi oczami.

Film opowiada historię mężczyzny (w wieku około pięćdziesięciu lat w momencie rozpoczęcia akcji filmu), który od wczesnego dzieciństwa przebywał jako ogrodnik w eleganckim i zasobnym domu swego opiekuna, nigdy nie uczył się ani pisać, ani czytać... nigdy też nie wolno mu było wychodzić na ulicę, za to jego pan kupował mu najpierw radioodbiorniki, a potem telewizory. Tak więc nasz bohater — Chancey „wychował się" i „wyedukował" wyłącznie prawie na telewizji, w izolacji od społeczeństwa. Oglądanie telewizji stało się nie tylko jego jedyną rozrywką, ale wręcz treścią życia.

Efekty tej telewizyjnej edukacji są przerażające. Chancey jest półidiotą, który równie mało rozumie z magmy wciąż zmieniających się na telewizyjnym ekranie obrazów, co z rzeczywistości bezpośrednio go otaczającej. Zdaje się być w dodatku pozbawionym jakichkolwiek wyższych uczuć, potrafi jedynie naśladować, niczym małpa, gesty ludzi widzianych w telewizji.

I oto ta życiowa kaleka zmuszona zostaje do opuszczenia wygodnego domu opiekuna, gdy ten umiera. Nawiasem mówiąc śmierć ta nie robi na zapatrzonym w szklany ekran Chancey'u większego wrażenia. Służąca, która zawsze przygotowywała mu posiłki odchodzi, a prawnicy każą mu opuścić dom.

Nie mając zielonego pojęcia o życiu, Chancey po raz pierwszy wychodzi do miasta. Dzięki dziwnemu (i zabawnemu) zbiegowi okoliczności, w ciągu kilku godzin zaledwie, poznaje starego miliardera i wkrótce zostaje jego przyjacielem.

Dzięki tej przyjaźni Chancey w oszałamiającym tempie robi karierę w tzw. wielkim świecie, a wszyscy — zarówno elita władzy i pieniądza (łącznie z prezydentem Stanów Zjednoczonych), jak szeroka opinia publiczna (której nasz bohater daje się poznać dzięki udziałowi w programie telewizyjnym) widzą w nim człowieka o niezwykle przenikliwym umyśle i wielkim sercu, całkowicie błędnie interpretując jego zachowania i słowa. Wszyscy dookoła naszego bohatera okazują się głupcami.

Notabene ta błyskawiczna kariera Chancey'a przywodzi na myśl naszą rodzimą karierę Nikodema Dyzmy, jakkolwiek intelektualnie Dyzma zdaje się był na znacznie wyższym szczeblu rozwoju, niż wychowany na telewizji bohater. Zresztą istnienia bezpośredniej inspiracji utworem Tadeusza Dołęgi Mostowicza w stosunku do filmu „Wystarczy być" nie można wykluczyć, biorąc pod uwagę polskie pochodzenie scenarzysty filmu Jerzego Kosińskiego.

Tak czy inaczej to, co wynika z opowiedzianej w filmie historii jest mało konstruktywne... Wobec społecznej głupoty prawdziwa demokracja jest niemożliwa, sprawowanie władzy przez zamkniętą elitę (przy pozorach demokracji) też nie jest szczęśliwym wyjściem, skoro członkowie owej elity nie grzeszą szczególną przenikliwością umysłu (dowodem na to w filmie może być fakt wysunięcia przez wpływowych przyjaciół miliardera kandydatury analfabety Chancey'a w wyborach na prezydenta USA). Oglądanie telewizji ogłupia — a oglądają ją wszyscy... telewizja kreuje fałszywe autorytety... Na domiar złego prezydent wielkiego mocarstwa, pan w Białym Domu, cierpi na impotencję... Banalne prawdy o uprawie ogrodu i następstwie pór roku wygłaszane przez Chancey'a, w których wszyscy dopatrują się utajonych, głębszych, metaforycznych treści, sprawiają wrażenie parodii zdań z Biblii.

Nic więcej, nawet religia, nie ostało się przed totalnym szyderstwem twórców filmu, szyderstwem, na które publiczność reaguje śmiechem... bowiem twórcy filmu wciąż schlebiają widzowi, jakby mówiąc: świat oszalał, ludzie są głupcami, ale ty to rozumiesz, ty to widzisz — ty jesteś mądry.

Ale i to pochlebstwo kończy się. W ostatniej przed napisami końcowymi sekwencji filmu widzimy cud. Chancey na przekór prawom fizyki, z niewzruszonym spokojem kroczy po powierzchni jeziora, schyla się, zanurza parasol w wodzie — woda jest głęboka... To już nie tylko parodia historii z Pisma Świętego, ale jest to kpina z samego widza, który po raz pierwszy podczas projekcji filmu przestał być wszechwiedzący, a stał się zupełnie głupi. Totalne szyderstwo dosięgnęło impertynencko widza. Ale na tym nie koniec.

Na ekranie pojawiają się napisy końcowe, ludzie zaczynają wychodzić z sali kina, napisy kończą się... a po nich następuje idiotyczna reklamówka czegoś tam, reklamówka którą oglądał kiedyś nasz bohater Chancey wśród magmy przekazywanych przez telewizję ogłupiających obrazów. Więc cały film był jeszcze jedną niepoważną, głupią i ogłupiającą historyjką, jakie wypełniają programy telewizji. Szyderstwo osiągnęło zenitu — stało się autoszyderstwem.

Taki oto dekadencki film dociera na nasze ekrany. A my się śmiejemy. Sami z siebie się śmiejemy... ■

„WYSTARCZY BYĆ" — produkcja: USA, reżyseria: Hal Ashby, scenariusz na podstawie własnej powieści: Jerzy Kosiński.

Gazeta na rynku

Napisałem „gazeta", ale myślę raczej o „czasopiśmie". Powinienem był więc napisać: „Czasopismo na rynku", ale proszę mi wybaczyć, nie brzmi to ładnie. A poza tym czasopisma bywają „kolorowe" czyli ilustrowane i „czarno-białe", bardziej więc przypominające gazety i o te mi głównie chodzi. Niech więc zostanie słowo: „gazeta", chociaż nie o dzienniku mi chodzi.

Chodzi mi o trudną i skomplikowaną sytuację naszego czasopiśmiennictwa, tygodników noszących często podtytuł: „społeczno-kulturalne". One bowiem przeżywają te trudną sytuację szczególnie jaskrawo. Budzi to niepokój różnych ludzi. Przede wszystkim dziennikarzy tam pracujących, wydawców, ludzi interesujących się kulturą, wreszcie — tak sądzę — kolporterów. Felietonista „Odgłosów" Jerzy P. sporo już na ten temat napisał, ale mało z tego wynikło. W końcu zdenerwował się, machnął ręką i poszedł w siną dal. Problem jednak pozostał. Warto — myślę — szerzej nim się zająć, bo i sporo mitów wokół niego narosło.

Przede wszystkim słyszy się opinie, że tygodniki są za drogie. Kosztują przeważnie 20 zł, choć bywają, jak na przykład „Tygodnik Kulturalny", i po 15 zł. Myślę jednak, że sprawa wcale nie jest w cenie. Otóż bowiem **pisma ilustrowane**, takie jak „Przekrój", „Panorama", „Perspektywy" kosztują po 25 zł i nie mają kłopotów ze zwrotami lub mają je minimalne. Ale aby nie być gołosłownym, kilka danych.

W październiku 1982 roku Łódź otrzymywała średnio 4 190 egzemplarzy „Perspektyw" i nie sprzedawano tylko 350. Natomiast w czterech województwach, należących do łódzkiego „Ruchu" (łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie) otrzymywano 8 335 egzemplarzy i nie sprzedawano 870. W innych czterech województwach (lubelskie, białsko-podlaskie, chełmskie i zamojskie) na przełomie września i października 1982 r. otrzymano 8 075 egzemplarzy „Perspektyw" i nie sprzedano 1 314. Tamże i w tym samym czasie otrzymano 6 181 egzemplarzy „Motoru" i nie sprzedano 4. „Karuzeli" (cena 15 zł) 19 450 i nie sprzedano 868 egzemplarzy, „Panoramy" — 11 002 i sprzedano wszystkie, „Filmu" — 6 233 egzemplarzy i nie sprzedano 27, „Przekroju" — 16 165 i nie sprzedano 33 egzemplarze.

W 10 numerze „Odry" — powołując się na „Wieczór Wrocławia" z 10.IX.1982 r. — znajduje się następujące stwierdzenie: **„Nieźle rozchodzą się tygodniki kolorowe („Panorama", „Kobieta i Życie", „Przekrój")"**. Stwierdzenie to dotyczy województwa wrocławskiego. A więc mamy już pewien obraz znacznie szerszy niż tylko wynikający z danych pochodzących z województwa łódzkiego i sąsiednich. Można na tej podstawie dojść do wniosku że sprawa nie w cenie tygodników, jeśli pisma kolorowe, ilustrowane, choć droższe przeważnie o 5 zł od tygodników „czarno-białych" rozchodzą się z niewielkimi zwrotami.

Zwroty czasopism są zresztą zjawiskiem normalnym. Przy dobrej znajomości rynku, przy umiejętnym jako zaspokajaniu, zwroty powinny wystąpować. Rzecz tylko w tym, jaka ich wielkość jest dopuszczalna, mieści się w granicach kalkulacji. Powinni tym — to znaczy analiza rynku — zajmować się wydawca i kolporter, dostarczając zainteresowanym redakcjom odpowiednie wnioski i sugestie.

A jaka jest sytuacja czasopism „czarno-białych"?

Znów muszę się posłużyć danymi. Dotyczą one tych samych rejonów, co w przypadku kolorowych. I tak:

— **„TU I TERAZ"** — w październiku przychodziło do Łodzi 1 190 egzemplarzy, nie sprzedawano 420, w czterech województwach podległych łódzkiemu „Ruchowi" — a więc razem z Łodzią — było 2 450, a wracało z kiosków 1 170. Na obszarze lubelskiego „Ruchu" na przełomie września i października było 2 545, nie sprzedano 1 648. W województwie wrocławskim 1 800, nie sprzedano 1000.

— **„PRZEGLĄD TYGODNIOWY"** — Łódź 1 830 egzemplarzy, zwroty 885, w rejonie łódzkiego „Ruchu" 3 518, nie sprzedano 1 760, w rejonie „Ruchu" lubelskiego 2 725, nie sprzedano 1 272, w województwie wrocławskim 3 300, zwroty 2 300.

— **„ŻYCIE LITERACKIE"** — Łódź 605 egzemplarzy, zwroty 360, rejon łódzkiego „Ruchu" 1 027, zwroty 340, rejon lubelskiego „Ruchu" 690, zwroty 264.

— **„ARGUMENTY"** — Łódź 380 egzemplarzy, zwroty 197, rejon łódzkiego „Ruchu" 632, zwroty 350, rejon lubelskiego „Ruchu" 690, zwroty 264.

Dane dotyczące rejonu „Ruchu" lubelskiego zaczerpnąłem z „Kameny". Podaje ona również swój nakład: 13 300 i zwroty 4 597. Natomiast „Odra" przytacza za „Wieczorem Wrocławia" wielkość nakładów i zwrotów ukazującego się tam tygodnika „Sprawy i Ludzie". Zszedł on do nakładu 8 200 egzemplarzy, a zwroty przekraczają 3 tysiące egzemplarzy.

W zupełnie innej sytuacji jest **„POLITYKA"**. Do Łodzi przychodziło jej w październiku średnio 5 920 egzemplarzy, a zostawało w kioskach 360. W rejonie lubelskiego „Ruchu" przychodziło 5 250 egzemplarzy, a zostawało 534.

Dwa rodzaje pism i dwie różne sytuacje. Dlaczego tak się dzieje? Można szukać — i chyba trzeba — różnych powodów. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że wszystkie niemal pisma znalazły się w zupełnie nowej sytuacji. Część czytelników od nich się odwróciła, nowych nie przybyło, albo przybywa mało. Dotyczy to tych, które ukazywały się pod tym samym tytułem przed zawieszeniem ich w początkowej fazie stanu wojennego. Inne powstały w miejsce całkowicie zawieszonych. Myślę o „Tu i Teraz" czy „Przeglądzie Tygodniowym". Muszą sobie dopiero zdobyć czytelnika. A ten sięga po nie niechętnie.

W tym miejscu warto może sobie przypomnieć dzieje „Polityki". Pisze o tym Michał Radgowski w książce „POLITYKA" I JEJ CZASY". Otóż pierwszy numer „Polityki" wyszedł w marcu 1957 r. w nakładzie 26 tysięcy egzemplarzy, a zwroty wyniosły około 15 tysięcy. Do roku 1960 nakład „Polityki" wahał się od 25 do 30 tysięcy, a sprzedaż tego dziś tak popularnego pisma wynosiła od 10 do 14 tysięcy. W 1961 roku zwroty wynosiły około 8 tysięcy, ale nakład wzrósł już do 55 tys. W 1962 roku do 72 tysięcy sprzedawanych egzemplarzy. Wszystkim zaniepokojonym sytuacją czasopism i przebąkującym o potrzebie likwidacji niektórych pism, chciałbym zwrócić uwagę, że „Polityka" aby umocnić się i na trwałe wejść na rynek potrzebowała **5 lat!** Ale wówczas nie było rynku w takim pojęciu jak dziś. Również sytuacja polityczna — choć też było „po zakrecie" i był kryzys — była zupełnie inna. Może więc zamiast zastanawiać się nad ewentualnością likwidacji tych czy innych czasopism, warto byłoby zastanowić się jak im pomóc.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że dziś jeśli pismo chce utrzymać się na rynku i mieć coraz więcej czytelników, musi być dobrze, żywo i atrakcyjnie redagowane. Ale, żeby tak mogło być niezbędne są pewne „inwestycje". Ot, choćby możliwość płacenia autorom mniej więcej takich samych honorariów, jakimi dysponują inne pisma. Wydawcy często zapominają, że mamy inflację i że fundusze honoracyjne muszą również być powiększane. Stawki, które płacili się dwa lata temu, dziś mają — niestety — mniejszą wartość. I autorzy o tym dobrze wiedzą. Wydawcy natomiast jakby o tym zapominają.

Druga sprawa to rozeznanie rynku. To już rzecz kolportera. Ale sytuacja jest taka, że rozmawiając 25 listopada 1982 r. w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa—Książka—Ruch" o nakładzie i zwrotach „Odgłosów" mogliśmy dzięki łódzkiemu „Ruchowi" dysponować danymi z końca... września tegoż roku. Taka informacja ani pomaga wydawcy, ani redakcji. Nie daje ani wydawcy, ani redakcji żadnych możliwości szybkiego reagowania na wahania rynku. Bez tego dziś już nie można redagować pisma.

„Ruch" podzielił sobie kraj na kilka rejonów i być może zasada ta jest słuszna i dobrze funkcjonowała w okresie, kiedy nie było rynku czasopism. „Ruch" bowiem bierze od każdego sprzedanego czasopisma około 25 proc. jego ceny. I tak na przykład „Ruch" w Łodzi bierze od tego, co sprzeda w Łodzi lub w swoim rejonie. Nie jest więc zainteresowany na przykład wysyłaniem „Karuzeli" — pisma wysoce dochodowego — do innych rejonów kraju, nawet wówczas, gdy przychodzą stamtąd sygnały, że można byłoby tam sprzedać więcej „Karuzeli". Podobnie jest z „Odgłosami" choć są one deficytowe. Z tego też powodu nikomu — poza redakcją — nie zależy na windowaniu nakładu. A mały nakład czyni pismo nieobecnym na rynku. Koło się zamyka. Co więc robić?

Myślę, że warto byłoby rozważyć następującą propozycję. Otóż te oddziały „Ruchu" na terenie których wychodzą pisma, **powinny w całości odpowiadać za ich kolportaż**, biorąc też owe około 25 procent od ceny numeru. Powinny one też zawrzeć odpowiednie umowy z innymi oddziałami, zobowiązując się niejako do wzajemności starań. I tak na przykład „Ruch" w Gdańsku, gdzie zaczyna wychodzić tygodnik Wybrzeże", powinien zawrzeć taką umowę, żeby Łódź była zainteresowana sprzedażą w Łodzi „Wybrzeża" a Gdańsk sprzedażą „Odgłosów" i „Karuzeli". Podobna umowę należy zawrzeć z Poznaniem, który wydaje tygodnik „Wprost". Zresztą i „Wybrzeże" i „Wprost" drukują się w Łodzi. W Szczecinie ukazuje się miesięcznik „Ziemia i Morze", który ponoć od 1 stycznia 1983 roku ma stać się tygodnikiem. I tak dalej. Każdy oddział „Ruchu" ma coś do zaoferowania, coś do wzięcia. W końcu pieniądze i tak płyną do jednej kasy w Zarządzie Głównym RSW „Prasa—Książka—Ruch", a ktoś przynajmniej będzie trwale zainteresowany sprzedażą „swojego" pisma. Dziś właściwie mało to kogo obchodzi. Jak pismo nie idzie, to „Ruch" mniej go zamawia. I na tym się kończy jego „handlowa" misja. Ta metoda „handlowania" daleko nie ujedziemy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jak to jest z tą lewicą?

Po lekturze „LEWICĄ I... LEWICA" w „Odgłosach" (nr 35) Jerzego Kwiecińskiego można dojść do wniosku, że Edmund Tulko w „Zapiskach współczesnych" („Dziennik Łódzki" 4 listopada 1982 r.) napisał tylko o lewicy, że odniósł się do niej krytycznie, zaliczając do niej „Rzeczywistość", „Barwy" oraz Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald". Tymczasem — co zresztą Jerzy Kwieciński przyznaje, pisząc, że felieton E. Tulki „poświęcony w istocie sprawom tolerancji" — autor „Zapisków współczesnych" pojęciami „lewica", „prawica" posłużył się tylko dla ilustracji swoich rozważań właśnie o tolerancji i o tym, że ciągle ktoś komuś każe wierzyć, a on — Edmund Tulko — jest... ateistą i nie ma zamiaru w nic wierzyć. Autor felieton swój zakończył następująco: „Wszystkich czytelników (jeśli tacy się znajdą), wierzących i niewierzących, zwalniam z obowiązku podzielania wyżej wymienionych poglądów". Jerzy Kwieciński poczuł się więc zwolniony i sobie zapolemizować. Tylko — moim zdaniem — nie na temat.

Rozumiem, że Jerzy Kwieciński skorzystał z pretekstu. A taki pretekst znalazł w „Zapiskach współczesnych". Edmund Tulko użył słowa **„lewica"** „prawica" i nadarzyła się okazja porozważania na ten złożony temat. Ja też korzystam z okazji i włączam się do tych rozważań, bowiem nie bardzo zgadzam się z Jerzym Kwiecińskim.

Przede wszystkim Jerzy Kwieciński ustawia sobie ewentualnego polemistę w pozycji dla siebie wygodnej, żeby łatwiej było tego polemistę ewentualnego pokonać. Powiada że ci, którzy uważają, iż „pojęcie lewicowca (lub komunisty) niczego już konkretnie nie oznacza", to takich poglądów nie głoszą „z sympatii dla lewicy, lecz po to by wprowadzać zamęt i dezorientację wśród tych, których nie kochają". Sprawa więc jest jasna, kto ma wątpliwości na temat lewicy dziś, ten jest co najmniej podejrzany, a właściwie to... wróg. W tej sytuacji trudno jest o lewicy dyskutować.

Być może jednak Jerzy Kwieciński potraktuje mnie łagodnie i z tolerancją, jeśli przyznam się, że mam wątpliwości, czy polemika jego z Edmundem Tulką cokolwiek wyjaśniła. Robi on bowiem kolejny zabieg i powiada, że lewicowiec i komunista — to jedno i to samo. Nie mam zamiaru tego kwestionować. Jest to aż nadto oczywiste. Ale pojęcie lewicy jest chyba szersze niż tylko odnoszące się do komunistów. Tak przynajmniej było w przeszłości. W Polsce przedwojennej lewicę stanowili nie tylko komuniści, ale i socjaliści. Na lewicy sytuowali się też sympatycy komunizmu, sympatycy socjalizmu, socjalizująca i komunizująca inteligencja, część przedstawicieli ruchu ludowego. Nie można więc kreślić magicznego kręgu i utożsamiać lewicę jedynie z wyznawcami ideologii komunistycznej.

Jerzy Kwieciński czuje niedostatek takiego zabiegu i próbuje określić wyróżnik lewicowości za który uznaje „opowiadanie się po stronie socjalistycznych klasowych struktur państwa i za socjalistycznym modelem społeczno-gospodarczym". A to już jest pojęcie znacznie szersze. I gdyby Jerzy Kwieciński kazał mi teraz posłużyć się tym wyróżnikiem przy kwalifikowaniu do lewicy różnych ugrupowań funkcjonujących w naszym podzielonym społeczeństwie, to miałbym z tym duże trudności. Zastosowany przez niego wyróżnik odpowiada bowiem płaszczyźnie porozumienia narodowego, jest to formuła tak pojemna jak formuła „stać na płaszczyźnie Konstytucji PRL". Nie wszystkich przecież, którzy mieszczą się w tej formule zaliczyłbym do lewicy. I chyba Jerzy Kwieciński musi się ze mną zgodzić, albo już nie nie rozumiem.

Jest jeszcze i druga sprawa. Pojęcia „lewica" używa się też dla określenia różnych tendencji występujących w poszczególnych partiach, czy ugrupowaniach. Tradycyjnie na przykład w partii socjalistycznej za lewicę uważało się te ugrupowania, które ewoluowały w stronę komunistów. W historii PPS dwakroć uformowała się PPS — Lewica. Również i dziś w niektórych partiach socjaldemokratycznych na Zachodzie występują lewicowe ugrupowania, co nie zawsze oznacza ewolucję w stronę komunizmu a raczej radykalniejsze poglądy niż posiada jej centrum „danej partii. Takie pojęcia nieobce też są i innym partiom. Jeśli więc za wyróżnik uznać radykalność poglądów i proponowanych rozwiązań, to sprawa może się wydawać jasna. Ale niczego to w istocie nie wyjaśnia.

Można dziś spotkać u nas pojęcie „lewicy społecznej". Przyznam się, że nie bardzo wiem, co ono oznacza. Czy są to sojusznicy (sympatycy), którzy skupiają się wokół partii? A więc ci bezpartyjni, którzy sympatyzują z partią, z marksizmem-leninizmem, ale członkami partii nie są? Czy jest to układ partii i stronnictw politycznych? A przecież trudno byłoby powiedzieć, że stronnictwa polityczne w PRL nie „opowiadają się po stronie socjalistycznych, klasowych struktur państwa", że nie opowiadają się „za socjalistycznym modelem społeczno-gospodarczym". Czy zatem tworzą one lewicę społeczną?

Nie uważam, że „pojęcie lewicowca (lub komunisty) niczego już konkretnego nie oznacza". Przeciwnie. Pojęcie komunisty oznacza coś bardzo konkretnego. Bez wątpienia komunista jest też lewicowcem. Ale pojęcie lewicowca jest dla mnie szersze niż tylko komunista. Tak je przynajmniej rozumiem na podstawie historycznego ukształtowania. Tylko, że dziś używa się tego pojęcia w bardzo różnym rozumieniu, często dość dowolnie, a przez to nadaje mu się też i różny sens i różne znaczenie. Dlatego uważam, że potrzebna jest dyskusja nad tym pojęciem aby zacząć używać je bardziej precyzyjnie. Może Jerzy Kwieciński wypowiedziałby się w tej sprawie obszerniej, nie strasząc przy tym że kto ma wątpliwości, co dziś się rozumie pod pojęciem „lewica", ten zaraz musi być... podejrzanym o różne brzydkie rzeczy.

EDWARD KACZANOWSKI
(Piotrków Trybunalski)

Jeszcze o „Kolaboracji"

PANIE REDAKTORZE

Niestety, późno udało mi się zapoznać z artykułem red. Krzysztofa Drzewieckiego, zamieszczonym w nr 31 z 5. XI. 82, a zatytułowanym „Kolaboracja?". Mimo to postanowiłem zabrać głos w myśl przysłowia „uderz w stół, a nożyce...". Otóż w felietonie tym padło takie zdanie cytuję „a inny artysta estradowy chciałby wprawdzie przypomnieć się telewidzom ale nie w nowym repertuarze wobec czego zwrócił się do telewizji z prośbą... o sporządzenie montażu z jego poprzednich udziałów w audycjach TVP". Koniec cytatu. Ponieważ artysta ten nie został wymieniony z nazwiska, wobec powyższego nie wiem czy jeszcze któryś z moich kolegów zwrócił się do telewizji z... prośbą, ale na pewno ja zatelefonowałem do telewizji łódzkiej, ale nie z prośbą, a z... propozycją, co uważam za zasadniczą różnicę. Ponieważ jednak z owym montażem byłby kłopot, jako że telewizja łódzka posiada w swoim archiwum tylko jeden program z moim udziałem (ubiegłoroczny „Dobry wieczór, tu Łódź") a decydując się na zrobienie montażu musiano by się zwrócić do innych ośrodków telewizyjnych, jak Kraków czy Warszawa, wobec tego otrzymałem kontrpropozycję nagrania nowego programu telewizyjnego. Niestety, w tej chwili nie jestem zainteresowany pomaganiem telewizji w jej kłopotach programowych... Dlaczego?!

Otóż, na przestrzeni 10 lat (tyle mieszkam w Łodzi) wziąłem udział w 4, słownie: czterech audycjach telewizyjnych przygotowanych przez łódzki ośrodek. W jednym tylko przypadku była to propozycja telewizji (Piosenki 30-lecia, rok 1974), w pozostałych trzech — wyłącznie moja inicjatywa. Owszem, gdyby telewizja łódzka pamiętała o mnie częściej, to przygotowałbym nie jeden, a kilka programów w bieżącym roku. Ponieważ jednak przypuszczano że odmówię (i słusznie przypuszczano), nie zwrócono się do mnie w br. z żadną propozycją, oprócz wspomnianej wyżej kontrpropozycji. Odmówiłbym i odmawiam udziału w programie telewizyjnym nie w obawie przed nazwaniem mnie kolaborantem, a w konsekwencji, być może, w jakimś tam stopniu bojkotowania moich występów, lecz tylko z powodu braku zainteresowania moją osobą w czasie, kiedy rzadko zdarzało się, aby ktoś odmówił występu w TV.

Ponieważ nie popieram działania tych kolegów bojkotujących udział w telewizyjnych programach rozrywkowych, którzy w ubiegłym, jak i w poprzednich latach mieli częsty kontakt z telewizją, proszę traktować ten list na równi z moim występem w telewizji.

Natomiast byłem, jestem i będę za bojkotem telewizyjnych programów rozrywkowych z powodu wynagrodzenia. Jeżeli za występ w telewizji artysta estradowy otrzymuje taką samą gażę jak za udział w koncercie w Warszawie, Płocku czy w miejscowości Gać w województwie rzeszowskim, to uważam, że jest to absurd nie mieszczący się w realiach żadnego innego cywilizowanego kraju.

Z poważaniem
ANDRZEJ DYSZAK

P. S.: Szanowny kolego Krzysztofie Drzewiecki. Informuję Ciebie oraz zwracam się z... prośbą o poinformowanie pani redaktor z tv łódzkiej, że moja propozycja sporządzenia montażu z poprzednich programów rozrywkowych była podyktowana nie tyle chęcią przypomnienia się telewidzom, lecz okazją do spojrzenia na swą pracę z perspektywy czasu, dokonania ewentualnych poprawek, a tym samym udoskonalenia swego warsztatu, jako że — jak większość artystów estrady — pracuję, niestety, bez fachowej pomocy reżysera.

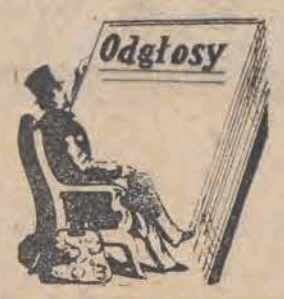

Kto się boi rocka

To właśnie ja oddzierałem róg zaproszenia na Rockowisko panu Krzysztofowi Drzewieckiemu (patrz „Rockowisko to nie wszystko"), i wraz z kolegami walczyłem z tłumem, odrzucałem drabiny od okien, chroniłem (bezskutecznie niestety) szybę przed wypchnięciem. Ale to nie wypchnięta szyba była istotą III Przeglądu Łódzkich Grup Rockowych. Było całe mnóstwo bardziej frapujących problemów, których w artykule p. Drzewieckiego nie znalazłem. A do sprawy szyby jeszcze powrócę.

* * *

Organizatorzy Przeglądu aż kręcili głowami: skąd u fanów rocka taki nagły run na koncerty zespołów nikomu jeszcze nieznanych, raczkujących dopiero, dla których przegląd był „pierwszym krokiem" jak mawiają w boksie.

A ci, którzy ten pierwszy krok właśnie uczynili, byli niesłychanie szczęśliwi. Tak szczęśliwi, że czasami mniej obchodził ich wynik konkursu od samego udziału w nim. Wielu z tych początkujących muzyków było przekonanych, że po starcie w Rockowisku przerwą monotonię świetlicowej młócki, wyrwą się z jakiegoś zaklętego kręgu, w którym dotychczas kręcili się bezradnie jak pijane dzieci we mgle. Teraz miał się przed nimi otworzyć „wielki świat": kontakty z zawodowcami — muzykami i managerami muzyki młodzieżowej. Może jakieś kontrakty, może nagrania w radio? Do tego właśnie dążyli przez długie miesiące, czasem lata. Z tą nadzieją przychodzili do Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa" i w ręce organizatorów składali swój los — kasety z nagraniami.

Przychodzili o różnych porach, trwożliwie wypytując portiera o organizatorów Przeglądu. Tegoroczny termin składania nagrań był bardzo krótki. Toteż nie wszyscy zdążyli zgłosić się na czas. Z widoczną ulgą przyjmowali wiadomość, że mogą się jeszcze „załapać", mimo formalnego zamknięcia listy zgłoszeń.

— Wie pan, ale ta kaseta nie jest dobrze nagrana — mówili sięgając do kieszeni. Na 35 zgłoszonych zespołów może tylko pięć osób nie wygłosiło tej formułki. Na początku myślałem, że to zwykłe krygowanie się, ale po dziesiątym czy piętnastym razie... Z samej ciekawości zacząłem wypytywać o przyczyny. Odpowiedzi powtarzały się:

— Nie mamy warunków do nagrywania. Jest u nas w klubie taka sala, ale kierownik jej nie chce dać, bo tam mają próby zespoły ludowe, taneczne, śpiewacze (można sobie wybrać według uznania). A my ćwiczymy w salce 3 na 4 metry. A w ogóle część nagrań musieliśmy robić w domu, a wie pan, jak się w domu nagrywa.

Gdybym usłyszał to od dwóch — trzech zespołów, sądziłbym, że po prostu chłopcy „podpadli" kierownikowi i są z nim w nie najlepszych stosunkach. Ale takie same sygnały otrzymywałem z Pabianic, Sieradza, Łowicza, Skierniewic. Trudno przypuszczać, że na terenie kilku województw w jednym momencie naraziły się kierownikom klubów wszystkie lub niemal wszystkie zespoły rockowe.

A już zupełnym szokiem był dla mnie list, jaki nadszedł z Radomska. Pisał do nas członek zespołu AFT:

„Mieszkamy w Radomsku, nasz zespół działa w klubie „Relaks" przy Radomszczańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej... Od czasu do czasu organizujemy koncerty w klubie lub w Domu Kultury... Ale na swojej drodze napotykamy same trudności. Ostatni koncert został nam przerwany po trzech wykonanych utworach. Oświadczono nam, że pracownicy MDK nie będą siedzieć po godzinach pracy. Zapomniano o tym, że byliśmy zaproszeni do występu przez dyrektora oraz inny zespół działający w MDK. Koncert przerwano nam wyciągając beszczelnie (pisownia oryginalna — przyp. S.J.) przewody sieciowe. Również nie jesteśmy lubiani w klubie „Relaks", oczywiście przez kierownika... Przez kierownika klubu nie nagraliśmy taśmy na Rockowisko w Łodzi oraz okropnie nagraliśmy taśmę wysłaną do Jarocina. Zostaliśmy skierowani na przegląd do Myśliborza, ale i ten wyjazd nie doszedł do skutku ponieważ kierownik poinformował nas o tym dwa dni przed wysłaniem taśmy z nagraniami i zgłoszeniem..."

Dziwna sprawa. Wygląda to tak, jak gdyby żadnemu z animatorów kultury absolutnie nie zależało na tym, by ci pełni zapału amatorzy mogli oddawać się swej życiowej pasji, by mogli uczyć się i osiągać coraz wyższy poziom. Ale ci sami (lub raczej tacy sami) działacze narzekają, że dzisiejsza młodzież nie garnie się do spędzania czasu w sposób kulturalny, nie rozwija swoich zainteresowań. A może po prostu gusty panów kierowników różnią się od gustów młodzieży? Preferując w swych placówkach zespoły ludowe, chóry i kółka teatralne w czasach, gdy na całym świecie niepodzielnie rządzi rock, narażają się na zarzut zacofanych. Nie namawiam tu, broń Boże, do zakładania w każdym klubie zespołów rockowych i wyrzucania ludowych, ale wydaje mi się, że należy wykazać co najmniej trochę więcej tolerancji w swej działalności — panowie kaowcy! Wszak nie nos dla tabakiery. A sprawa jest dość poważna i jak świadczą wypowiedzi zainteresowanych, może mieć charakter ogólnopolski.

* * *

Oczywiście skłamałbym mówiąc, że opisana wyżej sytuacja odnosi się do wszystkich placówek upowszechniania kultury. Są i takie, w których kierownictwo nie tylko pozwala grać rocka, ale i interesuje się postępami swych podopiecznych. Np. kierownik domu kultury na Żubardzkiej, p. Szmajewski osobiście pilnował spraw „swoich" zespołów. Wykłócał się nawet z organizatorami, gdy okazało się, że jeden z nich nie zakwalifikował się do finałów przeglądu. Inny, ze Zgierza, będąc w CKW „Dąbrowa", interesował się bardzo pracą z zespołami rockowymi, ponieważ zamierza zmienić profil pracy w swej placówce z taneczno-ludowego na taki, który by bardziej odpowiadał gustom młodzieży.

No, a sam organizator przeglądów — Centrum Kultury Włókniarzy „Dąbrowa" — od zarania swej działalności preferuje właśnie taki model pracy. W jego murach dojrzewały takie zespoły jak Atgus, Fetus Achatus czy działające do dzisiaj Krótkie Spięcie. Nazwy tych zespołów dobrze są znane łódzkim (i nie tylko) fanom rocka. A na miejsce tych, które odchodzą, zgłasza się natychmiast kilka następnych, zwabionych sprzyjającą atmosferą.

Ale i Centrum ma kłopoty. Stwarzają je urzędnicy, dla których słowo „rock" to deprawacja, narkomania i rozwydrzenie. Szczególnie doświadczono tego w dniu, kiedy odbywał się przegląd. Panowie, wizytujący placówkę byli święcie przekonani, że skoro pękła szyba i uszkodzono drzwi to następnym krokiem tłumu cisnącego się przed wejściem będzie rozebranie całego budynku na czynniki pierwsze. Ciężko przestraszeni wezwali nawet patrol MO. Dopiero dyrektor Centrum p. Marcinkowski, tłumacząc cierpliwie co gorętszym głowom, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, widzowie są spokojni, a większe szkody powstają w sklepie, do którego przywiozą automatyczne pralki, spowodował zażegnanie tej „burzy w szklance wody".

„Sprawa zniszczeń" długim echem odbijała się w kuluarach Rockowiska. Aż doszło do tego, że przewodniczący jury, zbulwersowany sprawą zdecydował się na publiczne podziękowanie pracownikom Centrum za „odwagę" w organizowaniu festiwalu"! Publiczność nie pozostała w tyle. Ta „rozwydrzona" i „zdeprowana" publiczność podziękowała organizatorom takimi oklaskami, jakich nie powstydziłaby się Filharmonia czy Teatr Wielki.

* * *

Rock w naszych czasach to już nie zjawisko, przypomina raczej ruch społeczny. Ma swoją ideologię, modę, prasę i literaturę. Ogarnął już niemal cały świat. Młodzież identyfikuje się z nim, bo ucieleśnia ich dążenia i ideały. Zarówno tych, którzy czynnie angażują się w grę, jak i tych będących odbiorcami. Nie nazwę ich biernymi, bo trudno użyć takiej nazwy oglądając koncerty rockowe. I dlatego myślę, że przeszkadzanie młodzieży w uprawianiu i słuchaniu rocka nie ma najmniejszego sensu. A i tak w końcu muzyka rockowa wejdzie na stałe do całokształtu muzyki światowej jako jeden z jej elementów. Tak jak to było z jazzem i big-beatem. Nie bójmy się więc rocka!

STEFAN JÓŹWIAK

W kręgu fantastyki

Huśtawka Pustelnika

16 Erli biegł okólnym korytarzem, kiedy z przodu rozległ się strzał. Strzelano w centrali łączności! Tam była tylko Eva. Czyżby nie wytrzymała?!

Erli skoczył ku drzwiom i zatrzymał się. W drzwiach ziała dziura, a ściana naprzeciwko była rozwalona. Erli ostrożnie pociągnął za klamkę drzwi. W centrali było cicho. Ostrożnie zrobił krok do przodu i szeptem powiedział:

— Eva, to ja — Erli.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zrobił jeszcze kilka kroków. Przed nim stała Eva z blasterem w ręce. Pomału opuściła blaster, który z łoskotem upadł na podłogę.

— Erli, zabierz mnie stąd. Jeszcze trochę i nie wytrzymam.

— Nie mam prawa.

— A jeśli byś... jeśli chciałbyś tego? Ley przez cały czas mówiła o tobie. Ale ona cię nie kocha. Nie. Byłyśmy koleżankami. I ona mi wszystko opowiadała. Wszystko. Wystarczająco dużo, żebym zaczęła o tobie myśleć. Wiedziałam, że przylecisz. I czekałam na ciebie. Być może Ley zrobiła to specjalnie, żeby ktoś kochał i ciebie. Ona była dobra. Sama nie potrzebowała niczego.

— Zawsze robiłem to, czego chciała. A ona niczego nie chciała dla siebie. Zabrałbym cię stąd, gdyby to tylko było możliwe.

Podbiegła do niego, objęła za ramiona i patrząc z dołu w jego twarz powiedziała:

— Naprawdę, Erli?

Erli lekko odsunął ją od siebie.

— Na Centralnej przebywają jacyś obcy ludzie. Powiedział mi o tym Nik kilka minut temu. Teraz ich obserwuj.

— Nie uwierzyłeś w Ezrę i Jumma, prawda?

Erli przytaknął.

— A ja dopiero co do nich strzelałam. Ale odeszli. Oni są jak cienie.

— Dobrze, Eva. Kiedyś wyjaśnimy, co to było. Usiądź i przygotuj się do słuchania. Zaraz powinna być łączność z Wirtem. A ja pogadam z Nikiem.

Erli wezwał Trajkowa. Ten odpowiedział od razu, zupełnie jakby czekał.

— Erli, gdzie jesteś?

— W centrali łączności. Gdzie są ci ludzie?

— Część na dachu piątego akumulatora. Nie mogę zrozumieć, co oni tam robią. Pozostali pojechali do szóstego.

— Pojechali? Czym?

— Mają coś w rodzaju wszędołazu.

— Nie wiem co robić, Nik. Czy masz zostać tam, czy wracać tu? Gdybym chociaż wiedział, co oni zmieniają i w ogóle kto to taki?

— Na razie zostanę tu. Gdyby co, wezwę cię... Jedno mogę powiedzieć na pewno: to są obcy, naszych znam wszystkich.

— No dobrze. Bądź ostrożny, Nik.

Erli wyłączył radio i powiedział zmęczonym głosem:

— Kręci mi się w głowie. Nie mogę połapać się w tym, co zaszło. O ile w ogóle jest to możliwe.

— Rozumiem, Erli.

W tym momencie odezwał się Wirt:

— Baza jest zlikwidowana — powiedział spokojnie. — Praktycznie zlikwidowana. Wszystko jest zniszczone.

— Ludzie?

— Tylko.. Oza — powiedział Henry szeptem.

— Dlaczego tak cicho mówisz?

— Ona siedzi obok, Erli, nie mogę o tym mówić głośno.

— Co z pozostałymi?

— Najprawdopodobniej nie żyją. Przynajmniej Jurgens. Widzieliśmy go.

— Henry, wracajcie jak najszybciej. Kiedy będziecie podchodzić do Centralnej, okrążcie ją od południa i schodźcie na lądowisko nad samymi drzewami, prosto do głównego podjazdu.

— Zrozumiałem — odparł Sven.

— Rzecz w tym, że na Centralnej pojawili się jacyś ludzie. Nie wiem kim są. Nik ich obserwuje. Lepiej, żeby was nie widzieli. Zrozumieliście?

— Za dużo zagadek, jak na jeden dzień — mruknął Sven.

— Dzień się jeszcze nie skończył.

— No dobrze, za dwadzieścia minut będziemy u was — powiedział Henry. — Wyłączam się.

Erli oddał mikrofon Evie.

— No tak... Znaleźli Ozę. Z nią też się coś stało. Henry nawet nie chciał przy niej głośno mówić. A trojga już nie ma.

Eva wolno wstała z fotela patrząc w stronę Erli'ego. Ten, zdziwony spojrzał na nią. Co się stało. Dziewczyna podniosła prawą rękę i zakryła nią usta, wstrzymując krzyk przerażenia. Erli podszedł do niej czując za plecami nieprzyjemny chłodek. Pomału odwrócił się i poczuł, jak włosy stają mu dęba, a ciało skuwa lepki strach.

Drzwi pomieszczenia były zamknięte, a z nich wysuwała się postać Filipa Ezry. Stał jakby w rozterce na progu. Potem zdecydowanie wszedł do pokoju i skierował się do nadajnika. Erli pociągnął Evę za występ ściany, ale ona wczepiła się pobielałymi palcami w jego ramię. Erli sam gotów był wczepić się w kogokolwiek, byleby pozbyć się paraliżującego go strachu.

Ezra wykonał kilka przełączeń na czołowej płycie nadajnika. Ani jeden potencjometr, ani jeden przełącznik nie zmienił położenia, ale Ezra manipulował nimi, jakby rzeczywiście coś przełączał. Potem sięgnął ręką do mikrofonu i podniósł ją do ust, trzymając palce tak, jakby w ręce rzeczywiście miał mikrofon. Ale mikrofon leżał na swoim miejscu. Powiedziawszy kilka słów do wyimaginowanego mikrofonu, Ezra najwidoczniej nie otrzymał odpowiedzi i rzucił go na stół. Przez kilka sekund stał, opartszy się łokciami o oparcie fotela i bębnił palcami po płycie nadajnika. Wszystkim jego czynnościom nie towarzyszył ani jeden dźwięk. Potem pogładził dłonią łysą czaszkę i kilka razy przeszedł się wzdłuż pokoju zaglądając w otwarte okna.

Erli stał wstrzymując oddech. Tak to był najprawdziwszy Filip Ezra. Łysy, z wielką głową, w nie wyprasowanych, jak zawsze, spodniach. W szerokiej, wygodnej bluzie z wielkimi wycięciami przy szyi. Na nogach zielone buciory, których nie zdejmował nawet na plaży.

Ezra jak gdyby czegoś lub kogoś oczekiwał. Ale kogo? I w ogóle w jaki sposób mógł powstać, pojawić się, jeśli Eva i Erli już widzieli jego resztki?

Za drzwiami jakby ktoś zawołał, on coś krzyknął bezgłośnie i zaraz wyszedł przez zamknięte drzwi.

— Erli — szepnęła Eva. — To już chyba koniec. Nigdy nie miałam halucynacji.

— To nie halucynacja. To naprawdę był on. Najpierw pomyślałem, że ze mną też koniec... szaleństwo. A teraz myślę, że to było naprawdę. Pójdę za nim.

— Erli, a ja?

— Eva, ty będziesz tu siedziała. Lada chwila przylecą Sven i Henry. Niech od razu tu przychodzą. Nic im na razie nie opowiadaj. Nikołajowi też. Postaram się szybko wrócić.

Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Postać Ezry mignęła w jego lewej części, która prowadziła do wyjścia. Starając się nie hałasować, Erli szybko ruszył w tę samą stronę. Przeszedł przez kilka korytarzy i przejść podziemnych. Wszędzie prowadziło go pasmo zapalających się świateł, a Ezra szedł w ciemności i wspaniale się orientował.

Tak doszli do windy prowadzącej do głównego pulpitu sterowania i pojechali na górę. Drzwi były otwarte, tak, jak pozostawił je Erli, ale Ezra zrobił ruch, jakby je otwierał. Do środka weszli jeden za drugim. Erli spodziewał się ujrzeć tu Jumma i nie pomylił się. Ezra i Jumm zaczęli robić razem jakieś wyliczenia na maszynie matematycznej, naciskając klawisze i przerywając sobie, ale, Erli widział to wyraźnie, klawisze pozostawały nieruchome.

Potem rozwinęli rulon papieru — był na nim przedstawiony jakiś schemat konstrukcyjny.

Erli, zagryzając usta, dotknął, to jest raczej chciał dotknąć łokcia Filipa Ezry. Dłoń przeszła przez pustkę nie napotykając oporu.

Z południa dobiegł przygłuszony dźwięk zbliżającego się wirolotu. Nie oglądając się, Erli wyszedł ze sztabu.

Po raz pierwszy w miarę pozytywnie

Zgodnie z obietnicą daną w numerze 33 „Odgłosów" podzielę się dziś refleksjami na temat drugiej części antologii młodych „Spotkanie w przestworzach" redagowanej przez Andrzeja Wójcika.

Plotki dochodzące do SFANA, że część II jest lepsza od pierwszej potwierdziły się w całej rozciągłości. Pozycję tę określiłbym jako „niezłą".

Książka prezentuje dwunastu autorów i dwadzieścia jeden opowiadań o dosyć zróżnicowanym poziomie. Nie zamierzam tu oczywiście komentować wszystkich opowiadań, natomiast nie pominę żadnego autora.

Zacznę zatem od początku. Pierwsze opowiadanie tomu, **„Sen" Andrzeja Milczarka**, podoba mi się i to nawet bardzo. Według wstępu do antologii (patrz tom I) pióra red. Wójcika, opowiadanie to w całości oparte jest na wzorach angielskiej „inner space". Osobiście wątpię, ale przyjmuję tę informację do wiadomości, dlatego choćby, że za eksperta od fantastyki anglojęzycznej się nie uważam.

Świat wyobraźni, do którego przedostaje się, przynajmniej psychicznie, bohater opowiadania, jest ucieleśnieniem marzeń. Sam bym się w takim świecie chciał znaleźć. Z drugiej jednak strony, czy warto? Pomijam cenę jaką trzeba by za to zapłacić. Czy nie lepiej stworzyć świat marzeń na jawie? „Erzatz", choć znakomity, jest (jak sama nazwa na to wskazuje) tylko substytutem. To już nie to. Czekam z niecierpliwością na dalsze utwory tego dobrze zapowiadającego się pisarza. O ile, rzecz jasna, nie spocznie na laurach.

Niestety następne opowiadanie, to już kubeł zimnej wody na łeb, któremu zdawało się, że cała książka będzie tak dobra. Tym kubłem jest opowiadanie **„Labirynt"**, które napisał **Jerzy Misiec**. Pomysł — kalka. Czyta się kiepsko, język, przynajmniej miejscami, dosyć byle jaki. W sumie nic ciekawego.

Z przyjemnością natomiast odnotowuję opowiadanie jedynej (w obu tomach) kobiety, **Julii Nideckiej** noszące tytuł **„Wilki na wyspie"**. Pomysł też nie jest zbyt oryginalny i w zakresie treści opowiadanie nie wnosi właściwie nic nowego, ale... jest w nim Coś, że mimo ponurej scenerii czyta się je z przyjemnością. Autorka potrafiła przekazać w prostych słowach ogromny ładunek emocji i jakby kobiecego ciepła, co jest rzeczą spotykaną w fantastyce dosyć rzadko. Dlatego też, mimo, że opowiadanie, jak już wspomniałem, jest treściowo dosyć nieporadne, to polecałbym je jako miłą lekturę dla uspokojenia i relaksu.

Kolej teraz na kilka słów o utworach **Marka Oramusa**. Zaprezentowano nam trzy jego opowiadania. Od strony językowej są, można to chyba powiedzieć, bardzo poprawne. Po prostu rzetelna, solidna robota fachowca. Nie ma się tu zresztą co dziwić. Autor, w tworzeniu słowa pisanego, ma spore doświadczenie jako dziennikarz. Nieco gorzej z pomysłami. Za najlepszy uważam ten z opowiadania „Witaj w domu". Pointa utworu jest naprawdę oryginalna i zaskakująca. Natomiast **„Drwale i dziewczyna"**... wprawdzie samo zakończenie jest nawet nie najgorsze, ale za to zupełnie dobijają anegdotki, nie wiadomo po co wplecione w tekst. Zgroza!

Maciej Parowski umieścił w książce najwięcej, bo aż sześć pozycji. Cóż, tu ilość nie przeszła dialektycznie w jakość niestety. Na szczęście od czasu powstania tych opowiadań autor nie próżnował i opublikował kilka następnych pozycji, dużo lepszych, choć sporo im jeszcze brakuje do ideału. **„Zbliżenie"**, **„Gigant"** — **Zbigniew Pietrzykowski**. Pierwsze — słabiutkie. Drugie — bardzo złe. Oryginalność pomysłów — niestety zerowa.

Zbigniew Prostak — **„Podarunek morza"**. Zaczyna się bardzo interesująco. Akcja, choć niezbyt żywa, ale wciąga — czyta się nieźle, natomiast zakończenie — psuje cały ewentualny efekt pozytywny. Albo autorowi nie chciało się pomyśleć, albo też niedostaje pomysłów.

Drugie opowiadanko, a właściwie miniaturka, **„Kosmiczna ballada"** już lepsze. Choć to tylko wykorzystanie schematu, ale sprawnie napisane.

Dwa kolejne opowiadania: **„Kontakt" Marka Rusteckiego** i **„Jedyny prawdziwy" Jacka Rodka i Darosława Torunia** są, na szczęście, dosyć krótkie. Nijakie, bez pomysłów, a właściwie z pomysłami, tyle że oklepanymi. Jedno, co jest w tym wszystkim pocieszające, to przynajmniej poprawny język.

Natomiast ten sam **D. Toruń**, jako autor samodzielny zaprezentował się dużo lepiej. **„Historia z nieżyciowym zakończeniem"** to smutna opowieść o człowieku nie dostosowanym do życia w społeczeństwie totalitarnym. Przedstawiona tu wizja przyszłości Ziemi jest niezwykle sugestywna, przemawia do przekonania i wyobraźni. Szkoda tylko, ale to już wyłącznie kwestia indywidualnych upodobań, że opowiadanie kończy się tak smutno. Wręcz beznadziejnie.

„Idealne rozwiązanie" Andrzeja Żelaznego jest opowiadaniem, które zdecydowanie mi się nie podoba. Niby jest tam pomysł, dosyć nawet ciekawy, ale wszystko się gdzieś po drodze rozłazi. Brakuje jakiejś iskry, która by skleiła wszystkie kawałeczki tekstu (zapomniałem bowiem wcześniej dodać, że opowiadanie jest poszatkowane jak kapusta do kiszenia). Gdyby to samo napisać inaczej, mogłaby to być całkiem niezła pozycja w rodzimej SF.

Natomiast sprawą najdziwniejszą, przynajmniej jak dla mnie, jest umieszczenie w tym zbiorku opowiadania (znakomitego zresztą) **„Sindbad na RQM 57"** pióra **Wiktora Żwikiewicza**. Było ono już wszak wydane przez Naszą Księgarnię w serii „Stało się jutro". Jakoś nie bardzo chce mi się wierzyć, by ten, chyba najlepszy z młodych pisarzy, nie miał czytelnikom nic nowszego do zaprezentowania.

Drugi tom „Spotkań..." należy chyba ocenić jako pozycję niezłą. Chcę tu przy okazji podkreślić, że jest to pierwsza książka KAW, którą na łamach „Odgłosów" oceniamy pozytywnie. Oby nie była ostatnią.

DAREK MILERSKI

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

Trąbik obwisły — *Exaex eugonaus*

Spod lady czyli: co ostatnio było w księgarniach

1. **Tadeusz Twarogowski „W KRAINIE SREBRNEGO HARIKI".**
Nasza Księgarnia, Wydanie III. Nakład 30.000 egz.
Wyznając zasadę „Omne trinum perfectum" mamy nadzieję, że trzecie wydanie powieści red. Twarogowskiego będzie najlepsze, bo ostatnie.

2. **Jonathan Swift „PODRÓŻE DO WIELU ODLEGŁYCH NARODÓW ŚWIATA". tłum. Maciej Słomczyński.**
Wydawnictwo literackie, Wydanie II. Nakład 15.000 egz.
Mimo wysokiego (jak na polskie stosunki) nakładu książka rozeszła się błyskawicznie. I słusznie, jest tego naprawdę warta.

3. **Mirosław Prandota „OSTATNIA WALKA GLADIATORÓW"**
Iskry. Nakład 7.000 egz.
Czyta się szybko i przyjemnie, zapomina jeszcze szybciej. Główna myśl (morał) książki wydaje się nam jednak mało odkrywcza. Popieramy wysokość nakładu.

4. **Stanisław Lem „ŚLEDZTWO. KATAR".**
Wydawnictwo Literackie. Nakład 100.000 egz.
Na temat celowości wydawania nowej serii „Dzieł" Lema wypowiedzieliśmy się już dwa miesiące temu. Zdania nie zmieniamy.

5. **Nathaniel Hawthorne „NOWI ADAM I EWA".**
Czytelnik. Nakład 30.000 egz.
Nie jest to SF, ale na pół baśniowe, na pół realistyczne opowiadania. Warto przeczytać.

6. Nowa szata serii „Iskier". Najpierw ogólnie.
Mamy nadzieję, że czwarta już z kolei szata graficzna i trzeci format serii „Fantastyka, Przygoda" — będzie wersją ostatnią, choćby dlatego, że nic paskudniejszego nie da się już chyba wymyślić.
A panu Hałajkiewiczowi ktoś powinien koniecznie zabrać kredki (i farby też).

6. a **Aleksander Abramow; Siergiej Abramow „WSZYSTKO DOZWOLONE".**
Iskry. Nakład 30.000 egz.
Książkę tę mogą do końca strawić tylko mole. Recenzja przy okazji (czyli za jakiś czas).

6. b. **Peter Zsoldos „ZADANIE".**
Iskry. Nakład 50.000 egz.
„Kup pan cegłę! Jedyne sześć dych". Jak komuś starczy sił, to napisze może z tego rzeczową recenzję.

6. c. **Konrad Fijałkowski „KOSMODROM".**
Iskry. Nakład 40.000 egz. Wydanie II.
Jak by tu zacząć. Opowiadania zawarte w zbiorze możemy już powtarzać z pamięci. Niektóre z nich ukazały się już ponad dziesięciokrotnie. Czy to nie lekka przesada?

7. **„SPOTKANIE W PRZESTWORZACH — 2 ANTOLOGIA MŁODYCH'79".**
KAW, nakład 100.000 egz.
Recenzja, a właściwie jej ciąg dalszy — w załączeniu.

8. **Andrzej Krzepkowski „KREKS".**
KAW, seria „z dżdżownicą". Nakład 100.000 egz.
Nasz „etatowy" recenzent serii KAW R. A. Z. po przeczytaniu wiersza (?) „zamiast motta" padł jak ścięty. Gdy wstanie, to może przeczyta książkę do końca, a jak przeczyta, to na pewno napisze recenzję. Okładka nam się podoba.

SFAN CLUB, Warszawa

W kręgu fantastyki

Marzenia

ROBERT AZEMBSKI

Twoje marzenia są niebieskie, twoje marzenia są niebieskie — zawołała dzieniutkiem głosem moja mała siostrzyczka. Widocznie podpatrzyła sny. Siadła mi na kolanach i powiedziała, że nie ruszy się dopóki nie opowiem o moich snach. Dlaczego są niebieskie i co tak w nich fruwa.

Opowiedziałem jej więc o sen-ptakach, całych niebieskich, które latają wysoko i tylko czasem siadają na ramionach człowieka, a ten uśmiecha się i idzie dalej wesoło pogwizdując...

Tak. Moje marzenia są niebieskie. Niebieski kolor mają oczy dziewczyny, którą kocham. Tylko niebieskich pieniędzy nie widziałem — ale co mnie właściwie obchodzą pieniądze. Aha, jeszcze coś. Niebo. Samo w sobie jest nieciekawe, bo przeważnie zasnute, takie szare. Ale zawsze wyobrażam sobie, że za tą szarością jest wspaniały, niebieski świat. I że nagle coś przybędzie do mnie. Stamtąd, zza tego szaregu muru. Tęsknię za „Tym". I nie tylko ja jeden. Tęskni cały świat, a przede wszystkim moja mama. Marzy o „Tym", czeka na „To", wciąż powtarza, że niebieski — to kolor szczęścia, a życie takie ciężkie i tym podobne banały. Mama chciałaby, żeby „To" ją porwało, wywiozło gdzieś daleko, dalej niż granice kraju, słońca, świata.

Jeśli „To" istnieje.
Mama jest bardzo romantyczna.

Inna sprawa z Tatą. Ojciec to „poważny naukowiec". Interesuje go nie samo „To", lecz jak to specjalistycznie określa „psychofizyczna możliwość kontaktu i wymiany doświadczeń". Śmiech mnie bierze. Tata matematycznie przewidział, że „To" nie tylko istnieje, ale w najbliższym czasie złoży nam wizytę. Tato jest na tyle „poważnym naukowcem", że inni „poważni naukowcy" zaraz okrzyczeli go blagierem, fantastą, ignorantem. Tatko wcale tym nie zrażony przedstawił dowody. Korowód „potakujących" wnikliwie obejrzał sobie sporą kartkę zagryzmoloną tatusiowymi symbolami matematycznymi. Żeby nie było nieporozumień. „Potakujący" to ci, którzy siedzą na tatusiowych mowach jak na tureckim kazaniu i kiwając głowami udają, że wszystko rozumieją. Tato wyjaśnił mi kiedyś z pewną dozą dumy, że „tak przeważnie jest między ludźmi reprezentującymi różny poziom intelektualny" Tak powiedział. I to jest prawda. Tato jest najlepszy. Bardzo go kocham.

Przekonani ostatecznie „potakujący" długo bili brawa. A potem były flesze, pytania, oferty współpracy. Gdy tylko się to skończyło, świat ogarnęła gigantyczna paranoja rozmarzenia Wszyscy, dosłownie wszyscy czekają na „To". Potworzyli różne towarzystwa, sekty, grupy wielbicieli, koszulki, figurki i kombinezony wyobrażające czułkowate różnego koloru, kochane nasze kosmiczne mordy No i znaczki z wizerunkami kosmonautów witających się z potworkami. Fajne!

Od początku wiedziałem, że to się tak skończy. Niebo — wciąż szare, ludzie — wściekli i rozgoryczeni, tato — wyszydzony i skompromitowany. Po prostu „To" nie raczyło przybyć Tato kręcił się i przekonywał jeszcze, że może popełnił jakiś mały błąd w obliczeniach i „To" przyleci, za dzień albo dwa Ale prawie nikt mu już nie wierzył. Wszyscy się od niego odsunęli. Zrobiło mi się żal taty Ludzie potrafią być bezwzględni. Właściwie bardzo chciałbym, żeby tym, którzy jeszcze z nadzieją gapią się w niebo ukazała się taka dupa z zielonym podpisem — Hellow, to ja, wasza tłusta, mądra dupa!

Z moim staruszkiem dzieją się dziwne rzeczy. Chyba dostał lekkiego fioła. Rano wiedział, jak śpiewał „Granadę" i puszczał z okna na ulicę gumowe czułkoludki zawieszone na spadochronach z chusteczek. Wieczorem wgramolił się do naszej rakiety i pełnym ciągiem odleciał. Uprzedził podobno, że leci odpocząć do swojego ulubionego Marsbungalow. Na jego biurku znalazłem ambitny dwuwiersz:

Kiedy głupie kruki przestaną
krakać
czas mi będzie z gwiazd
wracać

Nieprawdopodobne. Niebo przeciął czerwony błysk, a później z ogromnym impetem nieznany pojazd wrył się w ziemię. Ściany naszego domu zatrzęsły się z huku. Nie powiem, żebym się nie zdziwił. Ale jednocześnie, może to głupie, zachciało mi się siusiu. Zrobiłem nerwowo i oblewając deskę. Myślałem przy tym, jakie spotkało mnie szczęście. Szczęście nie z powodu siusiu, bynajmniej nie. Będę pierwszy spośród setek milionów, którzy zobaczą „To". Pierwszy! Pierwszy!

Moje marzenia stały się tak intensywnie niebieskie jakby połknął mnie niebieski krokodyl. Zlały się z rzeczywistością, zawirowały i popchnęły do wyjścia...

Zdyszany przybiegłem na miejsce katastrofy. Poza niewidocznym dla mnie ogniskiem żaru, wszystko wokół, drzewa i krzewy osmalił śmierdzący dym.

Zwarty, kilkudziesięcioosobowy tłum tworzył bastion nie do przeniknięcia.

Przebiegłem.

Zagadnąłem chudego, płaczącego faceta.

— Czy „To", czy... było w środku — pokazałem dopalające się szczątki.

— Sto czterdziesty siódmy — załkał facet.

— Stu czterdziestu siedmiu, aż stu czterdziestu siedmiu — z mojego głosu musiało przebijać tak silne podniecenie, że facet zamrugał oczami.

— Co? Kto? Gdzież tam chłopcze stu czterdziestu siedmiu, tylko jeden, to ja dostałem sto czterdziesty siódmy numer, ja, rozumiesz. Nie ma sprawiedliwości na świecie, nie ma...

Znowu zalał się łzami. Jego chude ramiona drgały spazmatycznie. Bez przerwy wycierał napuchłego kinola.

— Do czego ten numer, od kogo pan go dostał — zapytałem łagodnie. Z histerykami zawsze trzeba łagodnie. Jeśli nie z nim, to już nie wiem z kim się dogadam. Reszta ludzi biegała bezładnie we wszystkich kierunkach.

— Jak to do czego numer — oburzył się na moją ignorancję. Chudzielec. Każdy, kto chce zobaczyć „Jego", ma wyznaczony numer ewidencyjny przez Naczelną Organizację Przylotu. Wystarczy wciągnąć się na listę i zająć miejsce przed Muzeum.

— Dlaczego NACZELNA organizacja — przerwałem mu brutalnie. Czy są jakieś inne?

— Bo ja wiem, chłopcze, chyba nie. Posłuchaj, ja byłem tu pierwszy, pierwszy, rozumiesz! a przyznali mi dopiero...

— Niech go kawaler nie słucha — wtrąciła się zapudrowana, zwalista kobiecina, która nie wiedzieć skąd wyrosła nagle za plecami. To półmaruder — pogardliwie wykrzywiła wargi Spojrzałem na półmaruderę. Trupią chudością tak wybitnie kontrastował z ciężką sylwetką kobieciny, że nie mogłem powstrzymać się od parsknięcia śmiechem.

— Kawaler się śmieje — kobiecina zdziwiła się nieprzyjemnie. Nie ma się z czego śmiać Poważna sprawa. Coś powiem kawalerowi — zbliżyła się krokiem pobratymczej poufałości.

— Półmaruderów tu pełno. A jeszcze gorsi są maruderzy. Kręcą się, żebrają, próbują ukraść numer. Ciągle ich przybywa. Z człowiekiem, który nie ma refleksu, siły przebicia, bystrości ani za grosz — naprawdę nie warto gadać. No, na przykład taki jak ten — dziabnęła palcem czerwony kinol Chudzielca. Przybył dwie i pół godziny po przylocie. I jeszcze ma czelność mieć jakieś pretensje. Nędzna kreatura maruderska!

— Półmaruderska — poprawił odruchowo Chudzielec.

— Ja kawalerze mam dwudziesty Numer — zakończyła z miną słońca dającego ostrą reprymendę niegrzecznym planetom.

— Jak on wygląda ten kosmita — zapobiegłem kolejnemu potokowi słów, jakie szykowała się wyrzucić z siebie kobiecina. Było to dość brutalne. Coraz częściej dochodzę jednak do wniosku, że nie jestem dobrze Niebieski Wzrostu człowieka. Niebieski, czułkowaty i tak popalony, że trudno odróżnić części ciała — głos należał do eleganckiego staruszka, który zbliżył się do naszej grupki postukując hebanową laseczką. Zapachniało piżmem. Kobiecina ukłoniła się z godnością i odeszła. Byłem ciekaw, co zrobi Chudzielec-Półmaruder. Ale Chudzielca już nie było.

Jestem przedstawicielem Organizacji — elegancki staruszek wyciągnął do mnie dłoń włożoną w ogromny, złoty sygnet. Pochwyciłem tę dłoń skwapliwie.

My jesteśmy świadomi tego, iż młodzież jest przyszłością naszego narodu — staruszek miał głos właśnie piżmakowaty. — Z całą odpowiedzialnością muszę stwierdzić, że staramy się jej zapewnić możliwość startu życiowego, jak i wszelkie ogólnodostępne rozrywki, co jest przyczynkiem do... Przestałem go słuchać

Chciałem „To" wreszcie zobaczyć.

Wyjąc przyjechał samochód policyjny. Z drugiego wozu wysiedli specjaliści z miasta. Drzewa, zdziwione tym zamieszaniem, zaszumiały. Zobaczyłem, jak tłum zbija się i warczy groźnie

— Proszę się odsunąć, proszę się odsunąć — to zawołał jakiś gliniarz. Łąka napełniła się refleksami wychodzącego zza chmur słońca. Policjanci utorowali sobie drogę do zniszczonego pojazdu. Tłum wrzasnął. Słońce schowało się.

...naszej drogiej młodzieży — tyrada staruszka miała się ku końcowi. Efektownie zawiesił głos.

— Tak więc, proponuję ci młody człowieku, numer sto osiemdziesiąt dziewięć. — Ironia musiała mi wypełznąć na twarz, więc szybko zrobiłem maskę. Powiedziałem mu, że dziękuję Zapytał uprzejmie, kim jest mój ojciec. Powiedziałem mu. Spocił się. Nie sięgnął jednak do kieszeni po chusteczkę.

Tymczasem jakiś równie dystyngowany wstąpił na prowizoryczną mównicę. Posypały się oklaski. Wszyscy czekali na to, co powie. Był to sam Prezes we własnej osobie. Prezes wytłumaczył policjantom, że tłum zaraz w porządku przejdzie do miasta, do Muzeum, gdzie w numerowej kolejności wszyscy obejrzą zwłoki „Tego". Policjanci odjechali zawiedzeni. Brawa.

Wytłumaczył też specjalistom, że badanie „Tego" ba, nawet dotykanie „Tego", może doprowadzić do całkowitego, bezpowrotnego zniszczenia ciała. Specjaliści odjechali zadowoleni. Brawa

Prezes zszedł z mównicy i ryknął do tłumu. Tłum zafalował i ruszył do miasta. Na przedzie odkryty wóz z „Nim" i szczątkami statku. Później ludzie. Zaczęliśmy śpiewać ułożoną przez kogoś niedawno pieśń „Niebieska nadzieja". Żołnierze zrywają dystynkcje, kobiety rozpuszczają włosy chłopi porzucają narzędzia rolnicze. Młodzi niosą transparenty, całe niebieskie. Spontanicznie wybuchają okrzyki na cześć Proroka -profesora — mojego starego.

Prezes poszeptywał z eleganckim staruszkiem a co chwila zerkali w moim kierunku. Potem odeszli, Prezes chwycił mi dłoń i uścisnął.

— Smaruj na początek — pokazał głową odchodzących ludzi. Masz ósmy numer. A gdy dołączałem do tłumu, zawołał, robiąc sztuczną minę z gatunku „właśnie coś sobie przypomniałem" — Aha, jeszcze jedno: gdyby twój ojciec przyleciał, poproś go, chciałbym zamienić z nim kilka słów.

Trwa oblężenie. Nie, raczej duszenie. Kolejka owinęła budynek Muzeum podwójnym, wężowatym splotem. Pod tym uściskiem budynek stał się budyneczkiem. Idę za Prezesem krok w krok. Niektórzy ludzie wykazują zadziwiający talent muzyczny. Grają na spojrzeniach.

Ta kolejka jest jednak nienormalna. Czy widział ktoś kiedyś węża, który chciałby za pomocą ogona pozreć własny pysk?

Przechodzimy przez bramę Muzeum. Moich marzeń... Ludzie, widząc Prezesa rozstępują się. Wchodzimy do środka. Pomieszczenie oblewa łagodne światło Na środku stoi coś kształtem przypominające szklaną trumnę. Światło intensywnieje, z opuszczonymi na piersi głowami, w milczeniu, zbliżamy się Za chwilę zobaczę „Jego". Za chwilę stanę się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

...On jest piękny... piękny. Właśnie taki Spalony Niebieski i czarny Nie zielony. Nie ohydny. Nie śliski. Nie agresywny. Nie zakłamany. Nie perfidny...

Nieżywy.

Nagle z ukrytych reflektorów oślepia nas niesamowite, niebieskie światło. Zielone ognie błyszczą w „Jego" oczach. Zielone i na przemian niebieskie. Wszyscy padają na kolana. Widzę, jak wiatr kładzie hektary zboża... Ale to już podrzuca mi chyba wyobraźnia.

Naraz ze wszystkich pochylonych piersi bucha pieśń. To „Niebieska Nadzieja". Teraz rozpoczyna się moment utrwalenia ciała. „On" zostanie z nami na wieki. Zrozumie nas. Zmieni nas. Wypompowane powietrze uchodzi z sykiem ze szklanej trumny...

Trudno będzie mi zapomnieć to, co wtedy zobaczyłem. Najpierw z „Jego" „stóp", potem „nóg" i tułowia, całymi płatami zaczęła odpadać skóra. Spowodowane cyrkulacją ulatującego powietrza, zjawisko rozszerzyło się na całe ciało. Pamiętam te chwile — światło przygasa; w miejscach, z których odpadły czarne płaty ukazuje się biała, skóra! Ludzka skóra!

To człowiek! — zaszeleściło błyskawicznie między stłoczonymi głowami. Teraz ludzie stoją w milczeniu, a groźne spojrzenia oblepiły martwego człowieka. Powłoka schodzi nadal. Trup nabiera charakterystycznych rysów ludzkich... twarz...

Nie, nie. Nieprawda! Wszystko wiruje. Ze zdeformowanej twarzy patrzą na mnie zasnute oczy ojca...

Myślę tyle godzin i wciąż nie wiem jak to się mogło stać. Przypuszczam tylko, że ojciec włożył na siebie jedną z tych imitacji doskonałych skór kosmity, którymi zarzucone były sklepy. I tak zaskoczyła go awaria statku. Ale dlaczego to zrobił? Dlaczego?!

Wreszcie do zgromadzonych dotarło, że ten który przed nimi leży jest człowiekiem.

Ludzie ruszyli.

Wstąpił w nich jakiś ponadczasowy, wściekły diabeł niespełnionych marzeń. Niszczyli wszystko na swojej drodze, odgłos tłuczenia szkła zmieszał się z krzykiem linczowanych strażników Muzeum i tratowanych ludzi. Po chwili dołączyły do nich suche trzaski płonącego urewna.

Ktoś podłożył ogień.

Chłopiec przycupnął pod wysoką, marmurową kolumną. Ojcze, tato, tatoo — ciche łkanie rozpłynęło się w zgiełku.

Ojcze, ojcze...

Jakiś straszliwy dziad chwycił z gabloty płonący zwitek papieru. Chłopiec rozpoznał w nim Prezesa. Papier zwinął się mu w dłoni płomieniem, wtedy rzucił go na odkryte piersi człowieka w szklanej trumnie Pochodnia. Pochodnia i skowyt. Mały, niedorosły chłopak okładał piesciami strasznego dziada—Prezesa, aż ten kopnął go z całej siły. Poprzez krew i ból zobaczył swoje marzenia — już nie niebieskie, tylko na przemian czerwone i bezbarwne.

A potem podczołgał się do dogasających szczątków ojca. Spojrzał na jego twarz. Ogień wykrzywił zwłokom usta jakby w uśmiechu.

Uśmiech. I ten cudem ocalały, stary papier z niewyraźnymi literami. Sfrunął nie wiadomo skąd. Chłopak chwycił go delikatnie i rozprostował. Niewyraźnie nadpalone litery ułożyły się w słowa:

Niedługo będziemy wyschnięty zielskiem
teraz jesteśmy kwiatami, które czekają na swój czas
szczęście to pyłek
może je przynieść
tylko wiatr...

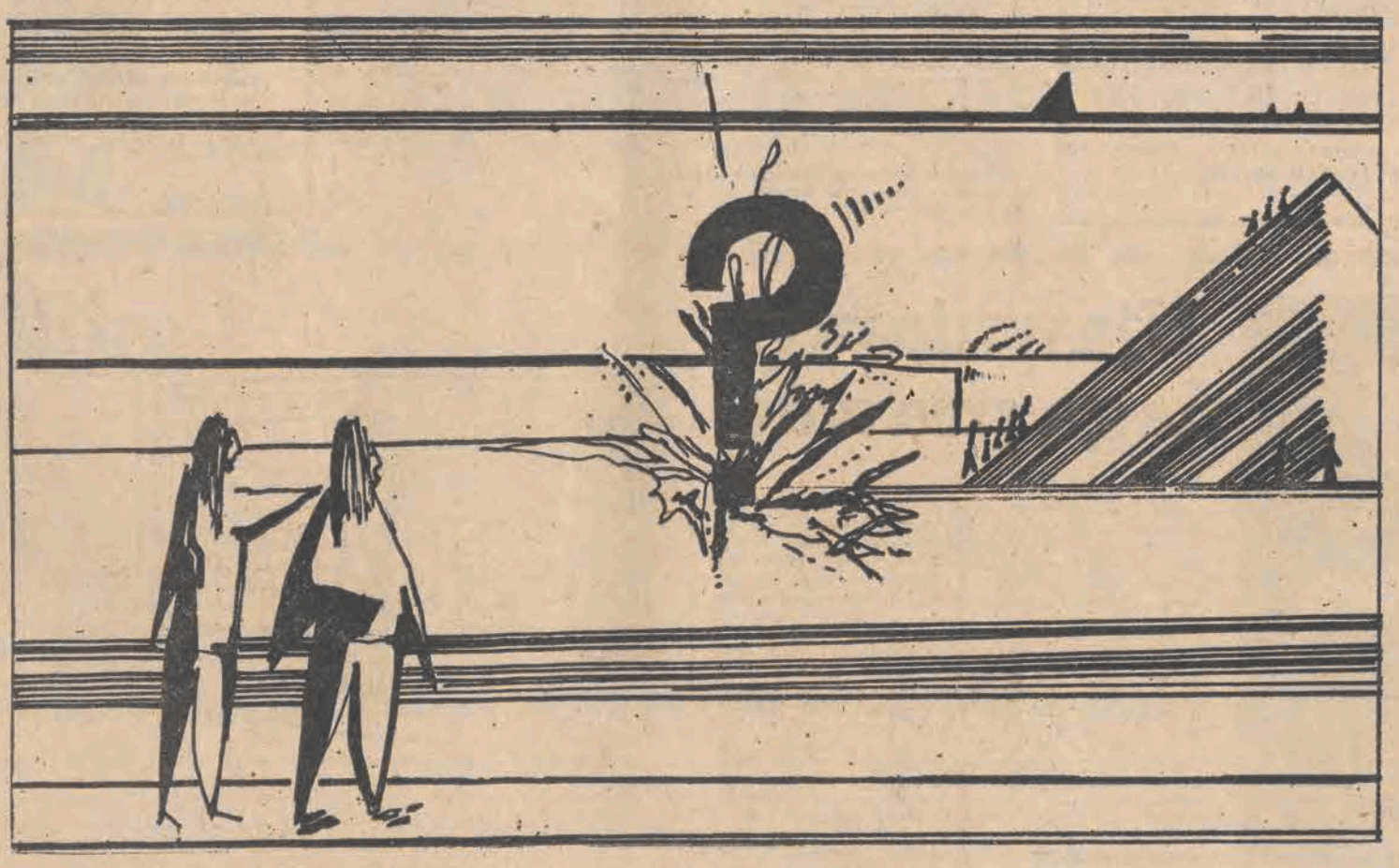

Rys. Adam Kniaginin

kolumna ajencyjna

KOLUMNA OSIEMNASTA
(ujawniamy nagą prawdę)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

SUPER-UKŁADANKA

Mieliśmy SUPEr-TEST LITERACKI, teraz mamy SUPER-UKŁADANKĘ, która wymagać będzie od Czytelników silnej woli, inteligencji wyobraźni plastycznej i innych rozlicznych zalet ducha. Otóż w trzech kolejnych wydaniach Kolumny Ajencyjnej opublikujemy dwa razy po cztery zdjęcia a właściwie kawałki zdjęć niekiedy powtórzone, niekiedy pasujące do siebie, a niekiedy wcale nie pasujące.

Z tych — w sumie — ośmiu kawałków cztery można spokojnie wyrzucić, jednak cztery pozostałe dadzą się ułożyć w bardzo piękny fotos przypominający jeden z najpiękniejszych spektakli Wrocławskiego Teatru Pantomimy, mianowicie „Gilgamesza". Fotos w całej krasie opublikujemy w numerze noworocznym, kto jednak ułoży go wcześniej i nadeśle do redakcji — może oczekiwać sympatycznej niespodzianki.

KUZYN AJENTA

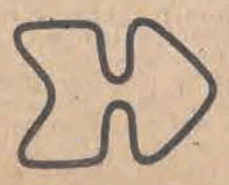

Eugeniusz Iwanicki

Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

T. mówił o pewnym pisarzu:

— To skrajny daltonista. Czy ktoś dostrzegł kolory w jego książkach?

*

Pytano T. czy pochwala picie alkoholu. Odpowiedział:

— Dziś nie istnieje problem „czy" należy się raczej zastanowić „jak".

*

Kiedy inżynier M. żalił się na swoją żonę, że zdradziła go z mleczarzem a potem uwiodła listonosza, T. zauważył z uśmiechem:

— Wiedza ciągle jeszcze przegrywa z naturą.

*

Rozmowa dotyczyła Biblii.

— Jeśli prorocy twierdzą że Bóg stworzył ziemię i niebo — powiedział T — to jestem przekonany, polskie drogi są dziełem szatana.

Autowywiad

Kontynuujemy dziś nasz tragiczny, ironiczny, a nawet — być może — ekshibicjonistyczny AUTOWYWIAD, w którym my, Ajent, odpowiadamy na różne dociekliwe pytania samemu sobie wcielonemu w postać Wywiadowcy. Dodajmy, że jesteśmy tym tak zajęci, że nawet nadzór nad kolumną powierzyliśmy Kuzynowi i nie bierzemy za nic nijakiej odpowiedzialności.

WYWIADOWCA: Czy możecie, kolego, przypomnieć na czym właściwie stanęliśmy przed tygodniem?

AJENT: Na włażeniu na Mount Everest na golasa.

WYWIADOWCA: I jak, udało się?

AJENT: Do licha, przecież to było tylko takie porównanie. Chodziło o to, że nie można być równocześnie alpinistą i nudystą, trzeba wybierać.

WYWIADOWCA: A co wyście wybrali?

AJENT: Z początku szachy.

WYWIADOWCA: E dwa — e cztery.

AJENT: C siedem — c pięć. Potem jednak urzekło nas wielkoświatowe życie. Kobiety, wino, śpiew - sami rozumiecie.

WYWIADOWCA: Co mamy nie rozumieć?

AJENT: Przeżyliśmy nieszczęśliwą miłość.

WYWIADOWCA: Każdy przeżył, albo przeżyje. Nie bądźcie wy, ajent, taki Werter.

AJENT: Werter?! Nie znam, chodziliśmy widać do innej klasy. Możemy natomiast zacytować Villona.

WYWIADOWCA: I co on zeznaje, ten Villon?

AJENT:

Wiem to iż gdybych był studiował
W młodości lata prędkie
Y w obyczaju zacnym chował.
Dom miałbych y posłanie miękkie!
Ale cóż? gnałem precz od szkoły.
Na lichey pędząc czas zabawie

WYWIADOWCA: Eee, nic takiego, zwykłe naruszenie dyscypliny studiów. Nie wykręcajcie wy się jednak poezją dobrze?!

AJENT: Dobrze. Tyle, że mamy do sprzedania parę poetyckich ploteczek.

WYWIADOWCA: A dolarów do sprzedania nie macie?

AJENT: Dolarów to nie mamy.

WYWIADOWCA: I wasze szczęście, bo dolarami nie wolno handlować!

CDN

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Lokomotywa

Stoi na stacji lokomotywa
ciężka, ogromna, i pot z niej spływa
niczym oliwa.

Stoi i sapie, ruszyć nie może,
więc się ze wstydu poci, niebożę,
i tylko gwiżdże — gwizdać nietrudno —
i bucha parą gęstą i brudną

buch — czy ja wreszcie kiedyś przyjadę
buch — tak jak trzeba, zgodnie z rozkładem,
buch — znów, jak zwykle, się nie udało,
buch — znowu miału miałam za mało,
buch — a to przecież niełatwa sprawa
buch — żeby miał miał węgiel udawać...

Podoczepiali do niej wagony
(na każdym napis, że uszkodzony)
i w każdym coś się innego dzieje:
w jednym nie świeci, w drugim nie grzeje,
w trzecim na głucho zamknięte Wu Ce
i zamiast rolet wiszą onuce...
W czwartym trzech panów i jedna pani
oraz konduktor. Wszyscy zawiani.
A w piątym szczeka piesek kudłaty
z mamy foksterier, doberman z taty —
co umie służyć i dawać łapę
(łapę, nie: „w łapę"). Jeździ na gapę.
A w szóstym siedzą same grubasy,
co kiedyś jedli tłuste kiełbasy,
dzisiaj zaś długo grzebią w papierkach,
żeby w nich znaleźć kawałek serka...
W siódmym wagonie siedmiu ponurych
plus siedem teczek ze świńskiej skóry.
Co w nich jest w środku — niech mi kto powie?
Co to za dziwni pasażerowie?
Jeden jest pociąg, na jednym torze,
dyszy i sapie, ruszyć nie może,
a tu — w tym jednym, ciasnym wagonie,
każdy by w inną chciał jechać stronę?...
O ósmym lepiej nie mówić dzieciom.
Tam z okien gęsto butelki lecą
razem z tą pieśnią. O tym góralu
(chociaż alkohol zdrożał w detalu).
Za to w dziewiątym cisza bezdenna.
Pewnie to bufet. I nic w nim nie ma.
...Nagle — gwizd!
Nagle — świst!
Para — buch!
Koła — w ruch!
Najpierw — powoli — jak żółw — ociężale
ruszyła — maszyna — po szynach — ospale
szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem
i kręci się, kręci się koło za kołem...
i cieszą się ludzie w wagonach zamkniętych,
że coś się ruszyło, że jakoś się kręci,
choć trzeszczy i skrzypi, choć zgrzyta i stęka,
lecz pcha się po trudnych dziejowych zakrętach
przez góry, przez tunel, przez lasy — myk, myk!
(a w lasach są dacze, a w daczach jest NIK)
przez wioski i miasta, przez łąki i rzeki
(a w miastach jest fluor, a w rzekach są ścieki)
ciężko tak, trudno tak toczy się w przód —
co inni trzy mile, to ona ciut, ciut —
a co to to, kto to to, co to za gra,

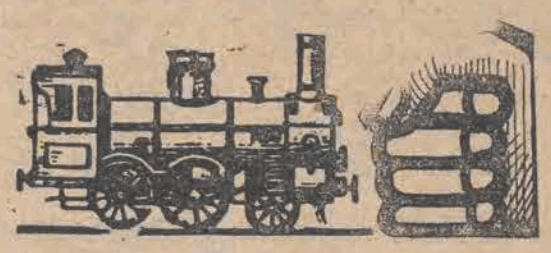

że jeden się zwija, i ciągnie i pcha,
a drugi, co siedzi tuż koło ogniska,
nie widzi, nie słyszy, hamulec naciska
aż iskry się sypią i prószą nam w oczy,
aż kopci maszyna i z trudem się toczy
i ciągnie pod górę, i nigdy nie wprost,
lecz jeszcze po torze, po torze, przez most,
nad jarem głębokim, przez most, co się chwie
przez strome zakręty, przez trudną nadzieję
i ciągle pod górkę i nigdy nie wprost,
lecz jeszcze po torze, po torze, przez most
i koła turkocą i puka i stuka to
tak to to, tak to to, tak to to, tak to to.

Ujawniamy nagą prawdę

Nasi Mieczni Bracia (że też biedna mama wykarmiła takie zmije!), gdy tylko wkręcili się do interesu zaczęli natychmiast węszyć, węszyć i węszyć aż wreszcie wywęszyli. Teraz grożą iż ujawnią nagą prawdę — i to od razu w telewizorze, patrz zdjęcie — chyba, że dobrowolnie ujawnimy ją sami.

A prawda jest mianowicie taka, że skoro wydaliśmy aż cztery kolumny siódme (7, 7A, 7B i 7C), oraz pięć dziesiątych (10, 10A, 10B, 10C i 10D), to razem tych kolumn było już 17 i ta jest 18, czyli, że czas wreszcie przestać oszukiwać.

Zgoda, przestajemy oszukiwać, a nawet jako premię zapowiadamy sensację: oto w numerze świątecznym, w końcu grudnia, opublikujemy PEŁNY ALFABETYCZNY SPIS AUTORÓW I RYSOWNIKÓW publikujących swoje prace na Kolumnie Ajencyjnej. Osoby twórczo nieobecne mogą sobie teraz pluć w brodę, tylko bowiem zaistnienie w naszym spisie nobilituje towarzysko i pozwala liczyć na sukcesy w przyszłości.

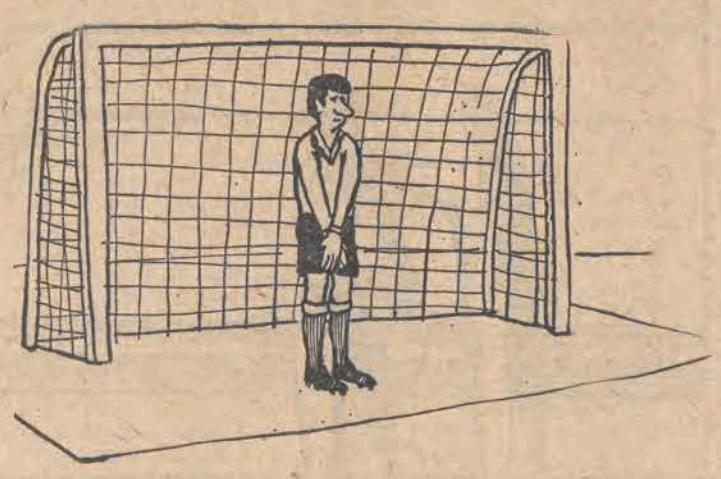

Rys. Andrzej Adamowicz

1 Spojrzenie znad szachownicy

Gra w cytrusy

— To jest gra — powiedział prezes łódzkiej WSS „Społem" Longin Wojtal podczas takiego dość kameralnego spotkania z dziennikarzami i natychmiast czujniej nadstawiłem uszu. Na handlu, prawdę powiedziawszy, znam się mało co, natomiast gry interesują mnie bardzo. Na życzenie mogę wyrecytować, że takie szachy na przykład są grą o sumie zerowej, czyli jeśli ktoś wygrywa, ktoś inny koniecznie musi przegrać, nadto prawdopodobnie są też grą czczą, czyli przy optymalnej strategii obu graczy prowadzą nieuchronnie do remisu.

„Próg komplikacji" w szachach jest jednak tak genialnie wyważony, że żaden z ludzi nie zdołał owej optymalnej strategii ani dla białych, ani dla czarnych wypracować, przeto w zmaganiach mistrzów w około 50 procent partii daje wynik rezultatywny, a przy pojedynkach zawodników słabszych procent ten jest nawet znacznie wyższy. Jednocześnie strategię gry w szachy można opanować w bardzo wysokim stopniu, wyniki nie są więc losowe, wygrywa z reguły lepszy. W praktyce mistrzowskiej nieco częściej wygrywają białe, stąd podejrzenie, iż szachy mogą być grą niesprawiedliwą, trwale faworyzującą biały kolor dający przywilej pierwszego ruchu — pewność w tej materii uzyska jednak dopiero któraś tam generacja maszyn cyfrowych i to chyba nie wcześniej niż w XXI wieku.

Szachy szachami, w co wszelako może grać prezes, czy — szerzej biorąc — handel?

2.

Otóż, jak zrozumiałem, handel gra nie tyle znaczonymi kartami, co wyznaczanymi kartkami, gra ma charakter hazardowy i psychologiczny równocześnie, przypomina — bo ja wiem — pokera, a to już nie moja specjalność. Uznaję wyłącznie gry logiczne, w ostateczności losowe, choć w tych ostatnich nie mam jakoś szczęścia, ale to już nie należy do tematu.

Wracając do handlu: handel — wbrew przypuszczeniom — kartek nie lubi, sprawiają bowiem dodatkowy kłopot, jeżeli zaś wprowadza je i respektuje, czyni to na zlecenie resortu, nie zawsze zresztą zgadzając się w pełni z konkretnymi decyzjami. Mięso reglamentować niestety trzeba, to zrozumiałe, ale czy należało również objąć reglamentacją cytrusy? Łódzcy handlowcy mieli tu pewne wątpliwości, jak się zdaje zasadne.

„Gra w cytrusy" zaczęła się od dostaw grapefruitów, które jednak nie znajdowały zbyt wielu nabywców. Rodzice — rzecz zrozumiała — czekali po prostu na pomarańcze, bardziej lubiane przez dzieci; podobnie „nacisk na cytryny" wzrośnie prawdopodobnie tuż przed świętami. Jeżeli owoce mają wyschnąć, bądź nawet się zepsuć — tak można przecież kalkulować — niech psują się na koszt handlu, a nie mój, klienta. Ja mam czas, ja mam kartkę, ja poczekam...

I w tym momencie handel popadł już, że tak powiem, w przegraną pozycję, w szachach niezbyt ładnie zwaną z niemiecka „zugzwangiem". Teraz na niego przypadła kolej ruchu, ale każdy z możliwych do wykonania jest zły, każdy prowadzi do klęski.

Podstawowe warianty są dwa i możemy rozpatrzeć je po kolei.

Wariant pierwszy: handel nie robi nic, też czeka. Owoce obsychają, częściowo się psują, gniją, zostają wyrzucone na śmietnik. Oburzeni czytelnicy telefonują do redakcji, redakcje zabierają się do handlowców i gromią ich za marnotrawstwo. No bo rzeczywiście jak można było... no i tak dalej.

Wariant drugi: część owoców przerzuca się na przykład do przedszkoli, co w pierwszym momencie budzi powszechne uznanie. Dni jednak płyną, przychodzą niby transporty następne, ale że cytrusy zostały wcześniej zbilansowane, dostajemy ich tyle tylko, ile na łódzką aglomerację wypadło. No i za czas jakiś ten i ów klient zaczyna wymachiwać kartką, na którą nie ma pokrycia. Oburzeni czytelnicy dzwonią do redakcji, redakcje zabierają się do handlowców i gromią ich za nie wywiązywanie się z obietnic. No bo rzeczywiście jak można było... no i tak dalej.

Trzeciego wariantu już nie ma, przynajmniej mnie nic rozsądnego jakoś nie przychodzi do głowy.

3.

Najzabawniejsze zaś, że handel płaci tu za własne osiągnięcia, za to, że przyzwyczaił ludzi, iż co jak co, ale reglamentowane towary można jednak kupić. Rok temu „gra w cytrusy" przebiegałaby inaczej: grapefruity zostałyby wykupione natychmiast, cytryny też, nikt by na nic nie czekał i czym prędzej realizował własną kartkę.

W tym uspokojeniu rynku widzę oczywiście coś optymistycznego, znak, że wolno powolno, ale jednak idzie ku lepszemu. Nie zmienia to faktu — a sygnały płyną ze wszystkich stron, przeglądam przecież nie tylko łódzkie gazety — iż przy „grze w cytrusy" przyjęto po prostu założenie błędne, nie biorąc pod uwagę ich stosunkowo małej trwałości, ani tego że grapefruit pomarańczy nie jest jednak równy. Za miesiąc czy dwa wszystko ślicznie zbilansujemy i okaże się, ile owoców spisanych zostało na straty, oraz kto w jaki sposób zabrał się do tej „cytrusowej kwadratury koła". Na obronę handlowców — zresztą jako mało zainteresowany kibic, przestałem bowiem być dzieckiem, niestety — czuję się wszelako w obowiązku dodać, iż był to problem nierozwiązalny.

W szachach, przypominam, jest podobnie: kto znajdzie się w „zugzwangu" ten przegrywa...

JERZY P. ■

2 Zdarzenia i zwierzenia

Nike

Nike po grecku znaczy zwycięstwo, a w Rzymie zwano ją Victorią. Jest więc po prostu boginią zwycięstwa. Nie znamy jej twarzy, ponieważ zwycięstwo ma różne twarze... Najsłynniejszy posąg owej bogini zwycięstwa to właśnie Nike z Samotraki z początku II wieku przed naszą erą. I ten posąg zachował się bez głowy — dziś można go oglądać w paryskim Louvrze.

Ale nie tylko. Wizerunek Nike z Samotraki znajduje się w tysiącach egzemplarzy na obwolucie słynnej i zasłużonej serii wydawniczej „Czytelnika"... Serii, która od wielu lat prezentuje polskiemu czytelnikowi najwybitniejsze dzieła literatury światowej i polskiej.

I w ten sposób doszliśmy do książek, a stąd już tylko krok do antykwariatu „Nike", który powstał w Łodzi niedawno, ale już stał się głośny — powiedziałbym nawet, że snobistyczny (w tym dobrym znaczeniu tego słowa), a więc po prostu antykwariat „Nike" stał się w Łodzi swego rodzaju faktem kulturowym.

Nie każdemu antykwariuszowi się to udaje. Januszowi Barańskiemu udało się, bo po prostu kocha książki i szanuje klienta. Nie wiem, co prawda, jak godzi miłość do książek z koniecznością ich sprzedawania, ale przecież tego rodzaju dylematy każdy z nas ma w większym lub mniejszym stopniu.

Antykwariat „Nike" ma swoją księgę pamiątkową, w której znajdziemy wpisy ludzi o znanych w Łodzi nazwiskach pisarzy, uczonych, artystów. Niżej podpisany wpisał tam m.in. takie słowa:

„Od Fiszera, Pakosiaka
Maszewskiego i Pawlaka
Sława niech na Ciebie
spłynie
Nike sprawi, że nie zginiesz".

Te cztery nazwiska nie padły tu przypadkowo. Fiszer miał w Łodzi jeden z najstarszych antykwariatów i księgarnię znaczącą dla kultury tego miasta. Pakosiaka znali wszyscy, gdyż przez lata całe prowadził antykwariat „Domu Książki" przy Piotrkowskiej. Maszewskiego — twórcę i właściciela „Słowa" w pasażu Schillera też dobrze znają miłośnicy książek. Pawlaka — popularnie zwanego „Czytajem", bo jego przedwojenna jeszcze firma wydawnicza nosiła nazwę-zawołanie „Czytaj!", też starsi pamiętają zza lady maleńkiej antykwarni na początku ulicy Narutowicza.

Ta czwórka księgarzy-antykwariuszy dobrze się zasłużyła kulturalnym dziejom Łodzi. Tacy ludzie i takie księgarnie tworzą pewien swoisty, urokliwy klimat kulturalny. Zmierza również po tej drodze skrzydlata „Nike" Janusza Barańskiego. Wytworzył się już nawet sympatyczny snobizm na ten antykwariat... A może to nie snobizm, może po prostu firma stara się spełniać życzenia nabywców, bez stereotypowego: „Nie dowieźli".

Zawsze uważałem zresztą, że snobizm w dziedzinie kultury jest zjawiskiem pozytywnym, więc i w tej modzie na „Nike" też jest coś sympatycznego. Czyż zresztą może być inaczej? Przecież Nike to bogini i symbol zwycięstwa. Zwycięstwa nad przeciwnościami losu, zwycięstwa nad zwątpieniem i bezradnością... A przecież ile hartu, siły i nadziei potrafi dać książka! Nieprzypadkowo więc „czytelnikowską" serię wydawniczą zdobi wizerunek Nike z Samotraki, i nieprzypadkowo antykwariat przy Andrzeja nazywa się właśnie „Nike".

JERZY WILMAŃSKI ■

3 Lewym okiem

O kurach i Meksyku

Strach, co te kury z nami wyprawiają. W maju „Przegląd Tygodniowy" (z 23.05. br.) pisał tak:

„Podobno grozi nam i zaskakuje nadprodukcja jaj. Kury znoszą codziennie prawie o półtora miliona jaj więcej, niż klienci chcą kupić. W rezultacie w magazynach jest już ok. 230 mln sztuk, zapasy rosną, grożąc zepsuciem się delikatnego produktu. Eksport jest nieopłacalny (2,80 zł za sztukę), obniżenie ceny w kraju spowoduje nieopłacalność produkcji. Nie ma wyjścia — pewnie jaja się zepsują. Chyba że kury wezmą na wstrzymanie".

Minęło ledwie pół roku i oto co donosi — tym razem „Polityka" (z 20.11. br.). „Najbardziej poszukiwanym towarem są obecnie jajka. Za jajka płaci się, nie tylko w Warszawie, od 18 do 23 złotych. Kur przy tych cenach jaj nie powinno się w ogóle sprzedawać. Na rzeź i na sprzedaż idą więc przeważnie kury — emerytki, co to mięśnie w nich jak stal".

Mimo nadprodukcji jaj w maju cen nie obniżano, żeby utrzymać opłacalność, a kurom doradzano wstrzemięźliwość płciową. Teraz ceny te jeszcze dwukrotnie wzrosły, więc opłacalność jest, a jaj mimo to nie ma. Czy to szaleńcze miotanie się od ściany do ściany można wytłumaczyć samą tylko sezonowością nośności kur? Przecież w innych latach takich zjawisk nie było! A jeśli nie sezonowością to czym, do jasnej Anielki? I dlaczego „zapasy grożą zepsuciem się" — czy żaden z przemądrych instytutów nie wymyślił sposobu przechowywania jaj, czy nie działają chłodnie, czy nie potrafimy przerabiać nadwyżek sezonowych na proszki, pasty, i susze? Bo i tego wszystkiego też nie ma. I eksportu też nie było, bo „nieopłacalny". Nieszczęście z tymi urodzajami!...

Czasem takie sprzeczne informacje wynikają nie z niezrozumiałych zjawisk faktycznych, tylko po prostu z tandetnie pracującego aparatu samej informacji. W „Przeglądzie Tygodniowym" z 23.11. br. czytam na stronie drugiej w „Kronice tygodniowej": „Meksyk jest najbardziej zadłużonym krajem Trzeciego Świata. Jego długi szacuje się na **81 miliardów dolarów**".

W tym samym numerze na str. 8 w artykule Romana Dobrzyńskiego „Utonąć w morzu nafty": **92 miliardy dolarów** długu to skala skutków naftowej przygody Meksyku". Cóż to dla nas dziesięć miliardów mniej czy więcej! Wyobraźnia i tak nie nadąża, a za to zaczyna działać Prawo Trywialności znakomitego Parkinsona (p. Northcote Parkinson „Prawo Parkinsona", str. 70): „Czas spędzony na rozpatrywaniu danego zagadnienia jest odwrotnie proporcjonalny do sumy, o którą chodzi". Inaczej mówiąc — moglibyśmy się długo zastanawiać, kłócić, dyskutować, gdyby chodziło o sto tysięcy, ale jedenaście miliardów nie może wydłużyć czasu przeznaczonego w redakcjach na sięganie do źródeł. Dla czytelnika zaś wniosek, że cała serwowana mu informacja jest taka „mniej więcej" czyli „coś około".

W najlepszej sytuacji są humaniści, bo nie potrzebują w swych rozważaniach operować liczbami i nikt się ich przynajmniej nie czepia i nie żąda dokumentacji. Taka sytuacja niestety usypia czasem samokrytyczną czujność intelektualisty. I czasem wychodzi tak, jak w interesującym artykule Lecha Kurpiewskiego o Marku Hłasce (miesięcznik „Literatura" nr 2 z listopada br.) Na stronie 5 pisze Kurpiewski, że utwory Hłaski „ukazywały nie życie takie, jakim powinno być, lecz takie, jakim jest. A na str. 6 **w tym samym artykule**, pisze **ten sam autor**: „Nie mówił bowiem o tym, jakim jest, lecz o tym, jakim chciałby być widziany i zapamiętany".

Więc jak właściwie pisał Marek Hłasko? Ile miliardów dolarów winien jest Meksyk, czwarte naftowe mocarstwo świata? Zabijać kury, czy nie zabijać?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

4 Sport

Powrót Stanisława Szozdy

Nie pamiętam już dokładnie, czy czytałam to w gazecie sportowej, słyszałam w radio, czy może w telewizji, ale pamiętam, że Włodzimierz Lubański mówił, iż zamierza zostać dziennikarzem sportowym. Czym bowiem może zostać sportowiec, kiedy odejdzie na zasłużoną sportową rentę? Może zostać działaczem w macierzystym klubie, ale nie wszystkim się to uśmiecha, może zostać trenerem, ale do tego potrzeba fachowego przygotowania, może też zostać dziennikarzem sportowym, ale do tego potrzebne są predyspozycje. Może w ogóle zerwać ze sportem i nawet nie oglądać go w telewizji.

Włodzimierz Lubański gra w belgijskiej drugiej lidze i strzela bramki. Jan Tomaszewski trenuje ŁKS i w poniedziałki razem z Michałem Bunio komentuje wydarzenia sportowe minionej soboty i niedzieli. Robi to sympatycznie, fachowo i być może wyrośnie z niego całkiem udany komentator telewizyjny. Stanisław Szozda też dał się poznać w telewizji z umiejętności komentowania Wyścigu Pokoju. Służył dziennikarzom telewizyjnym rozległą wiedzą, pomagał telewidzom zrozumieć tajniki mało czasami ciekawej walki na trasie. Ukazywał błędy taktyczne, jakie popełniali polscy kolarze. Robił to z dużym wdziękiem i również mogłoby się wydawać, że Stanisław Szozda zostanie udanym komentatorem telewizyjnym. Telewizji raczej brakuje dziennikarzy sportowych, którzy potrafiliby nawiązać poprzez szklaną szybę kontakt z telewidzami.

Ale nie. Stanisław Szozda nie został telewizyjnym komentatorem. Wrócił do kolarstwa. I będzie jeździł na rowerze. Będzie się nawet ścigał z innymi kolarzami. Tyle tylko, że nie w wyścigu, ale podczas treningu.

— „Razem z kadrowiczami będę jeździł i ćwiczył — powiedział Andrzejowi Domagalskiemu z krakowskiego „Tempa". — Zamierzam demonstrować im przede wszystkim aktywną, bojową jazdę, popartą walką na szosie, postaram się m.in. wpoić im zasady skutecznego rozgrywania walki na finiszu. Nasi kolarze jeżdżą nazbyt pasywnie, brak im kolarskiego nerwu i właśnie tej zaciętości, bojowości, będę starał się ich nauczyć".

Jak z tego fragmentu wypowiedzi widać, ambitny to program i jego spełnienie będzie wymagało sporo trudu, hartu, zaciętości i uporu. Tego wszystkiego Stanisławowi Szozdzie nigdy nie brakowało i mam nadzieję, że teraz mu również nie zabraknie.

Stanisław Szozda będzie trenował kadrę polskich kolarzy jako asystent Andrzeja Rucińskiego. Wspólnie będą szkolić kolarzy, przygotowując ich między innymi do igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Ale, po drodze niejako, będą mistrzostwa świata, Wyścig Pokoju oraz wiele innych kolarskich imprez. Nowa ekipa kolarska dopiero się tworzy, trzeba więc sporo trudu włożyć w jej przygotowanie, aby dotrzymała kroku swoim poprzednikom, wśród których był kiedyś Stanisław Szozda.

W różnych dziedzinach sportu dokonuje się „zmiana warty". Smutne to, ale prawdziwe. A przede wszystkim naturalne. Czas płynie nieubłaganie i mistrzowie muszą ustępować miejsca swoim następcom. Tylko, że ci następcy nie mogą od razu zastępować mistrzów. Kiedy „zmiana warty" dokonuje się nagle i obejmuje kilku dobrych zawodników, to w kadrze danej dyscypliny obserwujemy nagły spadek poziomu, osłabienie. Najlepiej byłoby, aby proces odchodzenia zawodników i przychodzenia młodych na ich miejsce odbywał się stopniowo, łagodnie, aby mogła być zachowana ciągłość procesu. Ale różnie z tym bywa. Czasem po prostu pogoń za medalami utrudnia taki łagodny proces dorastania do poziomu mistrzów, czasem i sami mistrzowie nie bardzo mają chęć ustąpić miejsca młodszym. Na przykład powoli staje się już regułą i to nie tylko w naszym kraju że po mistrzostwach świata w piłce nożnej rozsypują się mistrzowskie drużyny, a ich następcy mają kłopoty z utrzymaniem dobrej sławy i honoru mistrzów. Coś takiego spotkało ostatnio naszą narodową reprezentację piłkarską. Poważny kryzys po licznych sukcesach przeżywa kolarstwo.

Stanisław Szozda powiada, że i na to jest rada. Nie przeraża go nawet narzekanie na brak dobrego sprzętu, opon do rowerów.

— „Nie przesadzajmy! — powiada — Wiele osób winę za słabe wyniki zwala na sprzęt, na jego bądź to brak, bądź też słabą jakość. To jest modne, ale niezbyt prawdziwe. Jeśli zawodnik jest w dobrej formie, to i wygra jadąc na słabszym rowerze".

Stanisław Szozda jest bowiem optymistą i zapaleńcem. Wypada więc tylko życzyć mu sukcesów i tego, żeby jednak nie załamały go trudności, bo tych mu nie braknie. Sobie życzymy więcej takich zapaleńców. Nie tylko w sporcie.

BOGDA MADEJ ■

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwaniecki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (zastępca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc** (grafik), **Lucjusz Wodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2606. F-2.

Foto: Włodzimierz Parys

Zmiana krajobrazu

(spotkanie z Henrykiem Debichem)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Zostało ich czterech. Może pięciu. Chodzi mi oczywiście o Łódź. W innych miastach, Warszawie czy Krakowie, można by pomnożyć tę liczbę, żywe legendy snują się po ulicach większymi grupkami. Łódź jest jednak miastem specyficznym, tranzytowym. Kto poczuje się w nogach, odbija się od Piotrkowskiej piętami i ląduje w innych, niekoniecznie polskich rejonach.

A więc zostało ich pięciu. Tych wielkich, znanych. Nazwisk, poza jednym, nie wymienię, dzięki czemu w tej piątce odnajdzie się zaraz pięćdziesięciu. Nie podam również kryterium, jakim kierowałem się przy wyborze. W każdym razie... niekoniecznie muszą to być artyści. Skreślam poetę, który wyjechał przed laty i utonął w stołecznym archipelagu wspaniałych, pomijam reżysera, który wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, jest najwybitniejszym po Wajdzie twórcą filmowym w tym kraju, ale pies z kulawą nogą nie wie, że żyje od bardzo, bardzo dawna na rubieżach Łodzi. Nie liczę gwiazd o światowej renomie, które zajmują na dwa—trzy sezony stanowiska szefów wielkich placówek kulturalnych (chwała im za to!) po czym znikają równie nieoczekiwanie, jak przybyli, powodując lament w miejscowych środkach masowego przekazu.

Przeczę sobie, gdyż... wyłania się jednak pewne kryterium. Niebezpieczne, być może. Ktoś niedawno posądził mnie o szowinizm lokalny. Nie jestem szowinistą. Niejednokrotnie podkreślam, że urodziłem się w Warszawie. Nie żywię niechęci do ludzi, którzy z takich czy innych powodów zmienili barwy klubowe. Osobnik skazany z racji swojej profesji na permanentny sukces, nie bawi się w sentymenty. Idzie tam, gdzie sądzi, że mu będzie lepiej, przy czym pieniądze nie muszą być tutaj kwestią rozstrzygającą. Człowiek nie jest aż tak cyniczny. Od wygody życia i dóbr materialnych bardziej ceni sobie zazwyczaj ambicje zawodowe i dlatego właśnie pewnego dnia mówi miastu:

— Żegnaj!

Zdarzają się przecież wyjątki. Ludzie pracujący w ciągu całego swojego życia dla określonego miasta z przekonaniem, że choćby i kiedyś zostali zapomniani przez kraj, miasto o nich nie zapomni. Znamy takie zjawiska, jak Nikifor Krynicki i Afanasjew z Sopotu. Łódź ma swojego Debicha.

2.

Także nie jest rodowitym łodzianinem. Przyszedł, jak to się pięknie mówi, na świat w satelickich Pabianicach. Ojciec był kapelmistrzem i dyrygentem chórów amatorskich, nauczał również muzyki w gimnazjum. W Łodzi młody Debich znalazł się już w czterdziestym szóstym roku. W pięćdziesiątym trzecim ukończył Wyższą Szkołę Muzyczną. Jeśli zapytać pana Henryka jakie było największe przeżycie w całej jego przebogatej karierze artystycznej, odpowie bez wahania:

— Koncert dyplomowy.

— **Pamiętasz program?**

— Oczywiście. Po raz pierwszy dyrygowałem przecież obcą, zawodową orkiestrą. I to w Filharmonii, w pełnym, długim koncercie, a właściwie dwóch koncertach: piątkowym i sobotnim. Graliśmy uwerturę Flis Moniuszki, koncert fortepianowy C-moll Rachmaninowa i Trzecią Symfonię (Eroicę) Beethovena.

Siedzimy w domu Debicha, a na ścianach, gdzie nie spojrzeć, jest pełno prastarych zegarów.

— **To ile jest tych zegarów? — pytam.**

Twarz dyrygenta nabiega krwią. Macha obiema rękami i krzyczy bez mała:

— Proszę cię, żadnych zegarów!

— **Dobrze** — mówię. — **Uspokój się!** — I myślę: pół roku temu spotkaliśmy się w tym samym pokoju i rozprawiałeś o swoich zegarach z pasją.

— I mówię — Ja chcę ten wywiad przeprowadzić po swojemu. Z gazet, które mi pokazałeś, polskich i zagranicznych, wynika, że wszystko już o tobie napisali. I dlatego nie chcę w ogóle tych gazet czytać.

— To czego ty chcesz?

— **Chcę napisać o tym, jak twój syn był mleczarzem.**

— Czy to konieczne?

— Oczywiście, że konieczne. Po pierwsze damy budujący przykład, że nie tylko w bogatej Ameryce młodzi ludzie, w tym również dzieci z czcigodnych, a nawet milionerskich domów, zarabiają na chleb własnymi rękami. Po drugie twój syn zaczyna tworzyć powoli swoją własną artystyczną biografię i należy mu się prasowe wsparcie. Po trzecie, nie złożymy przecież rąk i nie zaczniemy wyć do księżyca. Nasz ukochany czytelnik nie lubi mdłych, przeżutych trocin.

Muzyk kapituluje. Ponieważ nie znoszę wywiadów, uważając je za najnikczemniejszą, najłatwiejszą i najbardziej rozmiazdrzoną z wszystkich form dziennikarskiej wypowiedzi, zrelacjonuję sprawę własnymi słowami. Otóż...

Przed niespełna dwoma laty, będąc na drugim roku PWSM (Wydział Pierwszy — Teorii, Kompozycji i Dyrygentury), Mariusz Debich, syn wybitnego artysty, podpisał w tajemnicy przed ojcem swoje dwa pierwsze, życiowe kontrakty. Jeden opiewał, że umyje codziennie dwa autobusy, a drugi, że każdego dnia, pomiędzy godziną piątą a ósmą rano rozwiezie po domach sto butelek mleka.

O ile mycie autobusów w remizie mógłby kontynuować niezauważalnie latami, z roznoszeniem mleka i ukryciem tego przed ojcem wiązały się pewne kłopoty. Bo to i pora nietypowa, i proceder zawiły. Mleka nie roznosi się przecież w kieszeniach, tylko rozwozi wózkiem. Pan Mariusz dostał taki wózek w okolicznej spółdzielni, musiał jednakże gdzieś go parkować i w związku z brakiem garaży w mieście parkował przed domem. Senior Debich, jak to artysta, zauważył jakieś obce żelastwo na podwórku, ale... co tam! nie gryzie, nie szczeka, niech sobie stoi.

Z czasem uwagę jego zwróciła inna osobliwość: zima, mróz, zawieja śnieżna, a Mariusz wstaje przed piątą nad ranem. Skrywana miłość? Do diabła! Pokaż mi najwspanialszego kochanka, który będzie wstawał co noc o tej porze i tylko po to, żeby w dwie godziny później wrócić. Pomoc domowa, jak to kobieta, wyczuła bluesa i zaczęła Mariusza denuncjować. Tata jednak nie dawał wiary aż do dnia, kiedy Mariusz wyszedł i wrócił już po paru minutach. Zasnął swoim młodzieńczym snem, rano czekały go zajęcia na uczelni. Pana Henryka też czekały zajęcia i też zasnął. O siódmej obudził go telefon:

— Pan Debich?

— Tak.

— Chodź pan! Mleko już przywieźli.

Śmiejemy się. Pytam:

— I co ty na to?

Ano, wieczorem odbyłem z Mariuszem tak zwaną męską rozmowę. Powiedziałem mu, że to bardzo pięknie myć autobusy i roznosić mleko, posmakować trochę prawdziwej fizycznej pracy i odciążyć przy okazji kieszeń ojca, ale... dlaczego nie próbujesz zarobić paru groszy w swoim zawodzie? Skomponuj coś, zaaranżuj. Ja wiem, że to nie jest łatwe, skoro jednak zdecydowałeś się być muzykiem, nie zabieraj chleba czyścicielom samochodów i roznosicielom mleka.

— **I w tym momencie narodził się Mariusz Debich — kompozytor? Trzecie ogniwo w muzycznej sztafecie pokoleń?**

— W pewnym sensie. W dzieciństwie sporo komponował. Muzykę wyssał dosłownie z piersi matki. Niemowlęctwo spędził w garderobie teatralnej; jak był trochę większy, schodził podczas koncertów i prób do kanału orkiestrowego, matka śpiewała na scenie, a on patrzył na nią i ciągnął za nogawki dyrygenta, najczęściej Bohdana Wodiczkę lub Zdzisława Górzyńskiego. Chcesz posłuchać kilku utworów Mariusza?

— **Chętnie.**

Gospodarz włącza magnetofon. Historia rodu, jak w najwybitniejszej powieści Gabriela Garcii Marqueza, powtarza się precyzyjnie. Młody Debich gra z profesjonalną orkiestrą radiową na fortepianie swój własny utwór w swojej własnej aranżacji. Piękne. Druga kompozycja jest jeszcze piękniejsza. Zwracam uwagę na saksofonistę. Pytam o nazwisko. Olejniczak. Słucham paru innych utworów, wśród których są również piosenki. Młody kompozytor, który nie ukończył jeszcze studiów, publikuje, rzecz jasna, za zgodą władz uczelnianych.

3.

— **Kto przedstawił cię Rubinsteinowi?**

— Henryk Czyż, mój serdeczny przyjaciel. Było to podczas ostatniego pobytu Mistrza w Łodzi. Na próbie wprawił nas wszystkich w osłupienie.

— **Grą?**

— Nie tylko. Nim jeszcze rozpoczął grać, zaczął jakoś tak dziwnie obmacywać klawiaturę fortepianu, podnosić do góry ręce jak czarownik, pocierać jednym opuszkiem palca o drugi, wreszcie... ślinić je z namaszczeniem. Ni stąd ni zowąd krzyknął do jednego ze swoich przyjaciół, byłego dyrektora Polskiego Radia, Romana Jasińskiego:

— Roman, Roman! Daj no mi tę torbę.

Z torby, takiej groszowej, zawieszonej na przegubie dłoni saszetki, wyciągnął puszkę spray'u i spryskał wszystkie, białe i czarne klawisze jakimś tajemniczym płynem. Po próbie spytaliśmy Mistrza, co to było. Odpowiedział:

— Zwykły lakier do włosów.

— I czemu to służy?

— Widzicie, dzieci, w moim wieku skóra na palcach jest niezwykle cienka, przezroczysta, w partiach technicznych ręce ślizgają się po klawiaturze z braku odpowiedniej przyczepności i łatwo o kliks. Lakier do włosów rozwiązuje ten problem znakomicie.

W każdym hotelu, gdzie zatrzymuje się Artur Rubinstein, najistotniejszą dla niego sprawą jest łóżko. Nieważne: twarde czy miękkie, ważne natomiast, aby nie leżało na ziemi, aby materac był w odpowiedniej odległości od podłogi.

— **Tak, aby można było wsunąć nocnik?**

— To już ty powiedziałeś, nie ja — oburza się Debich. — Tak, aby rano mógł wsunąć pod nie odpowiednio wygięte stopy. Kiedy czuje pewny, bezpieczny opór pięt, zaczyna przechylać się głęboko do przodu i do tyłu całym ciężarem ciała, gimnastykując w ten sposób kręgosłup.

— **I co to daje?**

— Sprawność i kondycję. Pomyśl: ten wielki, sędziwy artysta, dzisiaj już bez mała stuletni, zaprosił po ostatnim łódzkim koncercie kilku swoich przyjaciół na kolację. Kolacja rozpoczęła się przed jedenastą, o drugiej w nocy goście zdradzali już wyraźne oznaki zmęczenia. Rubinstein przywołał wówczas kelnera, zamówił po ostatniej setce wódki (pije tylko czystą), dopalił cygaro, wziął z wolnego krzesła swój kapelusz, którego z reguły nie lubi zostawiać u szatniarza i poprosił o rachunek, tłumacząc:

— Moi przyjaciele są już z lekka zmęczeni. Chcieliby udać się spać.

4.

— **Który ze znanych ci światowych dyrygentów wywarł na tobie największe wrażenie?**

— W 1958 roku, jako stypendysta Ministerstwa Kultury, wyjechałem do Republiki Federalnej Niemiec (wówczas NRF). Przebywałem również w Berlinie Zachodnim, w czasie, kiedy szefostwo orkiestry berlińskiej obejmował Herbert von Karajan. Poznałem tego wielkiego muzyka na próbach, tuż przed jego premierowym występem. Był to dla mnie swojego rodzaju szok. Osobisty i artystyczny.

— **Czy premiera potwierdziła to wrażenie?**

— Premiera zakończyła się wielkim skandalem i sensacją. Bilety były nieprawdopodobnie drogie, na czarnym rynku sprzedawano je po paskarskich cenach. Jako stypendysta miałem prawo do pewnych ulg, jednakże i te nie pozwoliłyby mi kupić wejściówki. Dziwnym trafem jednakże spotkałem znajomego z Dachau, ten zabrał mnie do magistratu i tam, z rąk samego Willy Brandta, ówczesnego burmistrza Berlina Zachodniego, otrzymałem dwuosobowe karty wstępu na premierowy i popremierowy koncert Karajana z osobistym podpisem burmistrza. Czułem się bogaczem. Na pierwszy koncert zabrałem z sobą Andrzeja Hiolskiego, który wówczas koncertował w Berlinie, a na drugi Halinę Mickiewiczównę, wybitny sopran koloraturowy.

— **Na czym polegał premierowy skandal?**

— Wedle niektórych opinii, ze względu na astronomiczne ceny biletów, premierowa widownia składała się w całości z bogatych kupców, handlarzy i bankierów, którzy zapałali nagle wielką, snobistyczną miłością do muzyki, zabrakło natomiast miejsc dla prawdziwych melomanów. Cały ten wspaniały wieczór wypełniało Requiem Jana Brahmsa. Po zakończeniu dzieła, widownia trwała w kamiennej ciszy, tak, jakby nikt nie znał utworu i nie wiedział, że już po wszystkim. Karajan poczekał kilka długich sekund, potem zaś, zniecierpliwiony, podał obydwie ręce solistom, śpiewakowi Fischerowi Discau i śpiewaczce Elizabeth Grümer, zdjął ich z podium i wyprowadził za kulisy. Dopiero teraz rozległy się brawa i owacje. Trwały bardzo długo, ale obrażony dyrygent ani na moment nie pokazał się już na scenie. Nazajutrz prasa pisała: „Fałszywa cisza w niewłaściwym miejscu". Dziennikarze snuli rozmaite domysły: „Czyżby bojkot Karajana?" Jeden z krytyków twierdził, że milczenie widowni było wyrazem hołdu dla wybitnego dyrygenta. Kto to wie?...

5.

Nim ukończył PWSM, był już dyrektorem orkiestry radiowej, a jej dyrygentem (i współzałożycielem) jest nieprzerwanie od chwili powstania zespołu do dziś.

Kiedy pytam:

— **Co jest twoim hobby poza muzyką?**

Uśmiecha się i odpowiada po krótkim namyśle:

— Orkiestra.

— **Niesłychanie ją zmodernizowałeś ostatnio. Z jednej strony tradycyjne smyczki, z drugiej cały ten bogaty, różnorodny sprzęt nowoczesny: moogi, synthesize , elektryczne organy i gitary zamiast poczciwych kontrabasów... Schlebiasz modzie?**

— Nie. Staram się być w zgodzie z czasem. Ale jeśli wymaga tego charakter utworu, sięgam po stary kontrabas. Nie zapominaj, że muzyka, którą gramy, jest bardzo różnorodna: od parafraz dzieł klasycznych po jazz, rock i funky. Podobną różnorodność spotkasz zresztą wśród kompozytorów współpracujących z naszą orkiestrą. Na przykład: Henryk Czyż, Kazimierz Wiłkomirski i... Jan Ptaszyn Wróblewski.

Nietaktem byłoby przypominać, że poza długim szeregiem innych festiwali, Henryk Debich i jego orkiestra dwanaście razy występowali na Festiwalu Sopockim, akompaniując najwybitniejszym piosenkarzom świata. Artysta częstokroć przebywał również na festiwalach i koncertach zagranicznych, prowadząc obce orkiestry w wielu rejonach świata. Nie ma w sobie nic z zasiedziałego, roztargnionego twórcy, który nie lubi opuszczać własnych, wydeptanych ścieżek. Zjechał już z koncertami, sam i z orkiestrą, cały kraj. W najbliższym sezonie wystąpi między innymi w wielu polskich filharmoniach, w Wałbrzychu, Lublinie, Bydgoszczy, Gdańsku, Białymstoku. Czekają go również wojaże zagraniczne, o czym jednak woli na razie nie mówić.

Nieustannie nagrywa dla radia, gdzie sam jest prezenterem wykonywanych utworów. Pod dyrekcją jego zastępcy, Andrzeja Rokicko.ego, łódzka orkiestra zdominowała Film Polski, coraz częściej słychać ją również w serialach telewizyjnych. Czy można to nazwać ekspansją artystyczną? Chyba nie. Po prostu zespół robi coraz lepszą muzykę i nie narzeka na brak propozycji. Płyty, występy estradowe. Niebawem Henryk Debich zacznie nagrywać swój kolejny longplay: arcydzieła muzyki poważnej w parafrazach jazzowo-beatowych. Przygotowuje również obszerny cykl koncertów telewizyjnych.

Jednym słowem — szaleństwo planów i pracy. Pytam:

— **Jak znajdujesz na to wszystko czas?**

— Kwestia przyzwyczajenia.

Może i tak? Przyzwyczaił się po prostu żyć na wysokich obrotach. Pracując nieprzerwanie w radio, sprawował jednocześnie, w czasie swojej trzydziestoparoletniej już kariery, wiele innych, niełatwych funkcji. Przez siedem lat był kierownikiem muzycznym i dyrygentem Teatru Muzycznego w Łodzi; przez dwa lata, za kadencji Henryka Czyża, piastował godność drugiego dyrygenta Filharmonii Łódzkiej. Gabriel Garcia Marquez znowu powtarza rodowy motyw: Henryk, jak kiedyś ojciec, jeździ do Pabianic i naucza w tamtejszej szkole, będąc jednocześnie wykładowcą w łódzkim Konserwatorium...

Nie uda mi się napisać wszystkiego o Debichu. Jako były muzyk mam ponadto świadomość, że zwichnąłem gdzieś po drodze prawidła dziennikarskiej kompozycji.

Trudno. Aby w miarę logicznie zakończyć reportaż (?) pytam:

— **Jako powszechnie znany i uznany artysta mogłeś z pewnością w każdej chwili opuścić Łódź?**

— Mogłem.

— **Miałeś bez wątpienia cały szereg nęcących propozycji?**

— Miałem.

— **Więc dlaczego zostałeś?**

— Nie oczekuj ode mnie szowinistycznych deklaracji. Bardzo, oczywiście, jestem z tym miastem związany, ale samo uczucie nie zawsze wystarcza, aby kogoś zatrzymać. Potrzebne są również inne motywacje.

— **Możesz je wymienić?**

— Po pierwsze, długotrwała choroba mojej żony, Zofii Rudnickiej-Debich, przedwcześnie zmarłej, wybitnej solistki Teatru Wielkiego w Warszawie i Łodzi. Po drugie, nauka i studia mojego syna, Mariusza...

— **Zwykle jest również: po trzecie?**

— Owszem. Po trzecie: moja ukochana orkiestra.

„Bal w Savoyu" — w operetce

(CAF) Operetka przez jednych określana żartobliwym mianem „podkasanej Muzy", przez niektórych wręcz lekceważona jako gatunek muzyczny... Jej pełny rozkwit przypada na drugą połowę ubiegłego stulecia. Przez wiele lat przepiękne operetkowe melodie i arie nuciły tysiące ludzi, a operetka na dobre zagościła na deskach scenicznych i weszła do żelaznego repertuaru każdego teatru myzycznego. Miała też znakomitych twórców — Lehar, Offenbach, Strauss, Kalman na trwałe weszli do historii tego gatunku jako niezrównani mistrzowie. U progu lat 30-tych naszego wieku klasyczna operetka zaczęła zamierać wypierana przez komedię i filmy muzyczne oraz musicale w stylu Brodwayowskim, by po raz ostatni — choć na krótko — podbić na nowo publiczność, dzięki kompozytorowi Paulowi Abrahamowi. Wiedeń zaczął znów rozbrzmiewać muzyką w starym stylu, zaczęto nucić melodie z „ ktorii i jej huzara", „Kwiatu Hawajów" i „Balu w Savoy'u". Przeboje z tej ostatniej nucone są do dziś — któż nie zna Tangolity czy słynnej arii „Toujours l'amour".

Te i inne melodie przypomina warszawskim melomonom stołeczna Operetka, wystawiając inscenizację „Balu u Savoy'u". Kierownictwo muzyczne przygotował Zbigniew Pawelec, choreografię Maria Surowiak, scenografię Liliana Jankowska, zaś całość reżyserował Ryszard Pietruski. W głównych rolach występują: Ryszard Wojtkowski, Nela Obarska, Joanna Białek, Danuta Renzówna, Antoni Kłopocki i inni.

(A—Z)

Foto: CAF